

„Żaden kraj w skandynawskich kryminałach noir nie jest tak zimny, pusty i pępekny jak Islandia. A żaden autor nie oddaje tego tak sugestywnie i przerażająco jak Jónasson. A Hulda to jedna z najtragiczniejszych bohatererek kryminałów.” „The Times”

RAGNAR JÓNASSON

WYSPA


AMBER

**RAGNAR
JÓNASSON**

WYSPA

**Przekład
ANTONI KULAWIK**



Redaktor inspirująca i prowadząca
Małgorzata Cebo-Foniok

Korekta
Barbara Cywińska
Hanna Lisińska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© TRphotos/Shutterstock

Tytuł oryginału
Drungi

DRUNGI

Copyright © 201 Ragnar Jónasson, 2016

Published by agreement with Copenhagen Literary Agency ApS,
Copenhagen.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2019 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-7056-2

Warszawa 2019. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Dla Marii

*Umysł można zmienić jednym okrutnym
słowem. Trzeba uważać w obecności duszy.*

Einar Benediktsson z Monologów Starkađura

Prolog

Kópavogur, 1988

Babysitterka spóźniała się.

Rzadko wychodzili wieczorami, więc starali się z góry upewnić, że dziewczyna będzie wolna. Zajmowała się ich dzieckiem już kilka razy i mieszkała na sąsiedniej ulicy, ale poza tym niewiele wiedzieli o niej i o jej rodzinie, chociaż rozmawiali z jej matką, kiedy przypadkiem się z nią spotykali. Ale ich siedmioletnia córka patrzyła z podziwem na dziewczynę, która miała dwadzieścia jeden lat i w jej oczach wyglądała na bardzo dorosłą i wspaniałą. Zawsze mówiła, jak świetnie się bawiły, jakie śliczne miała ubrania i jakie pasjonujące historie opowiadała jej przed pójściem spać. Radość, z jaką córka czekała na babysitterkę, sprawiała, że małżonkowie czuli się mniej winni, przyjmując zaproszenie. Byli pewni, że dziewczynka trafi w dobre ręce i będzie się dobrze bawiła. Zamówili opiekę od szóstej do północy, ale już minęła szósta, zbliżało się wpół do siódmej, a kolacja miała się zacząć o siódmej. Mąż już miał dzwonić żeby zapytać, co się stało, ale żona nie chciała robić zamieszania: opiekunka przyjdzie.

Był marcowy, sobotni wieczór i dopóki opiekunka nie zaczęła się spóźniać, z radością czekali na wyjście. Miał to być wesoły wieczór z kolegami żony z ministerstwa. Córeczka cieszyła się, że będzie wieczorem oglądać filmy z babysitterką. Nie mieli magnetowidu, ale okazja była szczególna, więc ojciec poszedł z nią do pobliskiej wypożyczalni wideo i wziął urządzenie razem z trzema taśmami, a dziewczynka dostała pozwolenie, że może pójść spać, kiedy będzie chciała, jak już opadnie z sił.

Było kilka minut po wpół do siódmej, kiedy wreszcie zadzwonił dzwonek do drzwi. Rodzina mieszkała na pierwszym piętrze małego bloku w Kópavogur,

miasteczku tuż na południe od Reykjavíku. Była to senna miejscina pomiędzy Reykjavíkiem a innymi miasteczkami w stołecznym rejonie.

Matka odebrała domofon. Nareszcie babysitterka. Chwilę później stanęła w drzwiach przemoczona do suchej nitki i powiedziała, że szła na piechotę. Padało tak mocno, że wyglądała, jakby ktoś wylał jej na głowę wiadro wody. Przeprosiła zawstydzona, że tak bardzo się spóźniła.

Oboje machnęli ręką na przeprosiny, podziękowali, że ich zastąpi, przypomnieli główne zasady panujące w domu i zapytali, czy umie obsługiwać odtwarzacz wideo. Wtedy wtrąciła się córeczka i powiedziała, że w tym nie trzeba jej pomagać. Było widać, że nie mogła się doczekać, kiedy rodzice wyjdą i rozpocznie się święto z filmami.

Na dworze już czekała taksówka, ale matkę trudno było wyciągnąć z domu. Wychodzili rzadko, i nie była przyzwyczajona do zostawiania córeczki.

– Niech się pani nie martwi – powiedziała wreszcie babysitterka. – Zajmę się nią jak trzeba. – Wyglądała na bardzo wiarygodną, a wcześniej zawsze dobrze sobie dawała radę. Wreszcie wyszli na ulewę, żeby wsiąść do taksówki.

Wieczór się ciągnął, matka coraz bardziej niepokoiła się o córkę.

– Daj spokój – powiedział mąż. – Na pewno świetnie się bawi. – Zerknął na zegarek i dodał: – Teraz oglądają drugi albo trzeci film i zjadły do czysta wszystkie lody.

– Jak myślisz, pozwolą mi skorzystać z telefonu w recepcji? – zapytała żona.

– Chyba trochę za późno, żeby do nich dzwonić. Myślę, że zasnęły przed odtwarzaczem.

W końcu ruszyli do domu, trochę wcześniej niż planowali, tuż po jedenastej. Trzydaniowa kolacja już się skończyła i szczerze mówiąc, nie była szczególnie zachwycająca. Główne danie, jagnię, było w najlepszym wypadku mdłe, a po posiłku goście ruszyli na zatłoczony parkiet. Na początku didżej puszczał popularne stare przeboje, ale potem przeszedł do nowszych hitów, których małżonkowie nie lubili, chociaż nadal uważali się za młodych. W końcu nie byli jeszcze nawet w średnim wieku.

Kiedy jechali w milczeniu do domu, deszcz spływał z okien taksówki. Prawdę mówiąc, nie byli imprezowiczami, za bardzo lubili domowe wygody, a wieczór ich wymęczył, chociaż wypili tylko po kieliszku czerwonego wina do kolacji.

Kiedy wysiedli z taksówki, żona powiedziała, że chciałyby, żeby córeczka już spała. Wtedy oboje mogliby od razu pójść do łóżka.

Nie spiesząc się, weszli po schodach i zamiast dzwonić, sami otworzyli drzwi. Bali się, że obudzą dziecko.

Ale okazało się, że córeczka nie śpi. Podbiegła, żeby ich przywitać, i bardzo mocno ich objęła. Ku ich zdziwieniu wcale nie kleiły się jej oczy.

– Tryskasz energią – powiedział ojciec, uśmiechając się do niej.

– Tak się cieszę, że jesteście w domu – oznajmiła dziewczynka. Dziwnie na nich patrzyła: coś poszło nie tak.

Z salonu wyszła babysitterka i słodko się uśmiechnęła.

– Jak było? – zapytała matka.

– Naprawdę dobrze – odpowiedziała opiekunka. – Wasza córka jest taka grzeczna. Obejrzelśmy dwa widea, dwie komedie. Naprawdę się jej podobały. I zjadła pulpety, które przygotowaliście – prawie wszystkie – i mnóstwo popcornu.

– Dziękuję, że przysłaś. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili.

Ojciec wyjął z marynarki portfel, odliczył kilka banknotów i podał jej.

– W porządku?

Przeliczyła pieniądze i kiwnęła głową.

– Tak, świetnie.

Kiedy wyszła, ojciec zwrócił się do córeczki.

– Kochanie, nie jesteś zmęczona?

– Tak, może troszeczkę. Ale moglibyśmy jeszcze trochę pooglądać?

Ojciec pokręcił głową i powiedział miłym głosem.

– Przepraszam, ale jest strasznie późno.

– Och, proszę. Jeszcze nie chcę iść do łóżka – odparła dziewczynka, jakby miała się rozpłakać.

– No już dobrze. – Zaprowadził ją do salonu. Program telewizyjny już się skończył, więc włączył wideo i włożył nową kasetę.

Potem usiadł przy niej na kanapie i czekali, aż film się zacznie.

– To był przyjemny wieczór, prawda?

– Tak... tak, było fajnie – powiedziała dziewczynka bez przekonania.

– Była... miła dla ciebie?

– Tak – przyznało dziecko. – Tak, obie były miłe.

Ojciec był zdumiony.

– Jak to obie? – zapytał.

– Były dwie.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Potem zapytał łagodnym głosem.

– Co to znaczy, dwie?

– Były dwie.

– Wpadła jedna z jej koleżanek?

Dziewczynka odpowiedziała dopiero po chwili. Ojciec, widząc strach w jej oczach, mimowolnie się wzdrygnął.

– Nie. Ale tato, to było trochę dziwne...

Część 1

1987

1

Weekend na odległym północnym zachodzie to był niespodziewany kaprys, sposób na zwalczenie następstw jesiennych ciemności. Wrzucili swoje rzeczy do starej toyoty Benedikta i bardzo podekscytowani wyjechali z Reykjavíku. Ale długa droga, często po marnych zwirowanych trasach, zajęła całe godziny. Już zapadała noc, zanim dotarli do półwyspu West Fjords. Do odległej doliny, która była ich celem zostało jeszcze kawał drogi, a Benedikt robił się coraz bardziej niespokojny.

Jechali przez położone wysoko wrzosowiska, przez pozbawiony drzew krajobraz, ponury i złowrogi w gęstniejącym mroku. Zjechali na brzeg przy położonej pośrodku odnodze wielkiego fiordu zwanego Ísafjarðardjúp.

Benedikt rozluźnił dłonie na kierownicy, bo droga przez jakiś czas biegła przytulona do niskiego brzegu. Potem wzniosła się na kolejną przełęcz. Kostki ponownie mu zbieleły, kiedy zaczęła opadać, wijąc się ostrymi zakrętami w stronę morza. Wzdłuż trasy, w mroku, ledwie było widać góry. Połyskiwały tylko punkciki światła. Fiord był niezamieszkały, farmy od dawna opustoszałe, mieszkańcy uciekli na ląd przed ciężkim życiem, niektórzy do miasteczka Ísafjörður, sto czterdzieści kilometrów od zębatej linii brzegowej fiordu, inni do jasnych świateł Reykjavíku na dalekim południowym zachodzie kraju.

– Nie wyjechaliśmy za późno? – zapytał Benedikt. – W ciemności nie znajdziemy chaty, prawda? – Wcześniej sam nalegał, żeby wyjechać, mimo że jeszcze nie był w tej części kraju.

– Wyluzuj – powiedziała. – Znam drogę. Latem byłam tutaj wiele razy.

– Właśnie, latem – odparł Benedikt, skupiając się ponuro na cienkiej wstędze drogi i jej nieprzewidywalnych zakrętach.

– No, no – rzuciła lekkim głosem, w którym śmiech czał się tuż pod powierzchnią.

Długo czekał na tę chwilę, podziwiał z daleka tę drobnej budowy, energiczną dziewczynę. Miał nadzieję, że ona czuje to samo do niego. Ale do niedawna żadne z nich nie uczyniło pierwszego kroku. Dopiero parę tygodni temu coś wreszcie zaiskrzyło między nimi, a iskra rozpała ogień.

– Niedaleko stąd jest skręt w Heydalur – oznajmiła.

– Mieszkałaś tu kiedyś?

– Ja? Nie, ale tato jest z West Fjords. Dorastał w Ísafjörður. Letni dom należał do jego rodziny. Zawsze przyjeżdżaliśmy tu na wakacje. To prawie raj.

– Wierzę ci, chociaż pewnie niewiele dziś wieczorem zobaczę. Nie mogę się doczekać, kiedy ta ciemność się skończy. – Przerwał i dodał z powątpiewaniem: – Tam jest elektryczność, prawda?

– Zimna woda i światło świecy – odpowiedziała.

– Poważnie? – Benedikt jęknął.

– Nie, żartuję. Jest gorąca woda, mnóstwo gorącej wody, elektryczność też.

– Powiedziałaś... hm, powiedziałaś swoim rodzicom, że tutaj przyjeździemy?

– Nie. To nie ich sprawa. Mama wyjechała, a poza tym robię, co chcę. Tacie powiedziałam tylko tyle, że w weekend nie będzie mnie w domu. Mój brat też wyjechał, więc i jemu nic nie mówiłam.

– Okej, chodziło mi tylko o to... że to ich letni dom, prawda? – Naprawdę chciał się dowiedzieć, czy jej rodzice wiedzą o ich wspólnym wyjeździe. Byłby to wyraźny znak, że zaczynają być ze sobą. Do tej pory cała sprawa była tajemnicą.

– To dom taty, ale wiem, że nie ma zamiaru tu przyjeżdżać. I mam klucz. Benni, będzie wspaniale. Tylko wyobraź sobie gwiazdy tej nocy: niebo ma być prawie zupełnie bez chmur.

Kiwnął głową, ale nadal miał wątpliwości co do tej wyprawy.

– Tutaj, skręć tutaj – powiedział nagle.

Wcisnął hamulce, prawie stracił kontrolę nad samochodem, ledwie udało mu się

skręcić. Droga zrobiła się węższa, niewiele szersza od ścieżki, więc zaczął jechać jeszcze wolniej.

– Musisz dodać gazu, bo nie dojedziemy przed świtem. Nie martw się, dasz sobie radę.

– Ale ja nic nie widzę. I nie chcę skasować wozu.

Roześmiała się, ten śmiech oczarował go, nagle poczuł się lepiej. To jej głos i szczerzy śmiech przyciągnęły go do niej na samym początku. Potem udało mu się usunąć wszelkie przeszkody z ich drogi. Opanowało go przemożne uczucie, że to jego przeznaczenie, sam początek, przedsmak przyszłości.

– Nie mówiłaś czegoś o gorącej kąpieli? – zapytał. – Byłoby świetnie poleżeć w niej po całym dniu objadania się po tych drogach. Poważnie, czuję to we wszystkich kościach.

– Hm, tak, zgadza się – odrzekła.

– Zgadza się? Co chciałaś przez to powiedzieć? Jest wanna z gorącą wodą czy nie?

– Zobaczysz... – Kiedy się z nią było, zawsze pojawiała się nęcąca niepewność. W tym też był jakiś powab, że miała zdolność zamieniania zwykłych spraw w tajemnice.

– Cóż, wszystko jedno, co to jest, nie mogę się doczekać.

Wreszcie wjechali w dolinę, w której stał letni dom. Benedikt nadal nie widział w mroku żadnych zabudowań, ale powiedziała, żeby zatrzymał samochód, i oboje wysiedli na zimne, świeże powietrze.

– Chodź za mną. Musisz oswoić się, żeby mieć więcej zaufania.

Śmiejąc się, wzięła go za rękę lekkim jak piórko dotknięciem. Poszedł za nią. Miał wrażenie, że to jakiś piękny czarno-biały sen.

Nagle zatrzymała się.

– Słyszysz morze?

Pokręcił głową.

– Nie.

– Ćś. Czekaaj. Nie ruszaj się i nic nie mów. Tylko słuchaj.

Skupił się i usłyszał ciche westchnienia fal. Wszystko wydawało się takie nierealne, magiczne.

– Brzeg jest niedaleko. Jutro możemy tam zejść. Chciałbyś?

– Oczywiście. Bardzo chętnie.

Trochę dalej zobaczyli zarysy letniego domu. Mimo ciemności dostrzegł, że dom

nie jest ani duży, ani nowoczesny. Wyglądał jak jedna z tych chat z lat siedemdziesiątych z dachem schodzącym ukośnie prawie do ziemi po obu stronach i z oknami z przodu i z tyłu. Wyszperała klucze w kieszeni watowanej kurtki, otworzyła drzwi i pstryknięciem włączyła światło, które rozproszyło mrok. Weszli do przytulnego pomieszczenia pełnego starych mebli, które dodawały wnętrzu wiejskiego uroku. Benedikt natychmiast wyczuł pozytywną aurę.

Chciał przyjemnie spędzić weekendową przygodę w samym środku pustki. Uczucie odosobnienia potęgowała myśl, że nikt nie wiedział o ich przyjeździe. Całą dolinę mieli dla siebie. To naprawdę było jak senne marzenie.

Część mieszkalna zajmowała większą część chatki, ale była tu też mała kuchenka, sąsiadująca z nią łazienka i schody drabina z tyłu pomieszczenia.

– Co jest na górze? – zapytał. – Sypialnia na poddaszu?

– Tak, chodź, szybko. – Weszła po drabinie paroma zręcznymi ruchami.

Benedikt poszedł za nią. Pod ukośnym sufitem była rzeczywiście sypialnia wyposażona w materace, kołdry i poduszki.

– Chodź tutaj – powiedziała, kładąc się na jednym z materaców. Nie miał sił, żeby się opierać.

2

Benedikt stał pod rozgwieżdżonym niebem i w chłodnym jesiennym wietrze grillował hamburgery na starym ruszcie opalanym węglem. Podróż dobrze się zaczęła, z optymizmem myślał o tym, co nadejdzie. Chociaż był do szpiku kości miastowym chłopakiem i zawsze uważał West Fjords za zimne i niedostępne, zdumiewało go, jak dobrze się tu czuje. Oczywiście, nie mógł mieć lepszego towarzystwa, ale i samo miejsce coś w sobie miało: samotność. Napełnił płuca chłodnym, czystym powietrzem, zamknął oczy i próbował znów usłyszeć morze. Zapach jesiennych liści mieszał się z apetycznym aromatem unoszącym się z nad grilla. Otworzył oczy. Stał za domem. Dopiero teraz dotarło do niego, że nigdzie nie zauważył wanny z gorącą wodą.

Kiedy skończyli kolację, zapytał:

– Więc gdzie jest ta gorąca kąpiel, którą mi obiecałaś? Obszedłem dom kilka razy i niczego nie znalazłem.

Roześmiała się figlarnie.

– To nie zajmie ci wiele czasu.

– Unikasz odpowiedzi.

– Wcale nie. Chodź ze mną.

Wstała i zanim zorientował się, wyszła za drzwi. Wybiegł za nią w październikową noc.

– Masz zamiar wyczarować gorącą kąpiel?

– Po prostu chodź ze mną. Zimno ci?

Wahał się przez chwilę, bo w cienkim swetrze było mu trochę chłodno, ale nie chciał się do tego przyznać. Czytając mu w myślach, wróciła do środka i wyszła z grubym, wełnianym *lopapeysem*. Był szary i miał tradycyjny czarno-biały wzór.

– Chcesz pożyczyć? To taty. Podwędziłam mu, żeby tutaj przywieźć. Jest na mnie dużo za duży, ale taki ciepły.

– Nie włożę swetra twojego taty. To byłoby nie w porządku.

– Twój wybór. – Wrzuciła sweter z powrotem do środka. Upadł na podłogę.

Zamknęła drzwi.

– To jakieś pięć, dziesięć minut drogi doliną – powiedziała, wyciągając rękę.

– Co to takiego?

– Gorąca sadzawka – rzuciła przez ramię. – To fantastyczne naturalne gorące źródło, świetnie się nadaje dla dwojga.

Kiedy jedli kolację, wszedł księżyc w pełni i zalał całą dolinę zimnym światłem. Benedikt pomyślał w duchu, że nie chciałby iść tą drogą w ciemną noc, bo nigdzie nie było widać świateł. Ani śladu ludzkich domostw, nie licząc letniego domu, który już za nimi zniknął. Ale przecież to była przygoda, a on kochał się po uszy w tej dziewczynie i chciał wykorzystać sytuację do końca.

Zdążył się już zorientować, że gorącej sadzawki nie ma nigdzie w pobliżu.

– Daleko jeszcze? – zapytał niepewnie. – Nie nabierasz mnie, co?

Roześmiała się.

– Nie, jasne, że nie. Popatrz. – Pokazała na koniec wąskiej doliny, a tam, u podnóża góry, zobaczył jakiś budynek, a obok niego białe smugi pary, które unosiły się w świetle księżyca.

– Tak, to tam. Widzisz szopę? Stoi przy sadzawce. To stara chatka używana jako przebieralnia.

Poszli w stronę sadzawki, ale kiedy znaleźli się bliżej, Benedikt zorientował się, że drogę przecina górski strumień. Widział jak światło księżyca odbija się od strugi i wirów.

– Gdzie mostek? – zapytał, gwałtownie się zatrzymując. – A może mamy to obejść?

– Zaufaj mi. Znam tę okolicę jak własną dłoń.

Kiedy doszli do brzegu strumienia, powiedziała:

– Tu nie ma mostka, ale tędy da się przejść. Widzisz kamienie?

Benedikt pokiwał głową. Zobaczył kilka kamieni wystających nad powierzchnię, ale kiedy zrozumiał, w czym rzecz, bardzo nie spodobał mu się ten widok.

– To nic takiego. Po prostu po jednym kamieniu na raz i już przeszedłeś. – Zdjęła buty, skarpetki i przeszła, jakby robiła to przez całe życie. Zwinna jak kot, pomyślał Benedikt.

No cóż, nie dało się tego uniknąć. Za bardzo się wstydził, żeby pokazać, że się boi, więc idąc za jej przykładem, zdjął buty, wcisnął w nie skarpetki i wziął buty do ręki. Przygotował się, wszedł do wody, wzdrygnął się i cofnął. Przeklinał w duchu, bo poczuł, że woda jest lodowato zimna.

– No dalej, miejmy to już za sobą! – krzyknęła, stojąc na pozór nieprawdopodobnie daleko po drugiej stronie.

Znów wszedł do rzeki, stanął na pierwszym kamieniu, przeskoczył na kolejny. Potknął się, kiedy robił susa na trzeci. Ledwie udało mu się znaleźć oparcie dla palców i uniknąć katastrofy. Wreszcie przeszedł, westchnął z ulgą. Trochę drżał.

Podniósł wzrok i stwierdził, że rozebrała się i stanęła golutka na brzegu sadzawki.

– No, dalej – powtórzyła, wchodząc do gorącej wody.

Nie czekał na kolejne zaproszenie, zdjął ubranie, wszedł za nią i mało nie upadł na twarz, tak śliskie były kamienie na dnie.

– To absolutnie... niewiarygodne – powiedział, spoglądając na niebo, księżyc, gwiazdy i otaczającą ich ciemność. W parującej gorącej wodzie czuł się jak w kokonie. Podszedł blisko do dziewczyny.

3

Benedikt nie mógł powstrzymać szczykania zębami, kiedy wrócił do letniego domu po wyprawie do sadzawki. Nie miał pojęcia, która jest godzina. Zegarek zostawił w samochodzie, a jedyny zegar, mały, wiszący na ścianie salonu, zatrzymał się. Miało się wrażenie, że w tej pustce między górami a morzem czas przestał płynąć.

– Chodźmy zaraz do łóżka – zaproponował. – Przykryjemy się, marzną.

– Okej – powiedziała. – Pospiesz się. Pierwszy wchodzisz na górę. – Jej pieszczotliwy głos rozgrzał go trochę.

Benedikt chciał na nią poczekać, ale skoro się nie ruszała, zaczął wchodzić po drabinie. W sypialni na strychu panował mrok. Na próżno szukał włącznika światła.

– Czy tu, na górze, jest oświetlenie? – zawołał.

– Nie, głupku – zaprzeczyła czule. – To letni dom, a nie luksusowa willa.

Wymacał drogę w słabym księżycowym świetle z małego okna. Pościel zostawili w samochodzie, ale Benediktowi było za zimno, żeby schodzić do salonu, nie mówiąc już o wychodzeniu na dwór. Połączył dwa materace i wszedł pod kołdrę. Przeszedł go dreszcz, ale mimo to ogarnęło go szczęśliwe oczekiwanie. Na dole drabiny stała jego dziewczyna, zaraz miała do niego dołączyć, a byli tacy samotni, całe kilometry od najbliższego osiedla. Jakby na świecie nie było nikogo poza nimi.

Wkrótce usłyszał lekkie kroki. Wchodziła po drabinie i towarzyszył jej – dosłownie – blask. Oburącz trzymała stary świecznik, a płomień oświetlał jej twarz, nadając jej tajemniczego, jakby zauroczonego wyrazu. Obraz był tak nierealny, że Benedikt znów zadrzał.

Ostrożnie postawiła świecznik na podłodze. Pomyślał, że jeśli w tej starej, drewnianej chacie zaprószą ogień, konsekwencje będą z góry wiadome. Ale w tym momencie jego uwagę rozpraszał fakt, że była pólnaga.

– Och! – powiedział mimowolnie. Była tak niesamowicie piękna. Ale potem,

patrząc na świecznik, jednak zapytał. – Czy to nie jest niebezpieczne, żeby przynosić tutaj świecznik?

– Benni, a myślisz, że jak ludzie sobie radzą na wsi? Słowo daję, ależ z ciebie mieszczuch.

Roześmiał się.

– Nie wejdiesz pod kołdrę? Nie zimno ci?

– Wiesz, mi nigdy nie jest zimno. Naprawdę nie wiem dlaczego. – Zobaczył jej uśmiech w świetle świecy. Odwróciła się i bez wyjaśnień zeszła z drabiny.

– Wracasz na dół?

Nie odpowiedziała. Przesunął się trochę bliżej świecy, jakby jej ciepło miało przegnać chłód z jego kości. To samo słowo – nierealne – znów przyszło mu do głowy. Albo nie z tego świata. Tak, chyba tak to powinno brzmieć. Jednocześnie było w tym coś zakazanego, co czyniło wszystko jeszcze bardziej podniecającym.

Wróciła niemal natychmiast z butelką czerwonego wina i dwoma kieliszkami.

– To jest f...fantastyczne – zadygotał.

Wsunęła się pod kołdrę tuż obok niego.

– Proszę. Teraz przytulniej, Benni?

Nie byłby w stanie opisać uczucia, które go ogarnęło, gdy usłyszał, jak wymawia jego imię, tutaj i w taki sposób.

– Tak – odpowiedział, ale to słowo nie wyraziło wszystkiego co czuł.

– Wiesz, jeden z moich przodków mieszkał w pobliżu – rzekła, a z jej tonu wynikało, że zacznie opowiadać. Zawsze opowiadała historie i była to jedna z rzeczy, które w niej uwielbiał. Łatwo było się w niej zakochać. Zbyt łatwo, ale nie żałował niczego. Już nie.

– Ludzie mówią... – Przerwała, żeby uzyskać teatralny efekt i dodała żartobliwie. – Nie wiem, czy chcesz słuchać...

– Oczywiście, że chcę.

– Ludzie mówią, że jego duch nawiedza tę dolinę.

– No tak, oczywiście.

– Benni, możesz mi wierzyć albo nie, ale ludzie tak mówią. I dlatego nigdy w życiu nie chciałabym spędzić tu samotnej nocy. – Mocniej się przytuliła.

– Widziałś go? – zapytał, czekając aż przestanie go zwodzić. Jednocześnie czerpał z historii skrytą przyjemność. Uwielbiał słuchać jej opowiadań, chociaż nie zawsze wiedział, kiedy mówi serio.

– Nie... – odparła, ale w następującej po tym ciszy było coś, co zaniepokoiło

Benedikta. – Nie, ale wyczuwałam go... Słyszałam... słyszałam coś, czego nie potrafię wyjaśnić.

Powiedziała to tak poważnym głosem, że Benedikt poczuł się zdezorientowany.

– Pewnego razu, kiedy byłam tutaj z tatą – jako mała dziewczynka, a byliśmy tutaj tylko we dwoje – objawił się, kiedy poszłam do łóżka. W każdym razie obudziłam się i byłam sama. To był wieczór, wczesna wiosna, więc noce były jeszcze ciemne. Próbowałam zapalić świeczkę, ale knot nie chciał się zająć... i wtedy usłyszałam hałasy i – wiesz co, Benni? – nigdy w życiu tak się nie bałam.

Benedikt nic nie powiedział. Zaczął żałować, że zgodził się na wysłuchanie tej historii.

Odwrócił się, żeby na nią popatrzeć, i przez chwilę wydawało mu się, że widzi prawdziwy strach w jej oczach. Zamknął oczy, żeby się otrząsnąć z przykrego uczucia... że też nabrał się na takie bzdury.

– Nie wierzę w... – Nie skończył.

– Benni, to dlatego, że nie znasz całej historii – powiedziała cicho, a jej ton wskazywał na to, że nie powiedziała czegoś przerażającego.

– Całej historii? – powtórzył bezradnie.

– Spalono go na stosie. Wyobraź sobie: spalono na stosie.

– Bzdura. Nabierasz mnie?

– Myślisz, że tak bym zrobiła? Nie czytałeś o paleniu czarowników na Islandii?

– Paleniu czarownic? Masz na myśli siedemnasty wiek, kiedy palili stare kobiety za uprawianie czarnej magii?

– Stare kobiety? Bardzo rzadko palono kobietę, to byli głównie mężczyźni. Mój przodek był jednym z nich. Pomyśl Benni, postaraj się przez chwilę wyobrazić sobie jak to jest być spalonym w ognisku. – Zrobiła nagły gest, żeby podkreślić swoje słowa i przewróciła stary świecznik. Benedikt jęknął.

Świeczka upadła na drewnianą podłogę.

4

Szybko zareagowała, chwyciła świeczkę i włożyła ją z powrotem do świecznika.

Uśmiechnęła się.

– To mogło się źle skończyć.

– Uważaj, na litość boską – powiedział, na chwilę tracąc oddech ze strachu.

– I wiesz co? – mówiła dalej, tym samym cichym, urzekającym głosem, jakby nic się nie stało. – Sądzę, że był winny.

– Winny?

– Tak, czarodziejstwa. Nie zrozum mnie źle. Nie mówię, że zasługiwał na śmierć na stosie, ale najwyraźniej ocierał się o czarną magię. Zajmowałam się tymi, wiesz, magicznymi symbolami i tego rodzaju sprawami. To jest naprawdę fascynujące.

– Fascynujące? Wygłupy z okultyzmem?

– Nie, poważnie, uważam, że to dziedziczne, mam to w genach.

– Co? Czarną magię? – zapytał, nie wierząc własnym uszom.

– Tak, magię.

– Chyba sobie żartujesz.

– Benni, nie robię sobie żartów z takich spraw. Trochę eksperymentowałam. To jest ekscytujące. – Lekko go szturchnęła.

– Eksperymentowałaś?

– Tak, rzucałam zaklęcia – dodała filuternie. – Myślisz, że jak mi się udało złapać cię w moje sieci?

– Och, daj spokój.

– Wierz, w co chcesz. To twoja sprawa.

– Trudno mi uwierzyć, że jestem tutaj z tobą.

Roześmiała się.

– Nie napijemy się? – Butelka wina i kieliszki stały zapomniane przy świecy.

– Nie wyjdę spod kołdry, nadal jest mi za zimno.

– Zimno? – spytała przekornie. – A co, nie boisz się?

Nie odpowiedział.

– Na serio, boisz się?

– Oczywiście, że nie. – Znów się do niej przysunął, poczuł ciepło promieniujące z jej nagiego ciała.

– Nic się nie stanie. Póki świeczka się pali, on się nie odezwie. Tylko w ciemności, Benni, tylko w ciemności...

Sięgnęła do świecy, zgasła płomień palcami i odwracając się do Benedikta, pocałowała go w usta z ogromną czułością.

5

Benedikt, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, obudził się wcześniej. Spodziewał się, że w miejscu, skąd tak daleko było do hałasu z ulicy i budzików, będzie spał jak suseł i obudzi się późno.

Spało mu się też nie najlepiej. Może winna temu była bajka na dobranoc, o czarnej magii i paleniu czarowników na stosie. A może po prostu był podniecony, że wreszcie spędził z nią noc.

Nadal mocno spała, więc zszedł ostrożnie po drabinie, włożył sweter, spodnie, buty i wystawił głowę na dwór. Zapowiadał się piękny dzień. Było trochę zimno, ale nie wiało. Poszedł w stronę morza i w bladym porannym świetle po raz pierwszy dokładnie się rozejrzył po okolicy. Myślał, że północny zachód to wielkie, masywne góry stojące nad fiordami tak głębokimi, że zimą nie widać nad nimi słońca, ale tutaj, w samym środku Ísafjardardjúp, krajobraz był łagodniejszy, a porośniętą trawą dolinę z trzech stron otaczały długie, łagodne wzgórza. Braki w dramatyzmie krajobraz nadrabiał wszechogarniającym spokojem, poczuciem przestrzeni i pustki. Jedyne akcentami koloru w tym pozbawionym drzew krajobrazie były plamy jagód i bażyn i spokojne, błękitne wody fiordu.

Nad brzeg szedł dłużej, niż się spodziewał. Kiedy już tam dotarł, usiadł na kamieniu, żeby odpocząć, i patrzył na to, co było za wodą. Po drugiej stronie ujścia fiordu, na północnym brzegu Djúp, lśniła biel wiecznych śniegów, przypomnienie, że blisko stąd do północnego koła podbiegunowego. Dziewczyna powiedziała mu, że teraz prawie cały północny półwysep, od Hornstrandir do Snæfjallaströnd, jest niezamieszkały, nie licząc garsteczki farm, które jeszcze się tu trzymały. Na myśl o tym poczuł się trochę osamotniony.

Nie chciał za długo być poza domem, na wypadek gdyby się obudziła i nie wiedziała, gdzie jest. Szybkim krokiem poszedł z powrotem pod górę. Dobrze było rozprostować nogi, ale nie mógł już się doczekać, kiedy wróci do ciepłego pomieszczenia.

Nadal spała, gdy wszedł na górę, żeby zajrzeć do sypialni na strychu. Zdumiało

go, że może tak długo spać.

Cóż, to pierwsza okazja, żeby przygotować dla dziewczyny śniadanie do łóżka. Nic nadzwyczajnego, po prostu chleb, ser i trochę soku pomarańczowego. Zabrał ten prosty posiłek na strych.

Była taka piękna, gdy spała. Lekko ją trącił, ale nie odpowiedziała, tylko poruszyła się, kiedy nachylając się, wyszeptał jej do ucha, że śniadanie gotowe.

– Śniadanie? – zapytała. Uchyliła powieki i ziewnęła.

– Tak. Poszedłem do sklepu.

– Do sklepu?

– Żartowałem. Zrobiłem ci kanapkę.

Uśmiechnęła się i wyszeptała:

– Dziękuję, ale jeszcze w środku śpię. Będzie w porządku, jak zjem później?

– Tak, oczywiście. Chcesz pospać trochę dłużej?

– Byłoby super.

Benedikt pomyślał o krajobrazie – pusta dolina podbiła mu serce, mimo że wcześniej miał wątpliwości.

– Okej, nie ma problemu. Może pójdę na spacer, a potem zanurzę się w gorącej sadzawce.

– Tak, świetny pomysł. Zrób tak – powiedziała, przekręcając się na bok. – Nie spiesz się.

Benedikt szedł bez szczególnego celu. Bardzo mu się to spodobało. Po raz pierwszy od lat był całkowicie sam. Nikt nie mógł go zatrzymać. Otaczająca go przyroda niespodziewanie poprawiła mu nastrój. W powietrzu nadal unosił się wyraźnie odczuwalny przymrozek, ale tym razem włożył puchową kurtkę i podczas marszu szybko się rozgrzał. Chciał wymoczyć się w gorącej sadzawce, ale kiedy dotarł nad strumień, postanowił iść dalej i poznać dalszą część doliny. Trudno było zgubić się za dnia, szczególnie że góry wytyczały mu kierunek.

Czasem dobrze mieć czas tylko dla siebie, czas na myślenie. Wiedział, że znalazł odpowiednią kobietę, chociaż sam początek znajomości był trudny. Uważał, że świetnie do siebie pasują, że są dla siebie stworzeni, a przy tym na tyle różni, żeby życie nie było nudne. Nie miał jej za złe demonicznych opowieści o duchach, było w nich trochę wdzięku, chociaż nie bardzo wierzył we wszystko, co powiedziała mu wieczorem. Przodek spalony za czary... cóż, to możliwe. Na myśl o tym poczuł ciarki. To był przykry wstrząs, kiedy przewróciła świecę. Podejrzał, że to nie był przypadek, że zrobiła to rozmyślnie dla – hm – efektu. Była nieprzewidywalna, ale

teraz liczyło się tylko to, że się w niej zakochał, w jej wadach, we wszystkim, że wreszcie była jego.

Teraz potrzebował przede wszystkim spokoju, żeby pomyśleć o przyszłości. Jego od dawna pielęgnowane marzenie, żeby studiować sztukę dostało ostatnio przyspieszenia, kiedy kolega z college'u postanowił kandydować do jednej z najlepszych uczelni artystycznych Holandii. Benedikt, zachęcony jego przykładem, wysłał prośbę o formularz zgłoszeniowy, który teraz leżał na biurku i przypominał o podjętej decyzji. Zostało mu trochę czasu przed ostatecznym terminem.

Było kilka powodów, że do tej pory nie podjął decyzji. Przede wszystkim zakochał się, co nie pozwalało mu się skoncentrować na czymś innym. Ale do początku studiów był prawie rok, a rozłąka, jeśli nie będzie zbyt długa, nie musi zniszczyć ich związku. Na dobrą sprawę powinien napomknąć, że mogłaby przeprowadzić się z nim do Holandii. W końcu, tak jak on, lubiła przygody. Dalej była kwestia pieniędzy. Jego rodzina nie była zbyt bogata, więc nie miał własnych pieniędzy, z których mógłby skorzystać. Ale gdyby był ostrożny, mógłby żyć z pożyczki studenckiej. Wreszcie, jego rodzice. Był ich jedynym dzieckiem, które poczęli dość późno. Oboje zbliżali się teraz do sześćdziesiątki. Może miał podświadome poczucie winy, że ich porzuca. Ale szczerze, to prawdziwym powodem rozterek był prosty strach przed podjęciem decyzji. To było jasne jak słońce. Zawsze wybierał w życiu linię najmniejszego oporu, poszedł do college'u wybranego przez rodziców, brał udział w działalności społecznej i w sportach, bo się tego po nim spodziewano, a jesienią zaczął się uczyć, żeby zostać inżynierem, bo tak jak jego rodzice, był dobry z matematyki. Ale sam fakt, że łatwo mu szło w tej dziedzinie, nie oznaczał, że wykłady wzbudzają w nim choćby najmniejszy entuzjazm.

W ten weekend, kiedy inni pierwszoroczni zagrzebani w książkach, denerwowali się, żeby nie zostać w tyle, Benedikt miał zamiar na jakiś czas zapomnieć o studiach. I tak nie widział siebie jako inżyniera, czuł, że wrze w nim bunt. Czyste powietrze na pustkowiu wywierało na niego dziwnie elektryzujący wpływ, jakby wreszcie mógł zobaczyć wszystko we właściwych proporcjach. Dotarło do niego z oślepiającą jasnością, że nie przyjdzie na kolejny, cholerny wykład. Lepiej zostawi to – liczby i równania – innym, tym, których to naprawdę interesowało. Musiał znaleźć odwagę, żeby stawić czoło nie tyle rodzicom, co własnemu tchórzostwu, i zrobić to, co uważał za właściwe. Oczywiście, to byłby cios dla

mamy i taty, gdyby im powiedział, że rzuca uniwersytet i jedzie do Holandii studiować sztukę... Niemal śmieszyło go, kiedy wyobrażał sobie ich miny. Ale przecież wiedzieli, że nigdy nie był szczęśliwszy niż w garażu, zamknięty z pędzlami, farbami i płótnami. Tak było od lat i na swój sposób wspierali go, nawet zachęcali, zarazem nie odstępując od przekonania, że powinien studiować coś praktycznego. Sztuka nie może być czymś więcej niż hobby.

Dobrze pamiętał, jak nauczyciel sztuki rozmawiał z nimi po zakończeniu roku i próbował wyjaśnić, jak obiecującym artystą jest ich syn. Powiedzieli, że doskonale są tego świadomi. Ale kiedy nauczyciel powiedział, że chłopiec o potencjale Benedikta powinien zająć się malarstwem zawodowo, odpowiedzieli uprzejmymi frazesami. Od tamtego czasu Benedikt wiedział, że od niego zależy wybór drogi życiowej, i wiedział, jaka ta droga będzie. Brakowało mu tylko odwagi, żeby jego marzenia się spełniły.

Tak, może teraz będzie łatwiej, gdy ona stanie przy nim... Popatrzył na góry, optymizm podnosił go na duchu. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że zaszedł dalej, niż zamierzał. Był szczęśliwy, podjął decyzję, powietrze było rześkie i świeże, a intuicja mówiła mu, że ten poranek okaże się znaczącym punktem zwrotnym i ukształtuje jego przyszłość. Wszyscy jesteśmy kowalami swojego losu, powiedział do siebie i uwierzył w to bez zastrzeżeń. Kiedy wróci do domu, musi pójść za głosem serca.

Usiadł u podnóża góry, żeby odetchnąć po męczącej wędrówce, ale wkrótce zaczęło mu się robić zimno. Chłód podnosił się z ziemi, przenikał przez ubranie. Benedikt musiał się rozruszać.

Nie spieszył się, chciał dać jej czas, żeby dobrze się wyspała. W drodze powrotnej często się zatrzymywał, żeby nasycić się krajobrazem. Nie mógł się doczekać długiej kąpieli w gorącej sadzawce. Byłoby szkoda z tego zrezygnować. Musiał też nabrać doświadczenia w przechodzeniu przez rzekę. Nie będzie się gramolić jak idiota na jej oczach, kiedy znów wybiorą się razem. Nie pokaże po raz drugi, jaki z niego beznadziejny mieszcuch.

Idąc, folgował fantazjom na temat przyszłości, zastanawiał się, czy razem przeprowadzą się do Holandii, a jeśli tak, gdzie zamieszkają. Wyobraził sobie mieszkanie, przytulną studencką kawalerkę w jednym z tych nieprawdopodobnie wysokich, wąskich holenderskich domów nad kanałem. A po studiach zapewne wrócą na Islandię, najlepiej do starego centrum Reykjavíku, gdzie czułby się jak w domu.

Sercem nastawiony był na sztukę, ale teraz także na tę dziewczynę.

Po energicznym marszu znów znalazł się nad gorącą sadzawką. Tym razem udało mu się utrzymać równowagę na kamieniach prowadzących przez rzekę, chociaż były równie śliskie i zdradzieckie, co poprzedniego wieczoru. Dopiero kiedy osiągnął drugi brzeg, dotarła do niego myśl, co by się stało, gdyby się poślizgnął, a nawet złamał kostkę. Wołanie o pomoc na pewno nie dotarłoby do letniego domu, a stamtąd nie widać sadzawki.

Przestał o tym myśleć, rozebrał się i wszedł do parującej wody cudownie kontrastującej z przenikliwym jesiennym chłodem. Tak, usiądzie tu na dłuższy czas, a geotermalna woda będzie ochlapywała ciepłem jego ciało. Wokół sadzawki leżały płaskie kamienne płyty, cienki strumyk gorącej wody lał się z rury. Położył się, patrzył na nagie góry z długimi, poziomymi skalnymi warstwami porżniętymi wąwozami, na jesienną roślinność błyszczącą rdzawo i żółto w słońcu stojącym nad horyzontem. Był przyzwyczajony do geotermalnych basenów pływackich w Reykjavíku, ale to tutaj było autentyczne: w samym środku przyrody, z ptakami świergoczącymi nad głową, z szumem płynącej wody. Prawdziwa idylla. Miał nadzieję, że wizyty w tym miejscu staną się stałym obyczajem w ich życiu.

Benedikt stracił poczucie czasu. Jak długo był poza chatą? Bał się, że za długo. Miał nadzieję, że się nie obudziła, nie zniecierpliwiła się przez niego. Powinien wyjść, ale woda jakby ciągnęła go za kończyny, nie pozwalała wywlec się z ciepła. Powiedział sobie, że zasługuje na trochę dłuższy wypoczynek po wędrówce. Pewnie nie zaczęła się jeszcze zastanawiać, dokąd poszedł.

W końcu niechętnie wstał, uważając, żeby nie pośliznąć się na śliskim dnie ani nie zranić się o ostre kamienie.

Zapomniał wziąć z sobą ręcznik, więc najlepiej jak potrafił osuszył się ubraniem. Potem włożył wilgotne ciuchy. Drżał i trochę się bał, że zepsuje wycieczkę, łapiąc przeziębienie. Znów stanął wobec wyzwania. Musiał przejść przez rzekę po kamieniach. Denerwował się, ale prowadziło go uczucie: wróci do letniego domu i do niej, swojej prawdziwej miłości.

6

Hulda Hermannsdóttir, słysząc pukanie do drzwi, podniosła wzrok znad biurka. O tej porze, kiedy większość kolegów poszła do domu, jak zwykle pisała raporty. Zawsze zostawała do późna, chociaż odkąd zgodziła się na stałe nadgodziny, finansowo nie zyskiwała nic na swojej pracowitości. Ale dla niej liczyło się wzorowe wykonywanie obowiązków. Była ambitna, korciło ją, żeby być lepszą od innych, i nigdy nie uważała, że coś jest oczywiste. Uważała, że zawód detektywa to dobry zawód, ale płaca jest marna, i z niecierpliwością czekała na awans w wydziale kryminalnym, bo wiedziała, że to otworzy przed nią nowe możliwości.

Nie zapominała, jak zmagала się z życiem, nie tylko ona i jej matka, ale też dziadkowie, u których mieszkała. Kiedy dorastała, musieli liczyć się z każdym groszem, a konieczność ciułania i oszczędzania odbijała się na poziomie życia ich wszystkich. Matka i dziadek pracowali w różnych słabo płatnych zawodach robotniczych, a babka była gospodynią domową, ale Hulda od wczesnych lat żywiła skrywaną ambicję, żeby wyrwać się z pułapki biedy. Żeby to osiągnąć trzeba zdobyć wykształcenie. Sprzeciwiła się naciskom, żeby iść prosto do pracy i zacząć utrzymywać się na własną rękę, poszła do szkoły i jako jedna z nielicznych dziewczyn z jej rocznika celująco zdała egzaminy końcowe. Była wtedy najbardziej wykształconą osobą w rodzinie. Przez jakiś czas myślała o pójściu na uniwersytet, ale nic z tego nie wyszło, bo dziadkowie postawili na swoim i powiedzieli, że najwyższy czas, żeby opuściła dom i zaczęła żyć za swoje. Matka wstawiała się za nią, ale słabo. Może wystarczyło jej to, co córka osiągnęła do tej pory: w końcu zdane egzaminy końcowe to nie jest coś, na co można kręcić nosem. Trochę z przypadku, trochę bo się uparła, Hulda trafiła do policji. Przeglądała ogłoszenia o pracy z koleżanką ze szkoły. Zauważyły tymczasową pracę na lato dla „policjanta”. Koleżanka Huldy powiedziała, że o tym można zapomnieć, bo to przecież nie jest dla kobiet, co sprowokowało Hulde, która z tym się nie zgodziła, twierdząc, że ma taką samą szansę dostania tej pracy jak każdej innej. Praca tymczasowa zmieniła się w stałą – kiedy była w policji pojawiło się kilka wakatów,

co utrudniło odrzucenia jej podania – i ukończyła szkolenie w biurze komisarza policji w Reykjavíku, a potem przeszła do śledztw w sprawach kryminalnych i skończyła jako detektyw w wydziale kryminalnym. Jej szef, Snorri, był detektywem starej szkoły, spokojnym, ale stanowczym i miał awersję do nowoczesnej technologii. To on stał teraz w drzwiach.

– Huldo, moglibyśmy zamienić słówko? – zapytał uprzejmie. Zawsze był trochę sztywny, niezbyt przyjacielski z natury, ale z drugiej strony nigdy nie podnosił na nią głosu, jak na innych młodszych policjantów. Wydawało się jej, że wie dlaczego: bo widział w niej kobietę, a nie kolegę i po prostu nie brał jej za bardzo na serio.

– Tak, oczywiście. Wejdz. Właściwie już miałam kończyć. – Rozejrzała się, popatrzyła na biurko i pożałowała, że nie wyszła parę godzin wcześniej. Błat pokryty był stosami papierów, raportów i dokumentów, co świadczyło, że Hulda spędza za dużo czasu na analizach. Stały tam tylko dwa osobiste przedmioty, zdjęcie Dimmy i zdjęcie Jóna. To pierwsze zrobiono całkiem niedawno, to drugie przed wielu laty, kiedy ona i Jón dopiero się poznali. Na zdjęciu miał długie włosy, ubrany był w beznadziejnie niemodne jaskrawe ciuchy z lat siedemdziesiątych. To Jón taki, jakim był dawno temu, zupełnie inny od zapracowanego biznesmena z 1987 roku. Oba zdjęcia stały odwrócone w jej stronę, a nie w stronę gości.

Snorri nie usiadł, czekał, nic nie mówił, jakby dawał jej szansę, żeby skończyła to, nad czym pracowała.

– Chciałem się tylko upewnić, czy ty – i oczywiście twój mąż – na pewno przyjdziecie do mnie przed piątkową imprezą.

Jak było w jego zwyczaju, zaprosił ich do swojego domu na drinki przed rocznym party policji. Hulda uważała, że to wyjątkowo nudna okazja, ale posłusznie pojawiała się na niej co roku i ciągnęła z sobą Jóna, który zawsze stawał w kącie i nawet nie próbował być towarzyski. Żałowała, że nie był choć trochę bardziej pozytywnie nastawiony do jej zawodu i nie chciał poznać jej kolegów.

– Tak, oczywiście – odparła Hulda. – Nie potwierdziłam przyjęcia zaproszenia? Przepraszam, musiałam zapomnieć. – Pomyślała, że to dobra okazja, żeby porozmawiać ze Snorrim o czymś, co nie dawało jej spokoju. – Przy okazji...

– Tak, Huldo?

– Słyszałam, że Emil wkrótce idzie na emeryturę...

– Tak, zgadza się. Przecież posunął się w latach. Cóż, zostanie po nim wielka dziura.

Zawahała się, pospiesznie szukała właściwych słów.

– Myślę o zajęciu jego stanowiska.

Snorri wyglądał na zakłopotanego. Najwyraźniej nie spodziewał się tego.

– Och, doprawdy? – wymamrotał w końcu. – Naprawdę, Huldo?

– Mam chyba mnóstwo do zaoferowania. Znam się na pracy, mam doświadczenie.

– Oczywiście, oczywiście. Ale nadal jesteś bardzo młoda. Ale tak, jesteś z pewnością doświadczona i godna zaufania, nie można temu zaprzeczyć.

– Właściwie to mam prawie czterdziestkę.

– No tak. Huldo, w moich oczach to znaczy, że jest się jeszcze młodym i... cóż, zupełnie z innej strony...

– Mam zamiar napisać podanie, kiedy stanowisko się zwolni. Czy to nie ty podejmujesz ostateczną decyzję, kto dostanie tę pracę?

– Cóż, właściwie tak. Z punktu widzenia... technicznego.

– Mogę liczyć na twoje wsparcie, prawda? Żaden z policjantów służących pod tobą nie pracował dla ciebie tak długo jak ja... – Chciała powiedzieć: nie jest taki dobry jak ja.

– Całkowita racja, absolutna racja, Huldo. – Po krótkiej, niezręcznej przerwie dodał: – Ale wydaje mi się, że Lýdur też ma zamiar wystąpić z podaniem.

– Lýdur? – Chociaż ich ścieżki rzadko się krzyżowały, Hulda nie miała o nim najlepszej opinii. Był obcesowy, potrafił być wręcz grubiański, chociaż bezsprzecznie miał wyniki. Hulda dysponowała znacznie większym doświadczeniem, więc nie powinien stanowić zbyt wielkiego zagrożenia.

– Tak, jest bardzo zainteresowany – powiedział Snorri. – Już ze mną rozmawiał na temat tego stanowiska i... podzielał jego pogląd na to, co można by zrobić lepiej i jak rozwiązywać sprawy.

– Ale on dopiero co przyszedł do wydziału.

– Niezupełnie tak. A długość służby to nie wszystko.

– Co ty mówisz? Że nie powinnam starać się o to stanowisko?

– Huldo, oczywiście, że możesz – powiedział Snorri z zawstydzoną miną. – Ale między nami, mam przeczucie, że Lýdur dostanie ten awans. – Uśmiechnął się i wyszedł. Hulda zrozumiała, o co chodzi.

7

Co za totalna strata czasu, żeby wlec się tutaj z powodu jakiejś głupiej dziewczyny – powiedział inspektor Andrés z policji w Ísafjörður do młodego człowieka obok niego, żółtodzioba, który służył pierwszy rok.

Andrés stracił już rachubę lat spędzonych w zawodzie. Teraz wszystko go denerwowało, a telefon od kobiety z Reykjavíku nie był wyjątkiem. Szukała córki – dorosłej córki, rozumiecie. Trzeba głośno powiedzieć, że córka miała już dwadzieścia lat. Andrés szybko spławił kobietę, mówiąc bez ogródek, że nie rozumie, jak dorosły może się zgubić. Musiał przyznać, że była uprzejma w obliczu jego grubiaństwa, cierpliwie wyjaśniała, że nie ma informacji od córki od kilku dni i że to do niej niepodobne. Rodzina miała letni dom w miejscowości Heydalur w Mjóifjörður, dwie godziny jazdy z Ísafjörður, a dziewczyna dysponowała kluczem do domu. Kobieta zastanawiała się, czy ktoś z policji w Ísafjörður nie będzie przypadkiem tamtędy przejeżdżał, żeby móc podjechać do doliny i sprawdzić, czy w domu są jakieś ślady życia.

Andrés odpowiedział szorstko, że do policji nie należy bieganie na posyłki za ludźmi, i dodał niechętnie, że sam tam później pojedzie, bo i tak wybiera się w tamtą stronę. To nie była prawda, ale pracy tego dnia było niewiele i pomyślał, że mógłby pojechać z nowym rekrutem, zamiast siedzieć beczynn timer i stukać kciukiem o kciuk na komisariacie. Zrzędził przez całą drogę. Kiepska pogoda była tylko kolejnym pretekstem do narzekań.

– Totalna strata czasu – powtórzył Andrés.

Żółtodziób wybełkotał jakąś odpowiedź. Niewiele mówił. Kiedy tylko otwierał usta, Andrés z przyzwyczajenia rzucał mu się do gardła i szydził z jego niedoświadczenia.

Andrés miał władzę, i lata roboty policyjnej za sobą i nikt nie miał prawa o tym zapominać. Czego nowy rekrut nie wiedział, to że Andrés stracił oszczędności całego życia, a nawet więcej na hodowli norek z miejscowym biznesmenem i był zmuszony zdać się na łaskę i niełaskę lichwiarza. Teraz pieniądze za duże,

w stosunku do jego pensji policyjnej, szły na spłatę tego drania.

Po przebyciu męczącej nabrzeżnej drogi wokół sześciu fiordów wreszcie dojechali do doliny. Andrés pojechał dalej, do miejsca, w którym droga się kończyła, ale nadal nie było ani śladu budynku. Psioczył, narzekał, wysiadł z samochodu i kazał żółtodziobowi zostać w aucie. Dalej poszedł pieszo, szarpany przez wiatr, polewany deszczem. Wreszcie zobaczył letni dom.

– To musi być to – wymamrotał pod nosem.

Niedobrze mu się robiło od tego, miał dosyć islandzkiego klimatu i ponurej monotonii życia tutaj, na surowym północnym zachodzie. Lato było tu za krótkie i za chłodne, a teraz nastąpiła już jesień. Jego stary kolega szkolny zwykł spędzać najgorsze zimowe miesiące w Hiszpanii, ale to był luksus, o którym Andrés mógł tylko pomarzyć. Przez całe życie jeździł bez końca wzdłuż niezliczonych fiordów w swoim okręgu, żeby załatwiać bezsensowne wezwania, takie jak to. Jeśli dziewczyna chciała od tego wszystkiego uciec i spędzić kilka dni w oddzielonej od świata dolinie w West Fjords, to za co ją winić?

Dom był jedną z tych konstrukcji starego stylu, w kształcie litery A, bez okien w bocznych ścianach, tylko po dwóch stronach drzwi frontowych i prawdopodobnie także z tyłu. Andrés podszedł do chaty, beznamiętnie ignorując zacinający na wietrze deszcz. Był przyzwyczajony do gorszych rzeczy. Zapukał do drzwi i czekał, ale nie było odpowiedzi. Jeśli się tak zastanowić, to nigdzie w dolinie nie widział zaparkowanego samochodu, więc prawie na pewno nikogo tutaj nie było. Znów zapukał.

Znów nie doczekał się odpowiedzi, zajrzał przez okno, bo nie chciał od razu rezygnować. Szyba była stara i mętna, trudno było coś przez nią zobaczyć i Andrés uznał, że w środku nikogo nie ma. Już wcześniej pomyślał, że to szukanie wiatru w polu, ale i tak tutaj się przywłókł. Chyba tylko dlatego, żeby mieć na co narzekać przez następne kilka tygodni i opowiadać, jakim utrapieniem są miastowi. Ale wtedy zobaczył, albo wydawało mu się że zobaczył, jakiś kształt.

Czy mu się wydawało, czy to było ciało leżące na podłodze?

Z trudem przyszło mu w to uwierzyć, ale wzrok miał dobry.

Chryste.

Będzie musiał wejść do środka, żeby przypatrzeć się z bliska. Rozwagał możliwości. Stłuc szybę, czy wyważyć drzwi? Łatwo poszłoby mu z tym pierwszym, to drugie wymagałoby wysiłku. Potem przyszło mu do głowy, żeby spróbować otworzyć drzwi klamką i – uwierzylibyście? – otworzyły się, uwalniając

odór, od którego się zatoczył.

Co u diabła?

Pobiegł w stronę radiowozu i machnął na rekruta, żeby wysiadł i podszedł.

– Musisz zostać na dworze – powiedział. – Ja wchodzę.

– Co... co to za smród? – zapytał zszokowany chłopak, kiedy dotarli do chaty.

– To mój chłopcze jest zapach śmierci.

8

Nawet takim starym wygą jak Andrés wstrząsnęła scena, którą zobaczyli. Ale do czegoś takiego nie można się przyzwyczaić.

Na podłodze leżała dziewczyna, oczy miała przerażająco szeroko otwarte, a pod głową kałużę zaschniętej krwi.

Pierwsze co przyszło Andrésowi do głowy, że albo upadła na plecy, albo ktoś ją popchnął. Zadrżał na tę myśl i tylko miał nadzieję, że jej koniec był szybki i bezbolesny. Z opisu, jaki przedstawiła mu jej matka, wynikało, że niestety to jej zaginiona córka. Miał nadzieję w Bogu, że kto inny zostanie obarczony zadaniem przekazania jej tej wstrząsającej informacji.

Jego uwagę rozproszył nagły dźwięk dochodzący z dworu. Rozejrzał się i zobaczył, że rekrut wyrzuca z siebie wnętrzności. Zwalczył pokusę, żeby dać mu ochrzan. To nie był właściwy moment. Poza tym na nic by się to nie zdało. Dziewczyna nie żyła, ale Andrés schylił się, żeby mimo to sprawdzić jej puls, i stwierdził, że ciało jest zimne. Biedactwo musiało tu leżeć całe dni.

Co do diabła się stało?

Czy to był wypadek? Dziwił go brak samochodu. Jak mogła się tu dostać bez wozu? Logika wskazywała, że ktoś musiał z nią być. Ale jeśli tak, to dlaczego nie zgłoszono zgonu? Przyszła mu do głowy inna możliwość – morderstwo. W jego rejonie? To przecież było nie do pomyślenia.

Wiedział, że niewiele będzie miał do powiedzenia podczas śledztwa. Zreflektował się jednak, że tak byłoby lepiej, przecież nie ma doświadczeniach w dochodzeniach dotyczących morderstw. W jego części kraju od lat nie było zabójstwa i szczerze mówiąc, nie sądził, żeby przez ostatnie dziesięć lat na całej Islandii było ich wiele. Ale wiedział przynajmniej tyle, że musi być ostrożny, żeby nie zniszczyć dowodów.

To przecież mógł być wypadek. Ale Andrés miał nieprzyjemne przeczucie, że popełniono tutaj koszmarną zbrodnię.

9

Veturlidi obudził się dużo za wcześnie po niespokojnej nocy. Była zaledwie szósta rano, w domu panowała cisza. Granica między snem a jawą ostatnio zacierała się. Wszystko otulone było mgiełką, dzień zamieniał się w noc, noc w dzień. Mijał październik, na dworze było prawie bez przerwy ciemno, a przynajmniej takie można było odnieść wrażenie, chociaż pogoda była nadzwyczajnie dobra, jak na tę porę roku.

Veturlidi i jego żona Vera mieszkali w dwupoziomowym mieszkaniu w Kópavogur, mieście sypialni na południe od Reykjavíku. Ich dom był czymś w rodzaju źle pomyślanej mieszanki szeregowki i bloku.

„Idealne miejsce”, brzmiał werdykt Very, kiedy go kupowali.

„Mnóstwo miejsca dla rodziny”. Istotnie, dom był obszerny, składał się z dwóch poziomów, piwnicy i miał porządny, wychodzący na południe balkon oraz wspólny ogród i plac zabaw na tyłach.

Veturlidi pracował dla małej firmy księgowej, ale ponieważ właśnie był na urlopie, nie wiedział zaraz po przebudzeniu, co to za dzień tygodnia. Pomyślał, że to środa albo czwartek. Nie nastawili budzika, bo Vera, kasjerka w miejscowym banku, też była na zwolnieniu.

Przydałoby mu się pospać dłużej, choćby do czasu, kiedy syn wstanie, żeby pójść do college’u. Chłopcu zaproponowano więcej wolnego, ale nie chciał się opuszczać w nauce i wrócił po tygodniu. Rodzice próbowali go od tego odwieść, ale na próżno. Zawsze chodził swoimi drogami. Był samodzielny i uparty, był też bardzo rozgarnięty. Oboje uważali, że pewnego dnia coś z niego będzie.

Veturlidi zamknął oczy, chciał znowu zasnąć, ale bał się snów, które mogły na niego czyhać. Teraz czuł się permanentnie wyczerpany. Sen bez koszmarów był największym luksusem, jaki mógł sobie wyobrazić. Leżał przez dłuższy czas, ale nic z tego nie wychodziło, był za bardzo pobudzony. Musiał czymś się zająć, bo inaczej jego myśli zaczną wznosić się i opadać po spirali, prowadząc go do miejsc, do których nie chciał iść. Nie teraz.

Usiadł, najostrożniej jak mógł, i wstał z łóżka, starając się nie obudzić Very. Na szczęście, chociaż ten jeden raz, smacznie spała. Kiedy wstawał, materac cicho zaskrzypiał, trochę się poruszyła, ale ku jego uldze nie obudziła się. Dobrze, że chociaż jedno z nich może spać.

Przyszło mu do głowy, żeby zejść do kuchni i zrobić sobie kawy, ale miał wątpliwości, bał się, że narobi za dużo hałasu. Na paluszkach przeszedł korytarzem, żeby zajrzeć do syna. Drzwi do pokoju chłopca jak zwykle były zamknięte.

Veturlidi bardzo ostrożnie je uchylił i wsunął głowę do środka. Chciał tylko się upewnić, że wszystko jest w porządku. Tak, chłopak leżał, mocno spał. Veturlidi zamknął drzwi z uśmiechem. Oczywiście, niepotrzebnie się martwił, ale takie było teraz ich życie. Nieustannie się niepokoili.

Boże, potrzebna mu była kofeina, żeby nabrać tempa. Ale najbardziej potrzebował czegoś mocniejszego. Zaskakujące, że jeszcze nie poddał się pokusie. To musiał być znak, że tkwił w nim rdzeń jakiejś wewnętrznej siły, o której nie wiedział. Alkohol stał się częścią jego życia jeszcze w szkole, ale zawsze udawało mu się panować nad piciem, a przynajmniej tak mu się wydawało. Potem spotkał Verę. Chociaż sama nie tykała alkoholu, nie przeszkadzało jej, że czasem wypił szklaneczkę, ale z latami drinków było coraz więcej. W końcu nałóg zaczął mieć szkodliwy wpływ na pracę i parę razy mało nie wyleciał z roboty. Próbował ukryć to przed Verą, ale oczywiście, przejrzała jego podstęp. Zamiast jednak odpowiednio uchwycić problem, całkowicie zrezygnować z picia, zmniejszył tylko spożycie.

Nieuchronnie musiał wcześniej czy później przynieść z sobą problem do domu. Nabrał zwyczaju ukradkowego picia w mieszkaniu, kiedy tylko była okazja. Ta niebezpieczna gra musiała się źle skończyć. W ciągu kilku miesięcy alkohol stał się tak ważną częścią jego życia, że rodzina została zepchnięta na drugie miejsce, a z tego wynikało wiele rozmaitych nieprzyjemności w domu, które nawet zagroziły małżeństwu. Pił jawnie, przy żonie i dzieciach, i czasem tracił panowanie nad sobą, ale nigdy nie robił się agresywny. Tutaj nakreślił granicę. Ale zdążył przekroczyć tyle innych granic, że w końcu Vera przedstawiła mu ultimatum: albo pójdzie na odwyk, albo się wyprowadzi. Wybór był prosty, ale bolesny: nigdy nie pozwoliliby, żeby alkohol zniszczył małżeństwo, więc oczywiście wybrał odwyk, ale wyeliminowanie alkoholu z krwioobiegu i tęsknoty za nim z duszy było najtrudniejszym wyzwaniem, którego kiedykolwiek się podjął. Co gorsza, Vera

bardzo wstydziła się tej sytuacji. Nie chciała mówić kolegom, że mąż jest w ośrodku rehabilitacyjnym. Za wszelką cenę próbowała utrzymywać pozory. Ale sąsiedzi nie mogli nie słyszeć krzyków i wrzasków, a czasem, kiedy Veturlidi wracał do domu późno, po popijawie, czuł ciekawe oczy patrzące z zaciemnionych okien. Paranoicznie wyobrażał sobie szeptę z przysłyszanych zasłon, sąsiadów obgadujących pijaka mieszkającego obok i użalających się nad jego rodziną.

W istocie to nie była tylko paranoja. Gdy przebywał w klinice odwykowej, dotarły do niego plotki. Niektórzy prawidłowo się domyślili przyczyn jego nieobecności i pogłoski wreszcie wróciły do niego i do Very. Veturlidi miał dość wybiegów i zapytał żonę, czy nie mogliby po prostu powiedzieć prawdy. Popatrzyła na niego, jakby postradał rozum. Bardziej niż cokolwiek liczyło się zachowanie nieskazitelnej fasady wobec świata.

Dzień, w którym wreszcie wrócił do domu trzeźwy, był wielką ulgą. Rodzina przywitała go z radością. Vera była zupełnie innym człowiekiem, jakby z ramion spadł jej wielki ciężar. Minęło trochę czasu i Veturlidi odkrył, że potrafi zachować trzeźwość. Więc zaczął się zastanawiać, czy będzie w porządku pozwolić sobie na trochę trunku – oczywiście umiarkowanie, kiedy nikt nie będzie widział. Myślał o tym przez dłuższy czas i w pewien weekend, kiedy był sam w domu, wprowadził pomysł w życie.

Nie dał się przyłapać. Był ostrożny, pił tylko w weekendy, kiedy był sam. Albo w domu, kiedy reszta rodziny wyjeżdżała, albo poza domem, kiedy udawało mu się wymknąć na weekend bez wzbudzania podejrzeń. Czasem takie wyprawy można było w jakimś stopniu wytłumaczyć pracą, ale w innych wypadkach musiał uciekać się do niewinnych kłamstewek, żeby znaleźć sobie pretekst do wyjazdu z miasta. Nie zawsze mogło mu to uchościć na sucho, ale istotnym było, żeby Vera niczego nie podejrzewała. Na takie okazje zazwyczaj wybierał się do West Fjords, do ich letniego domu stojącego pośrodku niczego, z butelką jako jedynym kompanem. A raczej z butelkami. Gdyby miała zdarzyć się sytuacja krytyczna, bardzo pomysłowo schował kilka flaszek wokół domu.

Usprawiedliwiał sam przed sobą to oszustwo, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę z wewnętrznej sprzeczności. Widział w tym dowód na to, że potrafi kontrolować picie i może pić dalej. Przecież nie mógł być ciężkim przypadkiem alkoholika, skoro stać go było na taki poziom powściągliwości.

Ale w tej chwili potrzebował mocnego trunku bardziej niż kiedykolwiek. Musiał poczekać na okazję. Tak wcześnie rano nie mógł sobie nawet zrobić kawy, nie

ryzykując, że obudzi żonę i syna. Do cholery z tym.

Veturlidi zszedł do salonu niemal na paluszkach. Było tam czysto, schludnie i dziwnie spokojnie, jakby nic się nie stało, jakby ich świat nie rozpadł się na kawałki.

Zapowiadał się piękny jesienny dzień. Veturlidi otworzył drzwi balkonu i wyjrzał na zewnątrz. Był w piżamie, wdychał świeże poranne powietrze. W sąsiedztwie o tak wczesnej godzinie panowała cisza. Z rzadka przejeżdżał samochód, z oddali dobiegało słabe brzęczenie ruchu ulicznego. Stał tak przez dłuższy czas niepomny na chłód i wsłuchując się w ciszę, patrząc w ciemność, sam na świecie, doświadczał spokoju i od dawna pożądanej pogody ducha.

Potem poszedł na górę, żeby znów się położyć i sprawdzić, czy uda mu się zasnąć. Kiedy wszedł do pokoju i położył się do łóżka, cisza została bez ostrzeżenia przerwana.

Veturlidi drgnął, serce mocno mu zabiło, znów wyskoczył z łóżka.

Czy to był dzwonek do drzwi? O tak wczesnej porze? Zastygł na chwilę w bezruchu, żarliwie pragnął, żeby to były omamy słuchowe.

Dzwonek znów zadzwonił, tym razem dłużej. To nie była pomyłka, ktoś stał przed drzwiami. Veturlidi zbiegł na dół, ale trwało to dziwnie długo, jakby poruszał się w zwolnionym tempie. Teraz ktoś dobijał się do drzwi, i to dosłownie. Veturlidi poczuł, że serce mu wali. Co, do diabła, się dzieje?

Doszedł do drzwi, już miał je otworzyć, kiedy usłyszał za sobą hałas. Odwrócił się i zobaczył Verę, która w nocnej koszuli, zaspana, stała na podeście schodów.

– Veturlidi, co się dzieje? – zapytała zaniepokojona. – Czy ktoś puka? Jest tak wcześnie. Co... Czy coś się stało? – Głos jej drżał. – Czy wszystko w porządku z... z...?

Veturlidi szybko odpowiedział.

– Tak, kochanie. Z nim jest w porządku. Śpi mocno w swoim łóżku. Nie wiem, kto się dobija, ale zaraz sprawdzę.

Znów rozległo się pukanie, nawet głośniejsze niż poprzednio.

Veturlidi otworzył drzwi.

10

Za drzwiami zobaczył dwóch mężczyzn po cywilnemu, w których natychmiast rozpoznał detektywów prowadzących śledztwo w sprawie śmierci córki.

Przytłoczył go strach: przecież nie przyszliby o tej porze z pomyślnymi informacjami.

Czuł się jak idiota, stojąc w piżamie, niezdolny przez chwilę do wypowiedzenia słowa. Odchrząknął wreszcie i wychrypiał powitanie.

Kiedy zerknął za siebie, zobaczył, że Vera nadal stoi jak wrośnięta w ziemię, jakby nie chciała podejść bliżej.

– Dzień dobry, Veturlidi – odezwał się starszy, który mógł mieć niewiele ponad trzydziestkę. Lýdur, tak się nazywał. – Możemy wejść na chwilę?

Veturlidi usunął się na bok, detektywi weszli do korytarza, ale nie mieli zamiaru przejść dalej.

– Może byście... weszli do salonu? – zapytał nieśmiało Veturlidi. – Moglibyśmy... zaparzyć kawę...

– Nie, dziękujemy – odparł Lýdur i dodał, raczej pod adresem Very: – Przepraszamy za tak wczesną wizytę. I przykro nam, że... hm...

Tym razem to on szukał słów.

W tej chwili Veturlidi usłyszał inny dźwięk na górze, podniósł wzrok i zobaczył, że obok matki, na podeście, pojawił się syn, zaspany, rozczochrany, w samych majtkach.

– Co się dzieje? – zapytał chłopiec Verę. – Mamo? Co oni tutaj robią? – Nie odpowiedziała. – Tato? – zwrócił się do Veturlidiego z przestraszoną miną.

– Będziemy musieli prosić pana, żeby poszedł pan z nami – powiedział Lýdur po chwili niezręcznej ciszy.

Veturlidemu, który nadal patrzył na żonę i syna, zajęło chwilę, zanim zrozumiał, że te słowa były skierowane do niego.

Odwrócił się.

– Kogo?

– Pana. Do pana mówię, Veturlidi.

– Do mnie? Chcecie, żebym z wami poszedł? Teraz? Wiecie która godzina? – Próbował zachować spokój.

– Tak, musi pan z nami pójść. Doskonale wiemy, że jest wcześnie, ale to pilne.

– Co to ma znaczyć? Dlaczego?

– Obawiam się, że nie mogę o tym tutaj mówić.

Młodszy z detektywów troszeczkę się odsunął, nic nie mówiąc.

– Ja... ja... – Veturlidi zaplątał się, nie wiedział, jak zareagować. Nie wiedział, o co chodzi.

– No, dalej, nie przeciągajmy tego – rzucił Lýður stanowczym tonem.

– Ja... Dajcie mi chwilę. Tylko tyle, żebym się obudził do końca i pożegnał syna, zanim pójdzie do szkoły.

– Przepraszam, ale musi pan z nami pójść teraz.

– Ale ja muszę... Na pewno chodzi o mnie?

– Obawiam się, że tak. Przyszliśmy pana aresztować.

– Aresztować mnie? Zwariowaliście? – Podniósł głos, co dla niego samego było zaskoczeniem. – Aresztować mnie? – powtórzył. Teraz krzyczał, jego słowa rozchodziły się echem w ciszy poranka.

Słyszał, jak Vera płacze. Odwrócił głowę i zobaczył przerażenie na jej twarzy, łzy lały się jej po policzkach.

– Veturlidi! – wyjęczała. – Veturlidi...?

– Chyba nie aresztujecie mojego taty? – wciął się głośno chłopiec.

– Cóż... – Detektyw zawahał się, najwyraźniej nie wiedząc, jak wyjaśnić to synowi. – Twój ojciec musi z nami pójść, żebyśmy mogli spisać zeznanie. To wszystko. – Ale jaskrawą oczywistością było, że chodzi o coś więcej.

– Będzie dobrze – stwierdził Veturlidi, patrząc to na żonę, to na syna. – Jest w porządku.

Sam sobie nie wierzył, ale musiał spróbować ze względu na nich.

– Nie, nie możecie go zabrać! – krzyknął chłopiec, chociaż nadal nie podchodził, najwyraźniej przerażony i dezorientowany.

– Jest w porządku synu, jest w porządku – zapewnił go Veturlidi i znów spojrzał na policjantów. Odezwał się do młodszego z nich:

– Pewnie będę mógł się ubrać? Chyba nie chcecie zabrać mnie w piżamie?

Detektyw zerknął na starszego kolegę, który odpowiedział za niego, jednocześnie ciężko kładąc rękę na ramieniu Veturlidiego.

– Obawiam się, że nie. Idziesz z nami natychmiast. Ubranie sprowadzimy ci później. Na dworze są policjanci, czekają, żeby przeszukać dom, kiedy będziesz w komisariacie.

– Przeszukać... przeszukać nasz dom? – Przez straszną chwilę Veturlidi myślał, że zemdleje. Zamknął oczy, głęboko odetchnął, próbował się uspokoić. Nie mógł upaść, musiał być silny wobec żony i syna.

– Nigdzie go nie zabierzecie! – zawołała Vera i z opóźnieniem, wychodząc z apatii, zbiegła ze schodów. Kiedy młodszy z policjantów stanął jej na drodze, spróbowała odepchnąć go na bok.

– Uspokój się kochana – powiedział Veturlidi. – Tylko pogorszysz sytuację. Syn zbiegł za nią i rzucił się na młodszego detektywa.

– Zostawcie go! Zostawcie mojego tatę!

Drzwi wejściowe nadal były otwarte.

Veturlidi, eskortowany przez Lýdura, wyszedł na schodki, w ciemność poranka i zobaczył, że przed domem stoją dwa radiowozy. Zszedł ze schodków, Lýdur niepotrzebnie mocno ścisnął go za ramię. Czy naprawdę obawiał się, że ojciec rodziny będzie uciekał, i to w piżamie? Upokorzenie Veturlidiego było całkowite.

– Tato! – usłyszał krzyk syna. Kiedy doszedł do radiowozu, obejrzał się i zobaczył, że chłopiec zbiega ze schodków w samych majtkach, mimo że było zimno.

– Puśćcie go! Tato! – Veturlidi mógł sobie wyobrazić, że przy takim hałasie poruszyły się wszystkie zasłony w oknach na ulicy. Zakłócono spokój zarówno jego rodziny, jak i sąsiedztwa. Nikt nie zapomni widoku Veturlidiego wyciąganego o świcie z domu przez policję w samej piżamie i jego syna krzyczącego na całe gardło.

Ludzie na pewno będą pytać: co właściwie zrobił ten człowiek?

Veturlidi wiedział, że większość z nich szybko wyciągnie z tego wnioski.

Jego nastrój oscylował między nadzieją a rozpaczą. Veturlidi siedział w ciasnej celi z zamkniętymi oczami i nie był w stanie zrozumieć, w jak trudnym położeniu się znalazł. Ostatnie kilka tygodni to jakiś koszmarne sen, wkrótce na pewno obudzi się zlany potem, żeby stwierdzić, że jest bezpieczny w domu, w łóżku, obok Very. I wszystko znów będzie takie, jak było.

Pozwolił myślom błądzić w królestwie spraw niemożliwych trochę dlatego, żeby ludzić się nadzieją na lepsze czasy, trochę dlatego, żeby dręczyć się myślą o tym, czego nie da się cofnąć.

Bardzo długo martwił się o Verę. Siłą aresztowano męża na jej oczach i na oczach ich syna. Co ona musi, na Boga, myśleć? Że to pomyłka – to musi być pomyłka – bo alternatywa byłaby nie do zniesienia, po prostu nie mogła być prawdą. A może doszła do innych, mroczniejszych wniosków? Veturlidi nie mógł sobie pozwolić na taką myśl.

Nie miał pojęcia, jak długo tu jest, odkąd go zamknęli. Zabrali mu zegarek i stracił poczucie czasu. Wczesny poranek musiał już minąć. Wszyscy normalni ludzie są już pewnie w pracy... I wtedy jego myśli powędrowały ku sąsiadom. Na litość boską, jakby to, co oni sądzą, miało znaczenie. A jednak... a jednak to miało znaczenie. Mieszkali w tej okolicy od dziesięciu lat. Liczyła się ich reputacja, wrażenie, jakie robili na innych. Opinia ludzka – w tym wypadku opinia sąsiadów – chociaż mało którego znał z nazwiska, była jak lustro i chciał żeby mu się podobało to, co zobaczy, kiedy w nie zajrzy. Chciał wysoko nosić głowę. Ale po czymś takim nie będzie już w stanie tego robić, jego żona też. Cała rodzina będzie dźwigała ciężar jego wstydu.

Starał się, żeby uwięzienie nie chwyciło go za gardło, wiedział, że wtedy gra się skończy, że będzie musiał rzucić ręcznik na ring. Nie był z natury podatny na klaustrofobię i nie miał problemów z ograniczonymi przestrzeniami. Dobrze się składało, bo trudne położenie, w którym się znalazł, byłoby wtedy jeszcze trudniejsze. Cztery ściany bez okien, drzwi zamknięte na klucz. Rzucony na łaskę

wymiaru sprawiedliwości. Nie, musi zachować zdrowy rozsądek i trzymać się nadziei, że wcześniej czy później go wypuszczą.

Zapytali, czy chce adwokata. Natychmiast odpowiedział, że nie zna żadnych adwokatów i nigdy ich nie znał. Nie miał pojęcia, do kogo miałby zadzwonić. Powiedzieli, że to nie ma znaczenia: mogą wyznaczyć dla niego prawnika, nie musi się martwić wyborem. Przez jakiś czas rozważał tę propozycję, ale doszedł do wniosku, że to wyglądałoby jak przyznanie się. Mogła to być nawet pułapka. Skoro potrzebuje prawnika, to jakby przyznawał się do winy.

12

Szczerze mówiąc, Andrés był zarówno zdziwiony, jak i zaszczycony, kiedy kolega z Reykjavíku zaprosił go na kawę.

Wizyta w stolicy miała związek z tamtym koszmarnym dniem, kiedy znalazł ciało dziewczyny w letnim domu w swoim rejonie. Ta scena wyryła mu się w pamięci, chociaż wydawało mu się, że przyzwyczaił się do tego rodzaju rzeczy po tylu latach zajmowania się samobójstwami, wypadkami i sprawami związanymi z zaniedbywaniem, kiedy starzy ludzie umierali i czasem nie można było ich znaleźć przez całe dni, a nawet tygodnie. Ale morderstwo nie mieściło się w jego doświadczeniu.

Rozmawiał już przez telefon z Lýdurem, detektywem, który prowadził śledztwo. Jego głos brzmiał jak głos młodego człowieka, który niedawno przekroczył trzydziestkę. Musiał to być ktoś, kto dostaje to, czego chce.

Uzgodnili, że spotkają się w Mokka Kaffi, reykiawickiej kawiarni, którą Andrés znał tylko ze słyszenia.

Przyszedł na czas, zamówił czarną kawę i usiadł przy oknie. Był jedynym klientem. Wkrótce potem wszedł młody człowiek, wyglądający na twardziela, który lubi mieć władzę. To, czego brakowało mu we wzroście, nadrabiał muskulaturą. Podeszedł wprost do Andrésa.

– Cześć. Zakładam, że jesteś Andrés – powiedział, wyciągając rękę. Ścisnął dłoń kolegi jak imadłem.

– Tak, cześć.

– Widzę, że już zamówiłeś kawę. – Młody człowiek podeszedł do baru i wrócił z własną filiżanką.

– Dobrze, że mogłeś przyjechać – powiedział kumpelskim tonem.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić. – Andrés nagle poczuł skrępowanie. Miejsce było dziwne jak na rozmowę o sprawach zawodowych. Dlaczego Lýdur nie zaprosił go do swojego biura? Czy centrala wydziału kryminalnego była za dobra dla takiego jak on, prowincjonalnego gliny? Próbował otrząsnąć się z tego

podejrzenia, bo może tamten był po prostu przyjaźnie nastawiony do przyjeźdnego?

– To paskudna sprawa – oznajmił Lýður. – Wstrząsająca.

– Nie przeczę.

– A wy byliście pierwsi na miejscu zbrodni. To nie mógł być przyjemny widok.

– Cóż raz czy dwa razy w karierze doświadczyłem czegoś podobnego.

– Dziękuję, że zgodziłeś się na przyjazd do Reykjavíku. Zdaję sobie sprawę, że przeszkodziłem ci w pracy.

– Och, to nie problem – rzucił Andrés.

– Tak, obawiam się, że to było nieuniknione. Widzisz, ty najlepiej potrafisz opisać miejsce zdarzenia. – Dodał zdawkowo: – Biedna dziewczyna.

Andrés kiwnął głową. Nie wiedział, do czego zmierza ta rozmowa.

– W każdym razie jesteśmy pewni, że trzymamy w areszcie właściwego człowieka – kontynuował Lýður. – Nasze śledztwo przebiegło bardzo gładko. Wszystkie dowody wskazują na niego.

– Hm, tak – wymruczał Andrés do filiżanki z kawą.

– Potrzebujemy szybkiego rozwiązania. Opinia publiczna nie lubi, kiedy mordowane są młode dziewczyny. Nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Morderstwa są tak rzadkimi wydarzeniami, że ludzie niecierpliwiają się, czekając na rezultaty.

– Tak, dobrze wam poszło.

– Dobrze, że zapomniał swetra – zauważył Lýður.

– Swetra?

– Tak, *lopapeysa*, który znaleźli przy ciele. Szary, z czarno-białym wzorem wokół karczku. Nikt ci nie powiedział? Staraliśmy się, żeby szczegóły nie trafiły do prasy.

– Co? Nie, nikt się ze mną nie kontaktował.

– Zostawił sweter na miejscu zbrodni. Przyznał, że należy do niego. I mamy świadka, który widział, jak go nosił w Reykjavíku kilka dni wcześniej, więc to oczywiste, że musiał być w letnim domu w tamten weekend, chociaż się do tego nie przyznaje. Naprawdę nie pamiętasz, tego swetra?

– Nie, ale wtedy naprawdę zwracałem uwagę na ciało i całą tę krew. Trudno było przyglądać się wszystkiemu. Widok był tak wstrząsający.

– Jasne, jasne, wierzę ci – powiedział obojętnie Lýður. – Sweter to kluczowy dowód, bo na nim jest krew. Więc byłoby doskonale, gdybyś jednak sobie

przypomniał, że go widziałeś. Przecież byłeś pierwszy na miejscu morderstwa. Nasi kryminaliści znaleźli ten sweter, ale nie chcielibyśmy, żeby pozostały jakiegokolwiek wątpliwości, czy leżał tam, kiedy umarła.

– Byłoby doskonale, gdybym sobie przypomniał? – powtórzył zakłopotany Andrés. – Ale... rzecz w tym, że... nie przypominam sobie.

– Rozumiem cię, oczywiście. Ale tak byłoby lepiej.

– Lepiej?

– Oczywiście, mamy mnóstwo innych dowodów. Sprawa jest murowana; na pewno przyzna się przed procesem... ale chcemy być absolutnie pewni, prawda? Nie przypominasz sobie przypadkiem, czy trzymała sweter, czy może na nim leżała?

– Słuchaj... ja naprawdę nie...

– Trzymała sweter, to wyraźnie wskazuje, że on jest winien. To dowód walki albo może chciała przesłać nam wiadomość.

– Obawiam się, że po prostu nie wiem... – Andrés poczuł, że oddech zrobił mu się szybki i płytki, co czasem się zdarzało, kiedy był po presją. Dodatkowe kilogramy też robiły swoje. Zaczął się pocić. – Ale ja...

– Prosimy cię. Koniecznie chcemy ustalić to ponad wszelką wątpliwość.

– Cóż, nie wiem, co mogę zrobić. Prawda jest taka, że nie pamiętam. – Mimo przewagi wynikającej z wieku i doświadczenia Andrés znalazł się w defensywie skonfrontowany z aroganckim reykiawickim detektywem. Denerwowała go determinacja tego człowieka.

Lýdur popijał kawę i czekał. W końcu rzucił uwagę.

– Mają tu niezłą kawę, prawda?

Andrés kiwnął głową.

– Jest facet, w którego sprawie ostatnio prowadziliśmy śledztwo – powiedział Lýdur, najwyraźniej zmieniając temat. – Zdaje się, że to lichwiarz. Wielu takich typów miałaś w swojej karierze?

Andrés wziął gwałtowny oddech, to była dotkliwa aluzja, ale gorsza była myśl, że Lýdur zdąża do jakiegoś celu. Miał żarliwą nadzieję, że się myli. Nie był w stanie wydobyć z siebie słowa.

– Kompromitująca sprawa. Facet brał nawet stuprocentowe odsetki. Żałuję nieszczęśników, którzy mieli z nim interesy.

Andrés nic nie mówił. Starał się kontrolować każdy miesiąc, żeby się nie wydać.

– W takim śledztwie pojawiają się najdziwniejsi ludzie, wiesz, jak to jest.

Pożyczał pieniądze na rozmaite podejrzanе interesy, ale okazuje się, że zwyczajni obywatele też od niego pożyczali. W końcu ludzie, którzy wpadli w finansowy dołek, muszą się z niego jakoś wygrzebać. Oczywiście staramy się utrzymać ich nazwiska poza śledztwem. W każdym razie poza papierami, bo taka sprawa na pewno wzbudzi zainteresowanie.

– Nie rozumiem, co to ma do rzeczy – wydusił wreszcie z wysiłkiem Andrés.

– A, prawda. To nic takiego, ale słyszałem, że wypłynęło twoje nazwisko. – Lýdur czekał, jego słowa na chwilę zawisły między nimi. – Wiesz może coś na ten temat?

Andrés nie odpowiadał.

– Pomyślałem, że pewnie nie chciałbyś, żeby coś się wydostało. Pożyczyłeś całkiem pokaźną sumę, prawda?

– Nie ma niczego podejrzanego w tym, że ma się pro...problemy finansowe – wystękał Andrés.

– No cóż, skoro tak mówisz. – Lýdur wstał. – Przemyśl to. Nie sądzę, żeby już to zwąchali w Ísafjörður i może to nie wpłynie na twoją reputację. Mam nadzieję, że będziesz czysty jako świadek. Nie możemy pozwolić, żeby ten drań się wymknął.

13

Andrés nie spieszył się w drodze powrotnej do domu z wyprawy do Reykjavíku, gdzie składał przed sądem zeznania. Miał wiele do przemyślenia. Warunki na drodze były do wytrzymania, lepszych nie mógł się zimą spodziewać, nawet kiedy dotarł do półwyspu West Fjords i skręcił na główną drogę prowadzącą przez wrzosowiska. Przez cały dzień świat tworzył monochromatyczne tło do jego myśli – biały śnieg, czarne skały, szare morze, szare niebo – ale prawie na to nie patrzył, myślał o tym, co właśnie zrobił.

Spotkanie sprzed paru miesięcy, z tamtym młodym detektywem Lýdurem, wywróciło jego życie do góry nogami. Chociaż Andrés wiedział, że nie złamał prawa, zapożyczając się po uszy u lichwiarza, to nie chciał, żeby sprawa się wydała. Zaciągając pożyczkę, wiedział, że zawiera pakt z diabłem. Człowiek, który mu jej użyczył, był wyjątkowym krętaczem, z wątpliwą przeszłością i powiązaniem z przestępczym podziemiem. Szanowany komisarz policji, taki jak Andrés, nie powinien mieć nic wspólnego z tego rodzaju oszustem, a z pewnością nie uzależniać się od niego finansowo, ale nie znalazł innego sposobu, więc zrobił to, co zrobił.

Szanowany komisarz policji... Tak, to był problem. Andrés całe życie poświęcił budowaniu sobie pozycji nieskalanie uczciwego i godnego zaufania człowieka, który dba o prawo i porządek, jest filarem swojej małej wspólnoty, członkiem wszelkiego rodzaju klubów i stowarzyszeń jak Lions Club i masoneria. Prawy obywatel. Ogromnie przygnębiające byłoby patrzeć jak ten wizerunek upada. Nie myślał tylko o sobie, myślał też o swojej rodzinie. O żonie, która czeka na niego w domu i zapyta, jak minęła podróż i czy pomógł wsadzić winnego za kraty. O dorosłym synu i córce, którzy zawsze patrzyli na niego z podziwem. I o wnuku, oby pierwszym z wielu, który go ubóstwiał. Nie byłoby w porządku wciągać ich w ten skandal.

Lýdur znów się z nim skontaktował tuż przed tym, jak Andrés miał zeznawać w sądzie, żeby powiedzieć, że są zdjęcia pokazujące *lopapeysa* na podłodze obok

ciała, ale marna praca policyjna sprawiła, że nie było fotografii przedstawiających zmarłą trzymającą sweter swojego ojca. Powtórzył, że to bardzo ważne, żeby Andrés potwierdził, że trzymała sweter, co będzie dowodem na walkę i być może na ostatnią próbę, jaką uczyniła dziewczyna, zanim umarła, żeby wskazać tożsamość zabójcy. Lýdur obiecał, że jeśli tak zezna, to dogada się z lichwiarzem, który teraz siedział w areszcie, żeby anulował długi Andrésa, i w ten sposób utrzyma jego nazwisko poza śledztwem.

Andrés nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał, ale propozycja była kusząca. I przecież nie prosili go, żeby skłamał, przynajmniej nie wprost. To prawda, że Andrés nie pamiętał szczegółów dotyczących swetra, ale nie było powodów, żeby podejrzewać Lýdura o fałszowanie dowodów. Młody detektyw na pewno chciał koniecznie zobaczyć, jak sprawiedliwości staje się zadość i winny zostaje ukarany za haniebną zbrodnię na młodej dziewczynie, która, na litość boską, była jego córką.

Andrés nieustannie próbował sam siebie przekonać, że właśnie to skłoniło go do zmiany zeznania zgodnie z prośbą Lýdura, który chciał tylko, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Ale w głębi duszy wiedział, że prawdziwy powód był inny, i nie mógł przestać o tym myśleć. Jego zeznanie w większym czy mniejszym stopniu zostało podyktowane przez Lýdura. Mógł tylko mieć nadzieję, że podejrzany w końcu się przyzna, bo coraz bardziej dręczyła go wątpliwość: a jeśli policja aresztowała nie tego człowieka?

Bardzo zapragnął znów odwiedzić miejsce zbrodni, więc skręcił w dolinę, w której stał letni dom. Chciał wrócić myślami do tego, co widział. Spróbować przekonać siebie samego, że nie wyrządził żadnego zła, tylko wygładził ścieżkę sprawiedliwości.

Zaparkował samochód i powlókł się zaśnieżoną ścieżką do chaty, żałując z całego serca, że biedna dziewczyna tam zginęła, że w ogóle pojawiła się ta sprawa. Zdrapał szron z szyby i zajrzał przez okno przy drzwiach frontowych, tak jak to zrobił w dniu, kiedy odkrył ciało, ale tym razem niczego nie zobaczył. Dom był ciemny, porzucony, opustoszały. Nie było wątpliwości, że nie będzie już wykorzystywany, w każdym razie nie przez rodzinę. Może pewnego dnia, kiedy wydarzenie zbladnie w ludzkiej pamięci, zostanie sprzedany jakiemuś niczego niepodejrzewającemu mieszczuchowi, błogo nieświadomemu tego, co tu się zdarzyło.

Sprawa była zamknięta, Bogu dzięki. To musiał być koniec. Policja aresztowała

mordercę: wydział kryminalny z Reykjavíku nie dopuściłby się pomyłki w tak ważnej sprawie. To było nie do pomyślenia. Andrés nie byłby w stanie osobiście przeprowadzić śledztwa, ale przecież jego rola była drugorzędna: mało znaczący trybik w maszynie sprawiedliwości. Krótkie zeznanie, nic więcej, chociaż może na czymś zaważyło.

Oskarżony właśnie czekał na wyrok i większość policjantów, z którymi Andrés rozmawiał, była pewna, że zostanie uznany za winnego. Nie było zasadniczych wątpliwości. Sprawa była szokująca, ale ludzie czerpali z niej makabryczną przyjemność, omawiając okropne szczegóły. Wersja zaprezentowana przez policję i prokuraturę miała niezwykle, nawet sensacyjne elementy, podarunek dla złych języków. Andrés nie mógł powstrzymać uczucia litości dla podejrzanego, chociaż nie było ku temu powodów, jeśli uwierzyć policji. A jednak litował się nad nim. Chociaż najwięcej współczucia Andrés miał dla jego rodziny, żony i syna. Chłopak był prawie dorosły, ale podczas procesu wyglądał na zagubionego, przytłoczonego, pokonanego.

Andrés wyrwał się ze snów na jawie i stwierdził, że nadal stoi na mrozie przed letnim domem. Nie wiedział, co tutaj robi ani co tak go przykuło do tego miejsca, jakby nogi miał z ołowiu. Nie był w stanie się poruszyć. Zamknął oczy i wyzwolił straszny obraz, z którym musiał się zmierzyć na jesieni.

Im dłużej o tym myślał, tym większą miał pewność. Nie widział, żeby biedna dziewczyna trzymała sweter, nie, przecież by to zapamiętał.

Cholera.

Skłamał w sądzie. Co gorsza, przez cały czas o tym wiedział, chociaż próbował oszukać siebie. Dopiero teraz, kiedy ponownie przyjechał na miejsce zbrodni, zaczęły do niego wracać szczegóły.

Pytanie, czy jego kłamstwo miało znaczenie. Czy jego zeznanie było faktycznie decydującym czynnikiem?

Jeśli ojca dziewczyny uznano za winnego, to jak dużą rolę Andrés odegrał w skazaniu go?

A gdyby teraz zawrócił, pojechał znowu do miasta i wycofał zeznanie, co by to dało? Czy sędzia doszedłby do wniosku, że oskarżenie zbudowane było na piasku i uznałby podejrzanego za niewinnego? Człowieka, który mógł być winien przerażającej zbrodni...

Nic dziwnego, że nogi miał jak z ołowiu. Musiał podjąć decyzję, zanim wróci na drogę. Czy powinien zostawić sprawy takimi, jakie były, czy wrócić te kilkaset

kilometrów do Reykjavíku i wszystko wyznaczyć?

Czy będzie w stanie żyć z kłamstwem, czy powinien powiedzieć prawdę i zaryzykować wywalenie z roboty i zhańbienie? Co będzie z jego rodziną?

Nie ruszył się ani o centymetr, najpierw musiał podjąć decyzję.

14

Veturlidi siedział w celi i czekał na wyrok. W głowie miał chaos. Jedyne, co mógł zrobić, to ucześcić się resztek zdrowia psychicznego.

Rozprawa się skończyła, a on wyczytał brak optymizmu w oczach adwokata. Prawnik robił dobrą minę do złej gry. „Sprawiedliwość zawsze w końcu zwycięży” – mówił. – „Postaraj się nie zamartwiać” – dodał. Ale Veturlidi nie był w stanie się nie martwić. Adwokat udawał, że go żałuje, ale zawsze bardzo się spieszył do wyjścia. Miał swoje życie poza więziennymi murami i inne sprawy poza losem Veturlidiego.

Veturlidi nie mógł pozwolić, żeby jego myśli zbłądziły w stronę rodziny, bo wtedy się załamywał. Areszt złamał jego ducha, nie był nawet w połowie człowiekiem sprzed sprawy. Był zaledwie cieniem samego siebie. Uczucie klaustrofobii tak go przyduszało, że przez pierwsze kilka nocy budził się z krzykiem i walił w ściany, aż pięści mu krwawiły. Nie mógł spać, miał wrażenie, że nie może oddychać. Później trochę mu się poprawiło, ale i tak nie doszedł do siebie. Najgorsze było zamknięcie w pojedynczej celi, ale ta, w której znalazł się później, była niewiele lepsza, ograniczona przestrzeń bez szans na ucieczkę.

Oficjalnie mógł być odwiedzany przez rodzinę, ale odmówił. Nie byłby w stanie spojrzeć im w oczy. Jego wstyd był tak wszechobecny, tak przygniatający. Aresztowano go, oskarżono o ohydny zbrodnię... Ciągle się zastanawiał, jak musi się czuć Vera i syn. Oczywiście, chłopiec miał dziewiętnaście lat, był prawie mężczyzną, ale kiedy tamtego ranka stanął na schodach, krzycząc z przerażenia, jego ojciec poczuł w sercu bolesne dźgnięcie.

Veturlidi zastanawiał się, czy bez względu na wyrok jego życie wróci do normalności. Szczerze w to wątpił. Stosunki z rodziną zostały na zawsze zniszczone. Zawsze będzie ich gryzło zwątpienie, nawet gdyby został uznany za niewinnego. A co z innymi? Na przykład, czy będzie mógł jeszcze wrócić do pracy? Wysoko trzymać głowę na ulicy? Patrzyć sąsiadom w oczy?

Te obawy mocniej go obciążały niż strach przed wyrokiem i perspektywa

więzienia. Razem było tego więcej, niż mógł znieść. Nikt nie byłby w stanie sprostać takiemu ciężarowi. Czasem Veturlidi chciał tylko zasnąć i już się nie obudzić.

15

Nadszedł piątek, Hulda była zmęczona, ale otwierała się przed nią ponętna perspektywa rzadkiego, wolnego weekendu. Miała wyczerpującą pracę. Sprawy, którymi się zajmowała, były trudne, czasem wręcz ponad siły. Do policji nie stosowało się powiedzenie dzień jak co dzień. Kiedy rano – albo wieczorem – szła do pracy, musiała być przygotowana na wszystko, na każde wyobrażalne wyzwanie i każdy problem, włączając incydenty związane z przemocą, nawet ze śmiercią. Z biegiem lat nauczyła się, jak ważne jest oddzielane życia prywatnego od zawodu.

Na początku nie bardzo jej to szło, a nawet teraz, w pewnym sensie zawsze była w pracy, zawsze gotowa na wezwanie, ciągle zajęta sprawami, których nie można było elegancko podsumować na koniec dnia. Ale, co istotnie, nie rozmawiała o pracy przy kuchennym stole albo w salonie – a właściwie nigdzie w domowych pieleszach – bo dom był ucieczką od trudów pracy.

Z początku ruch uliczny był powolny, korek, jak zwykle w piątek po południu, ale zaczęła jechać szybciej i kiedy zbliżyła się do zjazdu do Álftanes, mogła popuścić wodze nowej skodzie. Kupiła ją na początku roku i była zadowolona z nowego nabytku. Po raz pierwszy miała własny samochód. Do niedawna ona i Jón musieli dzielić się jednym wozem, co związane było ze sporą dawką planowania i cierpliwości, szczególnie odkąd zdecydowali się zamieszkać tak daleko od miasta. Ale biznes Jóna przez ostatni rok prosperował i postanowili kupić drugie auto. Dostała wolną rękę w wyborze, oczywiście w pewnych granicach. Okazało się, że straciła głowę dla tej zielonej, dwudrzwiowej skody.

Hulda z wyprzedzeniem przygotowała się na ten wieczór: hamburgery, które miała zamiar usmażyć, już były w lodówce razem z colą. Ten posiłek miał podwójną zaletę, bo lubił go i mąż, i córka, a nie trzeba było wiele pracy, żeby go przygotować na piątkowy wieczór. Zazwyczaj potem we troje siadali przed telewizorem. Hulda sama rzadko oglądała telewizję, robiła to tylko dlatego, że chciała dotrzymać towarzystwa córce. Osobiście wolała spędzać wolny czas na dworze albo w ogrodzie, patrząc na morze, albo na górskich wędrówkach, jeśli

miała okazję. Jón nie był z tych, którzy lubią przebywać na świeżym powietrzu, lecz posłusznie pozwalał, żeby wyciągała go na górskie wyprawy.

Oczywiście, kiedy pojawiła się Dimma, tych wędrowek nie było już tak wiele, nie przemawiała do nich myśl o noszeniu małego dziecka po zdradliwych wysoczyznach. Ale znalezienie babysitterki nie było szczególnie trudne. Od pierwszego dnia matka Huldy błagała, żeby mogła opiekować się dziewczynką, i zawsze, kiedy jej pozwalali, wkładała w to serce i duszę. Prawdę mówiąc, Hulda miała wrażenie, że matka lepiej radzi sobie z Dimmą, niż radziła sobie z nią, że ten związek jest niewytłumaczalnie bliższy i bardziej uczuciowy, niż był między Huldą a matką. Dziewczynka niedługo skończy trzynaście lat, co miało swoje wady i zalety. Z jednej strony była bardziej niezależna, ale z drugiej wraz z początkiem dojrzewania zaczęły się problemy. Dimma była humorzasta, czasem nawet wybuchowa, z mniejszym entuzjazmem podchodziła do spędzania czasu z rodzicami. Zdarzało się, że po powrocie do domu szła prosto do swojego pokoju i zamykała się. Co gorsza, Hulda obawiała się, że Dimma izoluje się też od przyjaciół. Jeśli będzie tak dalej, to może wypaść z grupy, w której tak długo przebywała. Od czasu do czasu Hulda próbowała usiąść z nią i o tym porozmawiać, ale ich rozmowy kończyły się zazwyczaj milczeniem albo wybuchem wściekłej kłótni. Hulda miała jednak nadzieję, że to okres przejściowy, nieuchronna część dorastania.

Sprawę pogarszało to, że i ona, i Jón ze względu na pracę spędzali mało czasu w domu. Hulda musiała czasem zostawać w pracy wieczorem albo na nocną zmianę, a Jón, trochę typ pracoholika, był bardzo zajęty od rana do nocy, mimo ostrzeżeń lekarza, że serce ma w nie najlepszym stanie. Chociaż Jón sumiennie brał pigułki zapisane przez lekarza, który powiedział mu bez ogródek, że od nich zależy jego życie, całkowicie zignorował dodatkową poradę, a raczej zlecenie, żeby przyhamować w pracy. Hulda wiedziała, że powinna być wobec niego bardziej wymagająca, ale pamiętała, że ich wygodne życie było prawie w całości zasługą Jóna, bo jej pensja policyjna niewiele ważyła w utrzymaniu domu. Miała bardzo małe pojęcie o biznesie Jóna: wiedziała tylko tyle, że nieźle zarabia na imporcie i jego pieniądze „pracują na siebie”, jak to ujął, bo inwestuje w spółki należące do innych. Czas spędzał na zebraniach albo na rozmowach z bankami. Nie raz mówiła, że powinien trochę zwolnić – przecież nie musi czuwać nad każdą inwestycją dzień i noc. Odparł, że właśnie to musi robić. Jeśli straci kontrolę nad sprawami, to jakby rzucił ręcznik na ring i pożegnał się z pieniędzmi. Po tych słowach Hulda już nie

wracała do tematu.

Jechała na zielony półwysep Álftanes, zostawiła za sobą obszar zabudowany, minęła białe budynki rezydencji prezydenta w Bessastadir, wreszcie zobaczyła morze rozpościerające się szerokim błękitem po horyzont. Wtedy zrozumiała, że nie może doczekać się wieczoru i ma nadzieję, że będzie tak jak kiedyś. Musiała się uwolnić od spraw z tygodnia, od przerażających obrazów, czasem jakby wypalonych w jej świadomości, po straszliwych tragediach, które musiała oglądać, pełniąc służbę.

Jón i Dimma byli jej sanktuarium, kiedy ich widziała, kiedy ich obejmowała, zyskiwała siłę, żeby dalej żyć.

Matka Huldy zadzwoniła do niej rano, do pracy. Jak zwykle w rozmowie pojawiło się pełne dobrych chęci napomnienie, że zbyt rzadko się widują, a na dodatek prośba o wspólną kawę podczas weekendu. Hulda musiała udawać, że jest zavalona pracą. W istocie nie miała nastroju na takie spotkanie. Na swój sposób lubiła matkę, ale ich stosunki nie były takie, jakie mogły być. Żałowała, że nie były lepsze, ale jeszcze bardziej żałowała, że nie miała okazji poznać ojca. Była owocem jednonocnej przygody z amerykańskim żołnierzem, i wątpiła, że kiedykolwiek go pozna. Matce zabrakło odwagi i nie powiedziała mu, że zaszła w ciążę. Nie próbowała też znaleźć go po urodzeniu Huldy.

A jednak wreszcie był piątkowy wieczór i Hulda nie mogła się doczekać, kiedy zapomni o problemach, oglądając tandetny film w telewizji.

Kiedy weszła do ślicznego domu w Álftanes, przywitała ją dziwna cisza.

– Dimma?

Bez odpowiedzi.

– Jón?

– Tutaj, w gabinecie! – odkrzyknął mąż.

Podeszła i włożyła głowę w uchylone drzwi. Siedział przy biurku tyłem do niej.

– Jón, kochany, mógłbyś teraz to zostawić? Gdzie jest Dimma?

– Tak, chwileczkę – powiedział, nie oglądając się.

– Pracujesz?

– Tak. Tak, kochana, tu jest coś, co muszę wieczorem uporządkować. To dość pilne. Zaczniście beze mnie. Masz coś na kolację?

– Hamburgery.

– Świetnie. Zostaw dla mnie na później.

– Gdzie jest Dimma? Jeszcze nie wróciła do domu?

– Ona... Hm, jest w swoim pokoju. Chyba zamknęła drzwi na klucz. Jakieś problemy w szkole. – Nadal siedział tyłem do Huldy.

– Znowu? Nie możemy pozwolić, żeby zamykała się na cały wieczór, dzień po dniu...

– Kochanie, to tylko etap, przez który przechodzi – powiedział stanowczo Jón. – To minie.

Część 2

DZIESIĘĆ LAT PÓŹNIEJ, 1997

ROK

1

DAGUR

Na dworze było lato, nareszcie prawdziwe lato. Termometr wskazywał prawie dwadzieścia stopni i nie wiał nawet lekki wietrzyk. Zakwitły złotokapy, ich żółte kwiaty zwisały gęstymi kiściami w ogrodach, przy drodze, którą Dagur przemierzał miasto. Zatrzymał się, żeby głęboko odetchnąć, wciągnąć oszałamiający zapach prawdziwego, reykiawickiego lata. Wtedy przypomniał sobie, co kiedyś usłyszał, że kwiaty złotokapu są trujące. Nie zdziwiłoby go to: z gorzkiego doświadczenia wiedział, że świat to zdraдлиwe miejsce. Że może być trujący.

Gdy wchodziło się do domu opieki, to jakby wstępowało się w wieczną jesień. Stonowany wystrój, który przy każdych kolejnych odwiedzinach wyglądał na coraz bardziej wyblakły, i szyby z mrożonego szkła, filtrujące światło słońca, zawsze obniżają mu nastrój. Odwiedzał, bo się o nią troszczył, ale też z poczucia obowiązku, a po wizycie zawsze z ulgą wychodził na świeże powietrze. Nawet najgorsza pogoda na dworze była nieskończenie lepsza, niż stęchła, ciężka atmosfera tego domu.

Matka miała sześćdziesiąt trzy lata. Była za młoda na zamieszkanie tutaj, ale to było jedyne wyjście. Wypaliła się zarówno umysłowo, jak i fizycznie. Powolne, ale nieuchronne dochodzenie do takiego stanu zajęło jej dziesięć lat. Nie było realnego, medycznego wytłumaczenia, co jest z nią nie tak, wyglądało to, jakby po prostu przestała stawiać życiu czoło.

Dagur wszedł energicznie po schodach i skierował się szarym korytarzem do jej pokoju, małego i bez duszy, ale przynajmniej własnego. Jak zwykle siedziała pod oknem, wyglądała przez nie, chociaż nie było za nim niczego szczególnego. Dagurovi zawsze wydawało się, że jej wzrok skierowany jest do środka, nie na zewnątrz, że matka rozmyśla o dawnych, dobrych czasach, że duma o przeszłości.

Już trzy lata temu musiał wysłać matkę do tego domu. Nie tylko dlatego, że już nie dawał sobie rady ze sprawowaniem nad nią opieki. Musiał dbać także o swoje życie, wyrwać się z zaklętego kręgu, który uwięził go w przeszłości. Cisza w ich domu stała się tak przemożna, że po prostu nie można było dalej tak żyć.

Mimo trudności udało mu się, Bóg wie jak, zdać egzaminy końcowe w szkole. Potem wziął rok wolnego, chociaż nie poświęcił go na podróż, jak niektórzy z jego przyjaciół. Nie, został na Islandii, znalazł sobie pracę i pomagał matce znajdować siły do życia. Wtedy jeszcze pracowała jako kasjerka w banku, chociaż w mniejszym wymiarze godzin. Z początku całkiem dobrze radziła sobie z emocjami, wstrząs i napięcie znajdowały ujście w objawach fizycznych, od zmęczenia po rozmaite bóle ostre i tępe. Zdumiewające, że była w stanie chodzić do pracy, nawet na pół etatu. Wreszcie musiała zrezygnować i przejść na rentę. Dagur, który widział, jak sprawy się mają, postanowił zapisać się na kursy zawodowe na uniwersytecie, bo przewidywał, że w najbliższej przyszłości będzie musiał stanąć na własnych nogach, a także wspierać finansowo matkę. Z tą myślą wybrał studia biznesowe, a marzenia o innym zawodzie odłożył na półkę. Przynajmniej na jakiś czas.

Studia nie dawały mu szczególnej satysfakcji, ale przedmioty przychodziły mu łatwo. Miał głowę do liczb i umiejętność natychmiastowego wyciągnięcia wniosków, a to spowodowało, że po otrzymaniu dyplomu podjął pracę w finansach, które już od siedmiu lat były jego światem. Zostać bankowcem w wieku dwudziestu dziewięciu lat: dziewiętnastoletni Dagur nigdy by w to nie uwierzył.

Miał kilka związków – jeśli można to zaszczyścić takim mianem – ale nie kochał żadnej z tych dziewczyn. Sądził jednak, że wcześniej czy później będzie musiał zdecydować się na ryzykowny krok: znaleźć sobie dobrą kobietę, mieć dzieci,

założyć własny dom. Na razie nadal mieszkał w domu, w którym dorastał, objął się po mieszkaniu znacznie za dużym dla jednego, otoczony zbyt wieloma wspomnieniami. Ale z jakiegoś powodu wzdragał się na myśl o przeprowadzce, może ze względu na matkę, chociaż ostatnio przyjeżdżała do domu tylko na najważniejsze święta, Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Nadszedł czas, żeby zmienić coś na lepsze i pogodzić się z przeszłością. Wtedy, jemu i matce, nie udzielono wsparcia psychologicznego. Teraz byłoby pewnie inaczej, ale dziesięć lat temu, sami musieli dawać sobie radę.

Ostatnio zaczął się niepokoić. Mocno zapragnął coś z sobą zrobić, zbudować dla siebie pewniejszą przyszłość. Jeśli tego nie zrobi, na zawsze uwięźnie w ponurej egzystencji. A to nie wchodziło w rachubę, nie był takim człowiekiem. Może zrezygnuje z pracy na parkiecie giełdowym i spróbuje czegoś innego.

– Cześć, mamó, to ja – powiedział łagodnym tonem. Nadal miał na sobie garnitur, przyszedł prosto z biura, ale matka nigdy nie robiła uwag na temat jego ubrania. Pewnie nawet nie zauważała tego.

Odwróciła się, jej wzrok nadal był niepokojąco nieobecny, ale przynajmniej spojrzała na niego, a on pomyślał, że przez ułamek sekundy zobaczył matkę taką, jaka była kiedyś, matkę, która dbała o ich gospodarstwo domowe.

– Dagur, kochany, jak się masz? – zapytała po krótkiej zwłóce. W niektóre dni rozumiała, co się wokół niej dzieje, w inne dni chyba odrzucała terażniejszość i wycofywała się w przeszłość. Lekarze nie potrafili znaleźć konkretnego wytłumaczenia, dlaczego tak się dzieje, zazwyczaj zrzucali to na ciężkie przeżycie – a raczej ciężkie przeżycia – których doświadczyła. Nawet kiedy miała jeden z lepszych dni, ciągle utrzymywała dystans, przez który Dagur nie potrafił przetrwać mostu. Czuł, że nie jest jej obojętny, że nadal kocha go matczyną miłością. Po prostu trudno było jej się wyrwać z ochronnej skorupy, którą się otoczyła w ostatnich paru latach. Może czuła się w niej szczęśliwsza. Dagur był pewien, że tak będzie przez jakiś czas, aż pewnego dnia matka po prostu zrezygnuje z walki.

– Okej, dziękuje mamó.

– Dobrze, kochany. Cieszę się.

– Wychodziłaś dzisiaj w ogóle na dwór? Jest piękna pogoda.

Nie odpowiedziała od razu, ale w końcu odezwała się.

– Dagurze, kochany, nigdzie nie wychodzę. Nie licząc wizyt u ciebie. Dobrze mi tutaj.

– Myślę o przewodzącej – wyrzucił z siebie, chociaż wcześniej nie wiedział, czy jej to powiedzieć. Bał się, że ją zasmuci. Ale chyba lepiej było postąpić uczciwie, poza tym, skoro powiedział to na głos, zwiększał szanse, że naprawdę to zrobi.

Jej reakcja zaskoczyła go.

– Miło słyszeć. To najwyższy czas.

Dagur był wstrząśnięty. Spodziewał się, że będzie próbowała odwieść go od tego pomysłu.

– Ja... cóż, właściwie jeszcze się nie zdecydowałem. – Zaświtało mu, że wcześniej wykorzystywał matkę jako wymówkę, a w istocie to jemu samemu trudniej było pogodzić się z przeszłością, niż chciał się do tego przyznać. Czy naprawdę sprzeda dom swojego dzieciństwa i straci namacalny kontakt z wszystkimi wspomnieniami, i tymi dobrymi, i tymi złymi? Chociaż, jeśli miał być uczciwy, te złe już wżarły mu się w duszę i stały się nieusuwalną częścią jego osoby.

– Nie zwlekaj z decyzją ze względu na mnie – powiedziała z uśmiechem. Był to melancholijny uśmiech, ale na chwilę jakby uniósł się całun, jakby Dagur spojrział w przeszłość sprzed dziesięciu lat i zobaczył matkę taką, jaka wtedy była.

Nie ośmielił się zaszlochać. Wtedy też nie płakał, zdusił w sobie uczucia i znalazł dla nich inne ujście. Teraz poczuł, że te wszystkie tłumione łzy próbują wydostać się na wierzch. Szybko zmienił temat.

– Mniejsza o to, jak się czujesz mamó? Z tobą w porządku?

– Kochany, przecież wiesz, że ciągle jestem zmęczona. To się nie poprawiło i chyba już się nie poprawi. Zawsze miło mi ciebie widzieć, ale między wizytami przeważnie odpoczywam.

Właśnie tego Dagur się obawiał: matka już prawie nie kontaktuje się z innymi mieszkańcami domu opieki. Już odcięła się całkowicie od kręgu znajomych, kobiet, z którymi pracowała w banku i starych kolegów ze szkoły. Wszystko się zmieniło, zamknęła wszystkie drzwi do życia, które było kiedyś. Sama narzuciła sobie tę izolację i chyba też – czasem łapał się na tej myśli – pogorszyło się jej zdrowie umysłowe i fizyczne. Lekarze najczęściej tłumaczyli to depresją, ale lekarstwa, które jej przepisywali, chyba jeszcze bardziej przyczyniały się do apatii.

Rzadko, jeśli w ogóle, mówiła o tym, co się stało. Chyba tak czuła się lepiej, jakby to był jej sposób na zwalczanie nieopisanego cierpienia. Niestety, Dagur jeszcze nie odkrył własnej metody, ale miał nadzieję, że jeśli do tego dojdzie,

będzie to metoda inna niż ta, którą stosowała matka. Chociaż nie wiadomo, w końcu miał te same geny co ona. Nigdy nie rozmawiał o tym, co się stało, nawet z przyjaciółmi.

– Musisz na siebie uważać – oznajmił. – A może... a może przyjechałabyś do domu coś zjeść?

– Kochany, w Boże Narodzenie. Masz własne życie, z którym musisz sobie radzić.

– Ale...

W tej sekundzie zadzwonił telefon.

– Co to za straszny hałas? – zapytała matka.

– Mój telefon, mam – odparł i przekrzykując głośne dzwonienie, wyjął komórkę z kieszeni marynarki.

– Ach tak, oczywiście, jeden z tych... telefonów komórkowych. Nie rozumiem, dlaczego musisz go wszędzie z sobą nosić. Czy to nie jest tylko na pokaz?

– Bank chce, żebyśmy byli uchwytne.

– Było inaczej, kiedy pracowałam w banku. Czy to nie przeszkadza, kiedy obsługujesz klientów?

Nie był w stanie wyjaśnić, co robił w banku, chociaż od dawna wiedział, że według niej był kasjerem tak jak ona. Bank, w którym pracowała, był państwowy, a giełda to nowa instytucja, ale matka, odkąd zrezygnowała z pracy, nie próbowała nadążać za tym, co działo się poza ścianami domu opieki. Świat ubezpieczeń byłby jej całkowicie obcy.

Odebrał telefon. Okazało się, że to stary kumpel. Ich stosunki były nadal dobre, chociaż już nie tak bliskie, jakby zawisł nad nimi jakiś dziwny cień.

– Nie przeszkadzam?

Dagur rozejrzył się po ponurym, pozbawionym osobowości pokoiku. Matka uśmiechnęła się i dała znak, żeby już poszedł. Wiedział, jak ważne są dla niej jego odwiedziny, mimo całej tej obojętności, i wstyd mu było, że nie może się zmusić, żeby zostać dłużej.

– Nie, wszystko w porządku – powiedział do telefonu i wstał. Kiedy pocałował matkę w policzek, bardzo lekko położyła rękę na jego ramieniu, a on znów poczuł, że zbiera mu się na płacz. Chryste, co się z nim dzieje?

Szybko wyszedł.

– Coś wymyśliłem, Dagurze – zaczął przyjaciel. – Wiesz, że lata minęły, odkąd ostatni raz byliśmy razem; chodzi mi o naszą starą paczkę. Rozmawiałem wczoraj

z Klarą, a ona właśnie dowiedziała się, że Alexandra wreszcie jest w mieście i mogłaby się do nas przyłączyć na ten weekend...

Dagur, schodząc ze schodów, nie spieszył się z odpowiedzią. Rozpaczliwie chciał wyjść na świeże, letnie powietrze.

– Wiesz, w tym roku minie dziesięć lat...

– Tak, wiem.

– Chcielibyśmy coś urządzić, żeby to uczcić, jakieś spotkanie...

Dagur zaczął o tym myśleć. W innej sytuacji twardo by odmówił i nie chciałby do tego wracać, ale dopiero co rozmawiał z matką. Prawie zachęcała go do przeprowadzki. Jakaś forma zerwania z przeszłością była nieuchronna. Za długo z tym zwlekał, świadomie czy nie.

– Co proponujesz?

– Och... hm...

Dagur odniósł wrażenie, że przyjaciel był przygotowany na negatywną reakcję.

– Mogę znaleźć świetne miejsce na weekend. Mielibyśmy okazję, żeby spędzić razem trochę czasu. Tylko my, we czworo.

– Gdzie to jest?

– Masz czas?

Dagur uniósł twarz ku niebu. Dzień był piękny, czuł, że nastrój mu się poprawia, ale wiedział, że jak będzie o tym za długo myślał, to się przestraszy.

– Okej, jestem za. Dokąd się wybieramy?

– Może zrobimy ci niespodziankę?

Nastrój się zmieniał, czuł w powietrzu, właśnie miał zrobić skok w nieznane.

– Jasne, żaden problem – odpowiedział. – Nie mogę się doczekać, kiedy was spotkam.

2

Inspektor Hulda Hermannsdóttir zawsze wiedziała, że dojdzie do tej podróży, chociaż niekoniecznie dosłownie. Kilka miesięcy wcześniej umarła jej matka i łatwo byłoby pomyśleć, że to był powód. Ale to była tylko część prawdy i nie chodziło o wypełnienie ostatniego życzenia zmarłej. W istocie było zupełnie przeciwnie.

Matka Huldy bardzo długo zwlekała u bram śmierci, a Hulda spędzała przy jej łóżku tyle czasu, ile tylko mogła. Rozmawiały o przeszłości, ale matka nie wyraziła ostatniego życzenia. Kiedy nadszedł koniec, odeszła cicho i na tym się skończyło.

Czasem, siedząc przy łóżku matki, patrząc, jak śpi, Hulda próbowała uronić łzę, poczuć jakiś nierozzerwalny związek, ale ich stosunki nie były tego rodzaju. Przynajmniej ze strony Huldy, chociaż wiedziała, że matka inaczej do tego podchodzi. Hulda wyczytała w jej oczach pragnienie większej bliskości, iskierkę nadziei, żal, że sprawy nie ułożyły się inaczej.

I teraz Hulda była samiuteńka na tym świecie.

Jej dziadkowie ze strony matki nie żyli, mąż i jedyne dziecko też. Ćwiczyła umysł, jak tylko mogła, żeby nie myśleć o tym strasznym czasie, kiedy straciła najpierw Dimmę, a zaraz potem Jóna.

Hulda zawsze chciała dowiedzieć się więcej o swoim ojcu, amerykańskim żołnierzu, i wreszcie teraz uznała, że nadszedł na to czas.

Matka rzadko o nim mówiła, pewnie mało o nim wiedziała, a Hulda uznała, że matka zadecyduje, czy będą go szukały. Ale ona nawet nie próbowała. Teraz, kiedy umarła, Hulda wreszcie miała wolną rękę.

Wiedziała tylko, jak ma na imię, kiedy, mniej więcej, służył na Islandii i z jakiego amerykańskiego stanu pochodził.

Uzbrojona w te szczegóły poszła do amerykańskiej ambasady i pomachała legitymacją policyjną, chociaż znajdowała się daleko od podejrzanych zaułków, w których czasem takie machanie skutkowało.

Zaprowadzono ją do biura, w którym uczynny młody człowiek obiecał, że zajmie

się sprawą. Kilka dni później zadzwonił i podał dwa nazwiska. Obaj mieli na imię Robert, obaj pochodzili ze wskazanego stanu i stacjonowali w 1947 roku w wojskowej bazie Keflavík.

Działając pod wpływem impulsu, Hulda w ostatniej chwili zarezerwowała lot do Ameryki. Jak na razie znaleziono tylko jednego z mężczyzn, o których jej chodziło. Z tego, co wiedziała, drugi mógł już nie żyć, więc podróż mogła się skończyć wyłącznie wizytą u grobu ojca.

3

BENEDIKT

Benedikt wstał z krzesła, podszedł do okna i przeciągnął się. Widok był nieciekawym, same anonimowe urzędowe budynki i od rana do wieczora nieustanny ruch uliczny. Czasami lepiej było nie otwierać okna, żeby się nie udusić spalinami.

Dagur, jego przyjaciel, zaskoczył go. Cóż, „przyjaciel” to było chyba trochę zbyt mocne określenie. Kiedyś byli sobie bliscy, a stare związki tak łatwo się nie rozrywają, ale obecnie ich kontakty były sporadyczne i jednostronne, bo inicjował je tylko Benedikt. Dagur nigdy nie kontaktował się z nim pierwszy. Zdaje się, że nieźle mu szło w banku, ale pod innymi względami popadł w rutynę. Nadal mieszkał sam w domu, w którym spędził dzieciństwo, i rzadko z niego wychodził. Wszyscy kumple Dagura mówili o nim to samo: żyje przeszłością.

Nawet ruch uliczny i monotony beton, który Benedikt widział za oknem, nie mogły ukryć faktu, że jest wspaniały, letni dzień. Co za strata czasu dusić się w czterech ścianach w taką pogodę.

Mimo hałasu i smrodu spalin otworzył okno, żeby wpuścić krztynę słodkiego, ciepłego powietrza.

Wrócił do biurka, usiadł, sięgnął po czystą kartkę i ołówek. Odleciał umysłem, zaczął rysować. Często tak robił, żeby się zrelaksować, bywało, że dopiero po jakimś czasie zdawał sobie sprawę, że coś kreśli. Robił to niemal nieświadomie, instynkt prowadził jego ołówek.

Szuflady biurka miał pełne szkiców, których nikt poza nim nie widział.

Nie licząc tych bazgrołów, Benedikt nie miał czasu, który mógłby poświęcić sztuce. Jego biznes z programami komputerowymi szedł dobrze, w kolejce czekało kilka ciekawych projektów. Dwa lata temu założył spółkę z trzema kumplami z kursów politechnicznych. Od tamtego czasu zatrudnili więcej ludzi, ale nadal pracowali w tym samym schowku na szczotki, który służył im za biuro. Wiele czasu minie, zanim przeprowadzą się w lepsze miejsce. Spółka jeszcze nie

przynosiła zysku, ale udało im się przyciągnąć paru bogatych sponsorów, którzy pompowali w nią pieniądze, a to znaczyło, że Benedikt i jego wspólnicy mogli sobie teraz wypłacać solidne wynagrodzenia. Planowali na jesieni wejść ze spółką na giełdę i już odnotowali znaczne zainteresowanie inwestorów. Przygotowania do giełdowego debiutu sprawiały, że Benedikt ciągle biegał między spotkaniami z prawnikami i księgowymi. Niewiele zostawało mu czasu, żeby solidnie popracować.

Nie miałyby czasu także na wakacje tego lata, ale w końcu gra mogła okazać się warta świeczki.

Zbliżała się wyprawa na wyspę. Niecierpliwie na nią czekał. Wszystko było przygotowane. Ostatni fragment układanki to przekonanie Dagura, żeby przyjechał. Benedikt znowu pomyślał o zaskakującej reakcji przyjaciela. Był w pełni przygotowany, że Dagur nie okaże entuzjazmu, że odrzuci to jako koszmar, ale ku jego zdumieniu Dagur wydawał się niemal chętny.

Dziesięć lat przeszło oszałamiająco szybko. Benedikt czasem miał wrażenie, że to było wczoraj. Zbyt łatwo wracał myślami do tamtego dnia i tego, co po nim nastąpiło, pamiętał wszystko nieomal scena za sceną. Niektóre rozmowy wypaliły ślad w umyśle. Wyglądało na to, że nic nie wymaże tych wspomnień. Niektóre chciał zatrzymać, ale dałby wszystko, żeby o innych zapomnieć. Późniejsze lata nie były łatwe, odcisnął swoje piętno wysiłek, żeby konsekwentnie kłamać i przez całą dekadę nieść ciężar nieznośnej tajemnicy.

Trochę to dziwne, ale ponowne spotkanie przyjaciół na wyspie było jego pomysłem. Uważał, że jakoś trzeba podtrzymać pamięć, zmienić coś na lepsze, chociaż przecież nie da się odkręcić tego, co się stało.

Popęłił błąd, straszny błąd i będzie musiał żyć z jego konsekwencjami. „Błąd” – Boże, co za beznadziejnie nieodpowiednie słowo, żeby oddać to, co zrobił.

Odgrzebywanie tego będzie bolesne, ponowne zebranie wszystkich razem – Dagura i dwóch dziewczyn, Alexandry i Klary – trudne, ale chyba właśnie dlatego tak bardzo się starał, żeby zorganizować spotkanie po latach. Gdzieś, w głębi duszy, godził się na ten ból, nawet go pragnął, bo był znośniejszy niż zjadliwe poczucie winy, które nieuchronnie go dosięgało, kiedy kończył dzień pracy i kładł się spać. Wtedy dopadał go tłum koszmarów.

4

Samolot zaczął opadać w kierunku nowojorskiego lotniska JFK i Hulda zobaczyła wieżowce Manhattanu oświetlone promieniami wieczornego słońca. Wrażenie było nadzwyczajne. Być tak blisko kuszącej słynnej metropolii i nie móc tam pojechać... To była pierwsza wizyta Huldy w Ameryce, trochę zastanawiała się, czy nie spędzić kilku dni w Nowym Jorku, ale już koszt podróży był wyśrubowany, a ceny zakwaterowania w mieście wysokie. Nie mogła sobie pozwolić na duży debet na karcie kredytowej, a przy tym nie wolno jej było tracić z oczu celu tej podróży. Miała sprawdzić, czy jej ojciec żyje. Więc z lekkim smutkiem zgłosiła się do odprawy na kolejny etap, lot do Georgii, w której miała zamiar spędzić trzy dni.

Udało się jej z trudem. Samolot z Islandii wylądował z lekkim opóźnieniem i Huldzie zostało niewiele czasu między lotami. Chciała dotrzeć do celu jeszcze tego wieczoru, a nie spędzać pierwszej nocy w Ameryce w lotniskowym hotelu. Targały nią sprzeczne uczucia podniecenia i lęku. Co będzie, jeśli naprawdę spotka się z ojcem? Jakie to będzie uczucie? Co powinna powiedzieć? Czy nastąpi natychmiastowe rozpoznanie, czy spotka się z kimś zupełnie obcym?

Przed wyjazdem napisała do jednego z dwóch prawdopodobnych kandydatów. Wyjaśniła, że jest z Islandii i skoro przejeżdża przez Georgię, zastanawia się, czy mogłaby złożyć mu wizytę ze względu na wspólną znajomą, którą poznał na jej wyspie. Odpowiedział miłym listem, że nie pamięta wielu ludzi z czasów, które spędził na tamtym zimnym posterunku, ale że ją zaprasza. Drugi Robert okazał się nieuchwytny: nadal nie mogła znaleźć informacji na jego temat. W ambasadzie obiecali, że zajmą się tą sprawą, ale przed odlotem do Ameryki nikt się do niej nie odezwał.

Wewnątrz krajowy lot do Georgii przebiegł gładko. Było ciemno, kiedy wylądowała w słynnym Savannah, ale gdy jechała taksówką do hotelu, uderzyło ją, że jest tam gorąco, wilgotno, a wokół stoją wspaniałe budynki i ogromne, rozłożyste drzewa. Hotel był stylizowany na staroświecki przepych, a kiedy się w nim meldowała, przyjęła ją czarująca i ciepła młoda recepcjonistka. Taka

uprzejmość ze strony obcej osoby dziwnie dodawała ducha. Trochę ją niepokoiło, że jest sama w nieznanym mieście tak daleko od domu.

Poszła prosto do łóżka, ale potrzebowała towarzystwa, więc włączyła telewizor, ściszyła dźwięk i zasnęła przy szepcie obcych głosów.

Spała doskonale, a rano obudziła się, czując dziecinne podniecenie. Przynajmniej raz nie nawiedziły jej nocne koszmary.

5

ALEXANDRA

Alexandra nie lubiła morskich podróży. Zazwyczaj unikała łodzi jak zarazy, bo nawet przy spokojnym morzu czuła odruch wymiotny i zawroty głowy, a jej ucho wewnętrzne potrzebowało całych godzin, żeby dojść do normy, kiedy znów była na suchym lądzie. Ale tym razem dała się namówić Klarze na wycieczkę. Chociaż pomysł z początku wydał się jej chybiony, trudno było w takich okolicznościach odmówić. Na jesieni mijało dziesięć lat i stara paczka miała się znów spotkać, a chociaż ich życie różnie się potoczyło, był to przynajmniej sposób na oddanie czci zmarłej. Jako nastolatki byli nierozłączni. Czworo było w tym samym wieku, a Dagur o rok młodszy. Przecież przyjaźń to potężna więź mimo wszystkich komplikacji.

Wcześniej, kiedy ich było pięcioro, trzymali się razem na dobre i na złe. Obecnie Alexandra utrzymywała kontakty z Klarą, a o chłopcach miała wiadomości tylko z drugiej ręki. Dagur został bankowcem, czego można było się spodziewać. Mogła go sobie wyobrazić w tego rodzaju pracy. Zawsze był rzeczowy, dobrze pasował do poważnego biznesu, jakim jest bankowość. Bardziej ją zdziwiło, kiedy dowiedziała się, że Benni założył spółkę z programami komputerowymi. Z tego, co czytała w gazetach, spółce powodziło się bardzo dobrze. Nigdy nie sądziła, że może zostać kimś innym niż artystą, ale może programowanie stało się nową sztuką na początku tysiąclecia. Ona sama była jedyną z grupy, która założyła rodzinę i miała dwóch małych chłopców.

Alexandra urodziła się we Włoszech, z islandzkiej matki i włoskiego ojca. Na Islandię przeprowadziła się, kiedy miała dwa lata. Nadal płynnie mówiła w dwóch językach, dzięki letnim wakacjom spędzonym we Włoszech u rodziny ojca, ale w tak młodym wieku przeprowadziła się na Islandię, że czuła się bardziej Islandką niż Włoszką. We Włoszech ojciec pracował na roli, a matka pochodziła z farmy hodowlanej na wschodzie Islandii, więc może dlatego Alexandrze brakowało

morskich genów. Trudno się dziwić, że nie znosiła łodzi, skoro za przodków miała same szczury lądowe. Kiedy była mała, razem z rodzicami mieszkała u dziadków na wschodzie, dopiero potem przeprowadziła się w okolice stolicy. Ponad dziesięć lat mieszkali w Kópavogur, ale kiedy rodzinny biznes zbankrutował, wrócili na wschód, żeby zamieszkać z rodzicami matki. Alexandra, która miała wtedy już dwadzieścia lat, postanowiła się wyprowadzić. Teraz miała za męża farmera, mieszkali z jej rodzicami, gotowi przejąć ich rozkwitający biznes, kiedy przyjdzie na to czas. Życie na farmie było dobre, ale trudne. Na własne sprawy zostawało jej niewiele czasu, szczególnie z dwoma chłopczykami rozrabiającymi na podwórku. Ale w ten weekend miała wolne i wreszcie była wolna jak ptak. Mogła razem z przyjaciółmi bez przeszkód odkrywać na nowo młodość, z dala od domowych obowiązków.

To była jej pierwsza wizyta na Westman Islands, małym archipelagu składającym się z jakichś piętnastu wulkanicznych wysepek i niezliczonej liczby szkierów, wystających widowiskowo z morza, przy południowym brzegu Islandii. Wcześniej, tego samego ranka, poleciała z przyjaciółmi na Heimaey, największą z wysepek i jedyną, która nadal była zamieszkana. W 1973 roku wysepka trafiła do newsów na całym świecie, kiedy wybuch wulkanu doprowadził do ewakuacji ludności na ląd stały. Erupcja trwała ponad pięć miesięcy, ale większość wyspiarzy stopniowo zaczęła wracać i odbudowywać swoje miasto, lekceważąc wulkan. Teraz Heimaey było siedzibą dobrze prosperującego rybołówstwa, ale Alexandra widziała, że złowieszczy, wulkaniczny stożek, nadal złowrogo brązowy, ogołocony z roślinności, wznosi się nad białymi budynkami miasta.

Po przylocie skierowali się na przystań i weszli na pokład małej łodzi rybackiej. Alexandra już czuła pierwsze oznaki mdłości, chociaż łódź była jeszcze zacumowana przy nabrzeżu. Dzięki Bogu, że morze jest dzisiaj względnie spokojne, pomyślała.

– To... to będzie wspaniałe – powiedział Benedikt, jakby się czuł zmuszony do wypełnienia ciszy. Kiedyś tak nie było: cała piątka albo rozmawiała, albo milczała bez cienia skrępowania.

Benni zawsze podnosił ich na duchu, ale Alexandra zastanawiała się czasem, czy on jest z natury optymistyczny, czy może udaje. Oczywiście, śmierć tamtej dziewczyny zwała go z nóg, jak ich wszystkich, ale poza tym, o ile wiedziała, nie miał w życiu wielu powodów do narzekań.

Dagur, z drugiej strony... Alexandra ledwie mogła myśleć o tym, przez co

przeszedł.

– Czy to twój wuj... załatwił ten dom dla nas? – zapytała Benniego.

– Tak, zgodził się. Należy do stowarzyszenia łowców ptaków, do którego należy dom na tej wyspie. Można tam pomieszkać, ale tylko kiedy ma się kontakty. Przez ostatnie parę lat dość często z nim tam wyjeżdżałem.

– To kiedy przyjedzie? – zapytała Alexandra.

– Nie przyjedzie. Myślałaś, że wpadnie tutaj? Nie chcielibyśmy, żeby się pałętał tutaj przez cały weekend.

– Nie, chodzi mi o to, czy nas tam zabierze.

– Nie byłoby sensu. To byłby dla niego kłopot. Będzie musiał jeszcze raz przyплыnąć, żeby nas odebrać.

– No to kto jest szefem tej łodzi?

– Ja, oczywiście – powiedział Benni, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie.

Zapadła cisza. Przerwał ją Dagur, który powiedział to, co reszta z nich pomyślała.

– Wiesz, jak sterować łodzią?

– Na taką małą łódź nie potrzeba zezwolenia – odezwał się z wyższością Benedikt. – To całkiem proste. Jeśli któreś z was mi nie ufa, teraz ma szansę, żeby się wycofać – dodał z uśmiechem, chociaż w jego głosie czuć było powagę.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Alexandra bardzo chciała zaproponować, żeby zrezygnowali, ale powstrzymała się. Dagur znów odezwał się za wszystkich.

– Oczywiście, że nikt się nie wycofuje. Więc mówisz, że już byłeś na Elliðaey?

– Jasne. Mnóstwo razy. Ale nie martw się, mam coś dla was! Patrzcie, to on – powiedział Benedikt, pokazując na doki. – Zabierze nas na wyspę i odbierze w niedzielę. Na łodzi jest radio, drugie jest na wyspie, więc będziemy mogli mu przekazać, że jesteśmy gotowi do powrotu. To tylko kwestia komunikacji, więc na psa urok, wszystko zadziała, jak trzeba.

Łódź odbiła od nabrzeża i sterowana zręcznymi rękami Sigurdura, wuja Benedikta, popłynęła w stronę wyjścia z portu. Okazało się, że wuj jest wyluzowanym, wesołym człowiekiem.

Mimo wszystko Alexandra nie mogła się otrząsnąć ze złych przeczuc. Czy powinna coś powiedzieć? Denerwowała ją nie tyle perspektywa morskiej podróży, co przeczucie dotyczące samej wyprawy, zimne, pogłębiające się przekonanie,

które coraz trudniej było jej ignorować. Kiedyś byli dobrymi kumplami, ale to dawne czasy. Od lat nie byli razem. Okej, utrzymywała kontakt z Klarą, ale czy innych jeszcze znała? Zaczęła myśleć o swoich dwóch synkach. To z nimi powinna być, w domu, a nie tutaj, z grupą w gruncie rzeczy mało jej znanych ludzi, którzy nierozważnie próbują odtworzyć swoją młodość. Co gorsza, zebrali się w rocznicę wydarzenia, o którym nie mogła myśleć bez drżenia.

Mimo niepokojów Alexandra musiała przyznać, że widok był wspaniały. Prześliznęli się obok floty kolorowych trawlerów zakotwiczonych w porcie i wyszli na otwarte morze. Dzień był piękny, na niebie tylko jedna mała chmurka, morze spokojne, a łódź reagowała jak trzeba, kiedy wuj Benedikta dodał gazu.

– To Heimaklettur. – Pokazał na lewo. – I Midklettur, i Ystiklettur. – Przepłynęli blisko podnóży trzech skalistych wzgórz o zielonych, trawiastych szczytach nad stromymi, dziobatymi klifami.

Alexandra siedziała bez ruchu, ponuro przełykała, przywarta do swojego miejsca, gdy łódź zaczęła się wznosić i opadać na falach. Chłopcy i Klara balansowali na stojąco, z twarzami wystawionymi na wiatr. Najwyraźniej podobało im się kołysanie.

– Tam... patrzcie! – Benni przekrzykiwał warkot silnika. – Tam jest Bjarnarey, a, trochę dalej jest Elliðaey, dokąd płyniemy. Lodowiec z tyłu to Eyjafjallajökull.

Podążyła wzrokiem za jego palcem pokazującym wyspę posepnego kształtu, skaliste ściany, nieprawdopodobnie gładkie i niedostępne, wyrastające z morza, a za nimi drugą wyspę, troszeczkę niższą i bardziej pofałdowaną, ale i tak otoczoną klifami. Pomyślała, że przypomina to garbatą bestię, która się na nich zaczęła i leży z głową wzniesioną do ataku. Nagle popatrzyła w dół i zamknęła oczy.

Poczuła, że ktoś łagodnie dotyka jej ramienia. Szybko podniosła wzrok, to był Dagur. Przebiegł ją dreszcz: wspomnienia z przeszłości, nadzieje, oczekiwania. Były czasy, kiedy sądziła, że z ich paczki powstaną dwa małżeństwa: ona i Dagur, Benni i... Nie, nie ma sensu nawet tak myśleć. To się skończyło i dawno o tym zapomniano.

– Nic ci nie jest? – zapytał miłym głosem.

– Marny ze mnie matros – odparła żałośnie.

Zaczęła się zastanawiać, czy to możliwe, że między nimi coś było, coś więcej niż flirt nastolatków. Oczywiście, teraz było za późno – jasne, że za późno. Doskonale wiedziała, że iskierka miłości uleciała już z jej małżeństwa, może nigdy jej nie było, a ona była tutaj, a przed nią perspektywa weekendu z chłopakiem –

mężczyzną – którego lubiła jako nastolatka... Hm, więcej, podkochiwała się w nim. Czy właśnie dlatego zgodziła się, kiedy Klara zaproponowała ten wyjazd na weekend? Jeśli miała być uczciwa wobec siebie, to specjalnie zapytała, czy będą tam Dagur i Benni.

Przed nimi wyłoniła się Elliðaey w całej swej chwale, jak coś z innego świata, pole golfowe bogów, zgniłozielony trawnik na szczycie pionowych klifów i zagnieżdżony w trawiastej fałdzie zbocza samotny dom. Trudno byłoby wyobrazić sobie coś bardziej opuszczonego.

– A może szybko opłyniemy wyspę? – zapytał Sigurdur, zerkając przez ramię na pasażerów.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłaby Alexandra, to przedłużanie tej wyprawy łodzią, ale ugryzła się w język, kiedy przyjaciele pozytywnie odnieśli się do tego pomysłu.

Teraz podpływali do wyspy, do podnóża imponującej czarnej ściany ze smugami ptasich odchodów. W oczach Alexandry klif wyglądał na nie do zdobycia. Morskie ptaki roiły się wokół niego rozwrzeszczonymi stadami.

– Niewiarygodne, prawda? To chyba prawie same rissy i mewy– powiedział Benni. – To jest Háubæli. I popatrzcie tam. – Wskazał szczyt klifu. – Tam, przy szczycie, jest mała ławeczka skalna...

Idąc za wskazaniem jego ręki, Alexandra zerknęła niechętnie do góry i zobaczyła wystającą grań.

– Można tam sobie posiedzieć – powiedział Benni. – Jeśli naprawdę chce się poczuć, że się żyje.

– Żartowniś z ciebie – rzekł Dagur.

– To nie żart. Później tam pójdziemy.

Alexandra przełknęła ślinę. Łódź kołysała się i podskakiwała blisko brzegu, a jej wywracał się żołądek. Próbowwała się skupić na nadchodzących falach i nie myśleć o zawrotnych wysokościach nad głową.

– Można się tam wspiąć – mówił dalej Benni, wskazując niemal pionową przepaść. – Widzicie linę?

Alexandra już nie mogła się powstrzymać.

– Nie ma mowy, żebym wspinała się po linie. Zwariowałeś? To byłoby nieprawdopodobnie niebezpieczne.

– Tędy można się wdrapać. – Benni uśmiechnął się. – Ale z drugiej strony jest łatwiejsza droga.

– Co to jest na szczycie klifu, ten punkt, czy jak to nazwać? – zapytał Dagur.

– Służy do spuszczenia owiec.

– Owiec? Chcesz mi powiedzieć, że tam są owce?

– Tak kilkadziesiąt. Opuszcza się je w sieci, po dwie naraz. Jedno stanowisko jest na górze, drugie na dole. W ten sposób farmerzy przenoszą owce na łódź. Napina się linę między stanowiskiem na górze a bolcem na tej skale wystającej z morza, potem opuszcza się owce z klifu.

Łódź warkotała u podnóża skalnych ścian, na lekkiej fali przypływowej.

– Na prawo... – powiedział Sigurdur parę minut później. – Tutaj spróbujemy wysadzić was na brzeg. O, tam, widzicie? – Próbował jednocześnie pokazać kierunek i utrzymać łódkę na kursie.

Alexandra dała się namówić i popatrzyła w górę. Miała nadzieję, że zobaczy molo, ale nic z tego. Beład skał i głazów, i tyle.

– Będziecie musieli skakać – wyjaśnił Sigurdur ostrzejszym tonem.

– Skakać?! – krzyknęła Klara. Pozostali siedzieli bardzo cicho.

– Tak, na brzeg, na kowadło, tak nazywamy tę półkę. To nic takiego. Trzeba tylko poczekać na właściwy moment. Okej, Benni, ty pierwszy. Powiem kiedy. – Zamilkł. – Raz, dwa... i skok.

Benni nie czekał na drugi raz, skoczył wysoko z łodzi na skalną półkę. Ledwie mu się udało utrzymać równowagę.

– Bułka z masłem.

Dagur poszedł za jego przykładem.

Alexandra siedziała zesztywniała ze strachu, patrzyła, jak Klara skacze jako następna. Wszystkim świetnie się udało, ale mimo tego Alexandrze nogi odmówiły posłuszeństwa.

– Dalej, skacz! – usłyszała krzyk Sigurdura.

Skoczyła bez namysłu, jakoś udało się jej stanąć na niebezpiecznej półce. Łądując, trochę się poślizgnęła, ale Dagur złapał ją i pomógł odzyskać równowagę. Pomyślała, że przynajmniej ma pod stopami stały ląd. Ale kiedy już tam się znalazła, nie poczuła się bezpieczniej na tej niewiarygodnie urwistej bezładnej wyspie. Jakże żałowała, że dała się nabrać na przyjazd. Czym do diabła to się skończy?

6

Robert mieszkał jakieś pół godziny jazdy od centrum Savannah i taksówka nie wypadła tanio. Jego dom okazał się ładnym, parterowym, drewnianym budynkiem. Miał białe ściany, czerwony dach i piękną werandę. W ogrodzie zieleniła się bujna roślinność, a temperatura była stosownie do tego tropikalna. Taksówkarz powiedział, że dochodzi do stu stopni. Chociaż Hulda nie miała pojęcia, jak zamieniać skalę Fahrenheita na skalę Celsjusza, nie trzeba jej było mówić, że jest bardzo gorąco. Pot ściekał jej po plecach i bokach, modliła się, żeby w domu było chłodniej.

– Witam, witam! – zawołał starszy mężczyzna, pojawiając się na werandzie. – Hulda? – zapytał z amerykańskim akcentem.

Był wysoki i miał lekką nadwagę, ale Hulda domyśliła się, że w młodości był szczupły. Pomarszczona twarz pod łysiną wyglądała przyjaźnie.

– Tak, jestem Hulda. – Z braku praktyki mówiła trochę łamaną angielszczyzną, ale jak większość Islandczyków niezłe jednak władała tym językiem, mimo że mało podróżowała i nigdy nie mieszkała za granicą. Szkoda, że tak rzadko używała obcych języków, bo miała do nich dobry słuch.

Podeszła ścieżką w jego stronę, poruszała się powoli w duszącym upale. Przyjrzała się dokładnie jego twarzy i przez chwilę wydawało się jej, że widzi ulotne podobieństwo, jakiś związek, jakby ten człowiek był z nią spokrewniony. Bała się jednak, że to tylko pobożne życzenia.

– Wejdziemy? – zapytał, zrobił krok w jej stronę i przywitał się serdecznym uściskiem dłoni.

– Tak, chętnie. – Na szczęście okazało się, że w domu jest znacznie chłodniej.

– Żony nie ma – powiedział. – Ciągle jest poza domem. Ale przecież jest znacznie ode mnie młodsza. – Z uśmiechem poprosił Huldę, żeby usiadła przy stole w jadalni.

Zastanawiała się, ile on ma lat, ale nie chciała pytać, przynajmniej nie od razu. Minęło pięćdziesiąt lat, odkąd był na Islandii. Może trochę po siedemdziesiątce?

Wyglądał młodo. Jego ruchy były szybkie i spokojne. Wyglądało na to, że cieszy się dobrym zdrowiem.

– Ale i tak coś dla nas upiekła – dodał. Wyszedł i zaraz wrócił z wspaniale pachnącym plackiem.

– To placek brzoskwiniowy – oznajmił z dumą. – Tutaj wszyscy jedzą placki brzoskwiniowe.

Podał do tego lemoniadę.

Po pierwszym kęsie Hulda musiała przyznać, że placek był doskonały. Już dawno przestała kucharzyć, teraz z rzadka robiła sobie kolację, nie wspominając o czymś bardziej skomplikowanym. Nie miałyby to sensu, skoro była samotna. Kiedyś zapytałaby o przepis, żeby upiec takie ciasto dla Jóna i Dimmy, ale teraz wystarczyło jej, że sama rozkoszuje się słodyczami.

– To jest niewiarygodnie smaczne – oceniła.

– Dziękuję. Moja żona jest świetną kucharką. Miło mieć powód do pieczenia ciasta, bo nie przychodzi do nas wielu gości. Ale ty przyleciałaś aż z Islandii!

– To nie tak daleko i pewnie sam o tym wiesz. W dzisiejszych czasach to tylko pięć godzin lotu od Nowego Jorku.

– Tylko tyle? – Stary wydawał się zaskoczony. – Do licha, powinienem przylecieć z wizytą.

– Więc nigdy nie wracałeś?

– Nie, przez jakiś czas stacjonowałem tam, kiedy byłem w wojsku. Niecały rok, w 1947. – Wzrok mu się zamglił, wrócił myślami do tamtych czasów, sprzed półwiecza.

– Dobrze pamiętasz tamten rok? Pamiętasz Islandię?

– Właściwie, to nie bardzo. Wtedy dużo podróżowałem i pobyt na Islandii to była jedna z wielu delegacji służbowych. Ale dobrze pamiętam pola lawy – wszędzie niekończąca się lawa. Krajobraz był niewiarygodnie jałowy. Księżycowy. Tak można sobie wyobrazić księżyc. – Robert przyjaźnie się do niej uśmiechnął.

– Zapamiętałeś coś jeszcze z pobytu na Islandii? – Do Huldy dotarło, że wchodzi w tryb przesłuchania policyjnego, jakby wypytywała podejrzanego, próbowała przyłapać go na pomyłce i zmusić do przyznania się. Musiała się pilnować. Wobec tego człowieka to nie byłoby w porządku.

Pokręcił głową.

– Nie, nie mogę powiedzieć, żebym coś jeszcze zapamiętał. Szczerze mówiąc, Islandia nie była... jak to powiedzieć? Nie była najbardziej popularnym miejscem

zakwaterowania. Kiedy usłyszałem, że mnie tam wysyłają, to zaraz pomyślałem: co złego zrobiłem? – Wybuchnął śmiechem. – Oczywiście, to był tylko przesąd, ale musisz przyznać, że twój kraj dopiero wtedy wszedł w dwudziesty wiek. Tam było zupełnie inaczej niż u nas. Taki prymitywizm, jakbym cofnął się w czasie. Brakowało dróg z utwardzoną nawierzchnią i było tak mało domów, że miejscowi mieszkali w barakach z blachy falistej. Nawet Reykjavík trudno było wtedy nazwać miastem. Myślę, że rozrósł się do tej pory. Rzadko który z miejscowych mówił po angielsku, chociaż młodzi ludzie podłapali trochę języka podczas wojny. I pamiętam, że były kina, w których szły amerykańskie filmy. Trochę mnie to zaskoczyło. Było oczywiste, że obecność brytyjskich i amerykańskich żołnierzy podczas okupacji miała duży wpływ na kulturę. Przynajmniej ja tak myślę.

– Musiałeś być wtedy młody... – zapytała, zarzucając przynętę. Była zdumiona, jak łatwo przychodziło jej mówić po angielsku. Uczyła się go w szkole, ale poznała język głównie z napisów w serialach i filmach telewizyjnych. Islandzkie programy były zdominowane przez produkcje brytyjskie i amerykańskie, więc w słowach starego, o wpływie okupacji na kulturę, była pewnie jakaś prawda.

– Cóż, tak, miałem chyba koło trzydziestki... – Widać było, że liczy w myślach. – Tak, trzydzieści.

– Musiało być trudno, z dala od żony przez rok. – Hulda powiedziała to pytającym tonem, bo chciała się dowiedzieć, czy wtedy był singlem. Chociaż to nie musiało niczego dowodzić: i tak mógł mieć romans na Islandii.

– Tak, tak, było trudno. Na szczęście wojna się skończyła i niebezpieczeństwa praktycznie minęły, a ona jest tak cudowna, że wytrzymała ze mną przez wszystkie te lata. Wiesz, jesteśmy małżeństwem od ponad pół wieku.

– Gratulacje.

– Dziękuję. – Milczał przez chwilę i zanim Hulda znalazła właściwe słowa, powolnym, jednostajnym tonem powiedział:

– Napomknęłaś w liście, że mieliśmy wspólnego przyjaciela?

7

KLARA

Klara nie znalazła właściwego sposobu na życie, a przynajmniej tak uważała, żeby usprawiedliwić, że w wieku trzydziestu lat nadal mieszka z rodzicami bez perspektyw na przeprowadzkę w najbliższym czasie. Często zmieniała pracę, przeszkadzał jej brak formalnego wykształcenia. Przez jakiś czas miała tymczasowy angaż w przedszkolu, gdzie nawet się jej podobało, ale to nie trwało długo. Co jakiś czas dostawała pracę w sklepie, gdzie kogoś zastępowała, potem pracowała w kolejnym przedszkolu, ale znów był to tymczasowy angaż. Może część problemu polegała na tym, że nie starała się utrzymać w pracy, kiedy była okazja. Mieszkała wygodnie w domu, w którym miała to, co jej było potrzebne, bo rodzice pozwalali jej mieszkać bez czynszu w suterenie.

Stała teraz przed samotnym domem na wyspie, patrzyła w morze i myślała o czasach, kiedy jej życie było proste. Kiedy miała tych dobrych przyjaciół, z którymi spędzała prawie cały wolny czas. Byli sobie tacy bliscy, aż myślała, że zawsze tak będzie, i na zawsze zostaną przyjaciółmi.

Mała chmurka zniknęła, ustępując przed wspaniałym, słonecznym dniem. Trudno byłoby wyobrazić sobie lepszą pogodę, ale Alexandra, z jakichś powodów, psuła wszystkim humor. Kiedy weszli po trawiastej ścieżce wzdłuż skalistego urwiska, trochę pomagając sobie przy tym starą liną przytwierdzoną do skały, Alexandra zaczęła jęczeć, że nie powinni tu przyjeżdżać, nawet robiła Klarze wymówki i zrzucała na nią winę.

– Nie powinnaś mnie w to wciągać! – Przecież Klara w nic jej nie wciągnęła, tylko powiedziała, że powinni razem uczcić pamięć przyjaciółki sprzed lat, piątego członka ich paczki. Może zawinił wybór miejsca spotkania, samotny dom na niezamieszkannej wyspie Elliðaey, tak odległy od utwardzonych dróg, jak tylko można sobie wyobrazić. Ale kiedy Benni przysłał jej zdjęcie wyspy, natychmiast pomyślała, że to właściwe miejsce. Taki wspaniały krajobraz.

Ale teraz Klara też zaczęła się bać. Pewnie to była tylko świadomość, że jest się tak odcięty od cywilizacji. Nagle dopadło ją nieprzyjemne uczucie, że wyrzuciło ich na brzeg, że są zdani na siebie na bezludnej wyspie i nie mają innego kontaktu z światem, jak tylko przez radiostację.

Złapani w pułapkę pięknej martwej natury.

Dom, a raczej chata myśliwska, gnieździł się u podnóża trawiastego zbocza, które wznosiło się do nieba, a potem spadało pionowo w morze. Niedaleko był drugi, mniejszy budynek, dziewiętnastowieczna chata myśliwych polujących na ptaki, jak jej powiedział Benni, jeden z najstarszych budynków na Westman Islands.

Ktoś wołał ją – pewnie Benni. Napełniła płuca świeżym, morskim powietrzem i słuchała krzyku ptaków, jedynego dźwięku naruszającego ciszę. Chciała cieszyć się chwilą, zlekceważyła podpełzający strach i poszła, żeby przyłączyć się do innych.

Benni, kiedy zebrał ich razem, oświadczył, że idą popatrzeć na Háubæli. Nikt nie protestował, chociaż Klara zobaczyła zaniepokojenie na twarzy Alexandry.

Przeszli przez całą wyspę, po drodze natykając się na parę owiec.

– Trzymajcie się ścieżki, tak jest najbezpieczniej. Owce utrzymują ją w należyтым stanie, zwykły chodzić właśnie tędy – powiedział Benni.

– Najbezpieczniej?! – krzyknął Dagur. – Czy chodzenie po trawie może być niebezpieczne?!

– Tutaj wszędzie są nory maskonurów. Łatwo skrócić sobie kostkę, kiedy przypadkiem się w taką wejdzie. Więc uważajcie.

Klara szła z tyłu, trzymała się jak najbliżej pozostałych. Owcze ścieżki od czasu do czasu zanikały, a ziemia była pokryta długą trawą i dużymi kępami, co utrudniało marsz. Grunt zaczął się ostro obniżać.

– To nie jest miejsce dla ludzi, którzy boją się wysokości – ostrzegł Benni, zwalniając, kiedy zaczęli dochodzić do celu. – Idźcie za mną. Jak poczujecie zawroty głowy, złapcie się kępek trawy, ma zaskakująco mocne korzenie.

Po pewnym czasie doszli do Háubæli i Klara zobaczyła jeden z najbardziej zapierających dech widoków, jakie w życiu widziała. Tuż pod szczytem urwiska znajdowała się wydrążona opoka pod skalnym nawisem, niemal płytka jaskinia. A z przodu, nad przepaścią, sterczała skalna półka, ta, którą widzieli z łodzi. Pod nawisem ledwie starczało miejsca dla czworga. Nie można było wyprostować się,

chyba że podeszło się blisko skraju.

– Ktoś chciałby usiąść na półce? – zachęcał Benni. – Widoki są niesamowite. Człowiek naprawdę czuje, że żyje. Ale z tym łączy się ryzyko natychmiastowej śmierci. Źle postawisz stopę i po tobie.

Dagur, który spróbował pierwszy, trochę się zawahał. Po Alexandrze było widać, że nie ma zamiaru odsunąć się choćby o centymetr od względnie bezpiecznego nawisu.

Dagur cofnął się i przysła kolej na Klarę. Miała przycupnąć na najbardziej wysuniętym punkcie. Popatrzyła na morze, na niebo, na białe ptaki latające tak blisko, że niemal można było ich dotknąć. Wydawało się jej, że znalazła się w innym świecie, absolutnego spokoju i niezrównanych widoków. Widziała Bjarnarey, której strome zbocza stawały dęba z morza, a za nią wulkaniczne stożki Heimaey, a dalej nic – tylko ocean rozciągający się po odległy horyzont. Potem wyjrzała za skraj, w dół. To było tak, jakby patrzyło się w nieskończoność, jakby stawało się twarzą w twarz z własną śmiertelnością. Odruchowo skurczyła się, nabrała powietrza. Żaden człowiek nie przeżyłby takiego upadku.

8

DAGUR

Domek myśliwski, ładna drewniana chatka, był większy niż sugerowałaby jego nazwa, prawie jak letni dom obity stalową blachą falistą, z białymi ścianami i czarnym dachem. W kuchni przeszłość spotykała się z teraźniejszością, nowoczesne urządzenia ocierały się o przedmioty z ubiegłego wieku, takie jak staromodny dzbanek do kawy, stary kalendarz i radio, którego pełnia młodości przypadała na lata siedemdziesiąte. Przytulna atmosfera urzekła Dagura. Z kuchni wychodziło się do obszernego salonu, gdzie cała ich czwórka już zdążyła poczuć się jak w domu. Na ścianach wisiały stare zdjęcia myśliwych, a parę wypchanych ptaków zwisało z sufitu, przypominając, że wyspa jest ich królestwem, a ludzie to tylko goście.

– Mówi się, że na wyspie jest więcej ptaków niż ludzi na Manhattanie – powiedział Benni. Do tej pory ich wzajemne stosunki były trochę sztywne. Wskazywało to, jak dużo czasu minęło, odkąd ostatni raz byli razem, ale Benni robił wszystko, żeby wprowadzić luźniejszą atmosferę. – I nie da się zliczyć nor maskonurów.

Domek uzależniony był od zbiornika na deszczówkę, bo na wyspie nie było słodkiej wody, więc poza alkoholem i jedzeniem przywieźli pojemniki z wodą pitną. To był niezły wyczyn, wyładować bagaże na brzegu, niczego nie tłukąc.

– Tu jest całkiem, całkiem – oceniła Alexandra, ale zdradziło ją drżenie głosu. Dagur domyślił się, że wolałaby być gdzie indziej. – Ale i tak jestem pewna, że budowniczym tego domu towarzyszyły koszmary.

– Tak, słyszało się historie – odparł Benni, chętnie korzystając okazji, żeby zacząć rozmowę. – Domyślam się, że roboty było tu od cholery. Możecie sobie wyobrazić, jak to wyglądało, kiedy trzeba było przewieźć łodzią wszystkie belki i inne materiały, a potem wciągnąć je na urwisko.

– To prawdziwa przygoda, kiedy jest się tak daleko od wszystkiego – stwierdziła

Klara. – To musi być dla ciebie odmiana, prawda Alexandro? Żadnych płaczących dzieci.

Alexandra odpowiedziała tylko słabym uśmiechem.

– Jak ci się podoba życie na wschodzie? – zagadnął Dagur, żeby przerwać ciszę.

Alexandra nie odpowiedziała od razu.

– Och, jest świetnie. – Szybko spuściła oczy, ale Dagur domyślił się, po wyrazie jej twarzy, że nie powiedziała wszystkiego.

Już miał się zwrócić do Klary i zapytać, co teraz porabia, ale rozmyślił się. Doskonale wiedział, że przez ostatnie kilka lat – właściwie przez dziesięć lat – było jej ciężko.

Dagur popatrzył na Benedikta. Próbował przez to dać do zrozumienia, żeby teraz on podtrzymał rozmowę.

– Wzniesiemy toast... za nią? – zapytał Benedikt, wstając. Było oczywistością, o kim mówi.

– Tak, zrobmy to – przytaknęła Klara.

Tamta dziewczyna i Klara były najlepszymi przyjaciółkami. Z nich wszystkich najbliżsi jej byli Dagur i Klara.

– Przyniesiesz alkohol? – spytała Klara, kierując te słowa do Benniego.

– A jak myślisz?

Otworzył kredens, wyjął butelkę whisky, nalał do trzech szklanek i zapytał Dagura.

– A ty? – Dagur nie tknął alkoholu od lat, od tych strasznych wydarzeń, które sprowadziły ich tutaj. Pił jako nastolatek, jak oni wszyscy, ale okoliczności zmusiły go, żeby przestał.

Ściślej mówiąc, przyznanie się ojca, że pił, kiedy... kiedy to się zdarzyło... że w rzeczywistości od dawna upijał się w tajemnicy, ukrywając to przed rodziną. Od tego czasu Dagur nie był w stanie tknąć alkoholu.

Czasem pokusa był silna – może miał to w genach – ale nie miał zamiaru się złamać. Nie było sposobu, żeby dowiedzieć się, w jakim stopniu należy winić alkohol za zniszczenie rodziny, ale było jasne, że bez alkoholu byłoby znacznie lepiej.

Nie. Postanowił, że tego wieczoru jak zwykle zachowa trzeźwość.

9

Tak, zgadza się... – Hulda wahała się, jak odpowiedzieć na pytanie o wspólnego przyjaciela. Co rzadkie u niej, nie przygotowała się, jak trzeba, nie pomyślała, jak ująć to w słowa.

– Ile masz lat, jeśli można spytać? – odezwał się.

Hulda natychmiast zorientowała się, do czego zmierza.

Chwilę potem dodał:

– Mam nadzieję, że wybaczysz mi taką bezpośredniość, ale kiedy osiągniesz mój wiek, uznasz, że możesz sobie pozwolić na takie impertynencje wobec młodszego pokolenia.

– Oczywiście, mój wiek nie jest tajemnicą... W tym roku ukończę pięćdziesiąt lat. Przełomowe urodziny.

– Ty mi to mówisz. Pamiętam, jak doszedłem do pięćdziesiątki. Myślałem, że życie jest już za mną, ale nie mogłem bardziej się mylić. – Zachichotał. – Masz rodzinę, męża, dzieci?

Huldę trochę zakłopotало to pytanie. W domu, na Islandii, większość ludzi, z którymi utrzymywała kontakt, wiedziała, jaka jest sytuacja, że Dimma popełniła samobójstwo, a wkrótce potem zmarł Jón. Że jest sama na tym świecie od wielu lat i będzie nie wiadomo jak długo. Nieprzyzwyczajona do mówienia o tym podjęła błyskawiczną decyzję, żeby nie otwierać się przed obcym... co było trochę nie w porządku, jeśli się weźmie pod uwagę, czego sama od niego chciała.

– Nie, mieszkam sama – oznajmiła, postanawiając nie wgłębiać się w temat.

– Cóż, nadal nie jest za późno, żeby znaleźć sobie kogoś dobrego – odparł.

Nic nie powiedziała.

– Chcesz jeszcze kawałek? – zapytał, wskazując placek brzoskwiniowy. Hulda wzięła kawałek, choćby po to, żeby zyskać na czasie.

Robert po krótkiej chwili oszczędził jej tego wysiłku.

– Może to ktoś z twojej rodziny? – zapytał. – Może twoja matka? Ten wspólny przyjaciel?

Hulda zawahała się.

– Hm... tak, właśnie. Moja matka.

Robert rozparł się w fotelu.

– Ach, tak myślałem.

Przez dłuższy czas nic nie mówił, a Hulda też powstrzymała się od mówienia, czekając, aż Robert zrobi następny ruch.

– Jesteś we właściwym wieku i domyślam się, że to jedyna rzecz, która mogłaby zagnać cię z Islandii do Georgii – kawał drogi od domu – na spotkanie ze starym człowiekiem, takim jak ja. Zgadza się?

Serce w niej zamarło. Czy to był jej ojciec? Czy naprawdę siedziała z nim twarzą w twarz po tylu latach? Nagle przyłapała się na tym, że powstrzymuje łzy.

– Tak... – przyznała nieśmiało. Prawie odebrało jej głos.

– Ach – znów powiedział Robert.

– Czy ty... czy ty i moja matka...? – Hulda nie potrafiła znaleźć właściwych słów.

Teraz, z kolei, milczał Robert. Chyba miał problem ze znalezieniem słów.

10

Benedikt poczuł, że whisky poszła mu do głowy bardziej, niż się spodziewał. Picie na pusty żołądek to nie był dobry pomysł.

To śmieszne, rozejrzeć się i zobaczyć troje nastolatków, teraz o dziesięć lat starszych. Utrzymywał kontakty z Dagurem i starał się regularnie z nim spotykać, chociaż Dagur wolał zamykać się w swojej skorupie. Benedikt zawsze uważał, że łączy ich silna przyjaźń, że przetrwała przeciwności losu, jednak czasem odnosił wrażenie, że Dagur widzi to inaczej. Ale dziewczyn nie widział od dawna. Z plotek wiedział, że Klara ma problem z utrzymaniem się w jednej pracy i nadal mieszka z rodzicami. Kto by pomyślał? Kiedyś tak dobrze się zapowiadała, że większość uważała ją za dziecko sukcesu, bez względu na to, jaki zawód wybierze. Zawsze myślał, że Klara ukończy uniwersytet, ale widać zabrakło jej zapału, który chciał w niej widzieć. Na pewno dokonał właściwego wyboru... co do tego nigdy nie miał wątpliwości, bez względu na to, jak potoczyło się życie.

Siedzieli i wreszcie, po raz pierwszy od lat, snuli o niej wspomnienia. Dobrze się z tym czuli. Doprawdy, wreszcie przyszedł na to czas.

Alexandra właśnie opowiedziała przejmującą historię i Benedikt uznał, że teraz jego kolej.

– Właściwie, tylko raz – zaczął, z trudem powstrzymując łkanie, które prawie wyrwało mu się z gardła, kiedy zaczął opowieść – powiedziała, że jej przodek został spalony na stosie. Co gorsza, wraca tu jako duch. Zaklinała się, że sama go spotkała, że wyczuwała jego obecność.

– Ach, pamiętam te... historyjki – wtrącił z rezerwą Dagur.

Benedikta rozgrzała ta opowieść, jednocześnie przeszedł go dreszcz, bo wiele się z nią wiązało.

– Znała mnóstwo takich niesamowitych historii, myślę, że większość z nich wymyśliła – mówił dalej. – Ale w tym był jej urok.

– Właśnie – powiedziała Alexandra, uśmiechając się do niego. Alkohol rozwiązał jej język. – Ależ z niej była kłamczucha, ale nieszkodliwa, nie zrozumcie

mnie źle. Po prostu uwielbiała ubarwiać historie.

– Kłamczucha... – powtórzył Dagur; zimny i trzeźwy nie chciał, żeby ktoś powiedział coś za dużo. – To trochę za mocne.

– Przepraszam, nie chciałam powiedzieć niczego złego – odparła zawstydzona Alexandra.

– Myślicie, że mówiła prawdę; to znaczy to o jej przodku? – zapytała Klara, jakby nie dotarły do niej podteksty. Też nieźle wypila, chyba więcej niż inni. – Naprawdę spalono go na stosie? Czy tak tutaj robiono, na Islandii?

– Wiesz, właśnie o to ją spytałem... – zaczął Benedikt, do którego dotarło, że powiedział za dużo. – Mniejsza... O Boże, bo ja wiem. Nie pamiętam szczegółów. Mówiła o tym dawno.

– Czy w West Fjords? – zapytał Dagur.

– Co? Nie. A o co ci chodzi? Że w West Fjords?

– Znam tę historię. On pochodził z West Fjords, ten spalony na stosie. Masz rację. Opowiadała mi o nim w letnim domu... – Podkreślił ostatnie dwa słowa. – Powiedziała, że zawsze bała się tam ciemności.

Benedikt nie odpowiedział. Już miał zmienić temat, kiedy Dagur odezwał się.

– Zupełnie o tym zapomniałem. Fajnie, że przypomniałeś. Myślę, że przesadzała, ale kto wie? Kiedy ci o tym mówiła?

– Mnie? – Benedikt zareagował z opóźnieniem, jakby myślał, że Dagur kieruje pytanie do kogoś innego.

– Tak, kiedy opowiedziała ci tę historię?

Benedikt udawał, że szuka odpowiedzi w pamięci.

– Boże, zapomniałem. Pamiętam tylko, że ktoś został spalony na stosie. Takich rzeczy się nie zapomina! – Roześmiał się, ukradkiem obserwując reakcje przyjaciół. Spozrzegł, że Alexandra przesuwa się na kanapie bliżej Dagura. Może niechcący, a może nie. Klara w ogóle nie zareagowała, tylko siedziała i gapiała się przed siebie, jakby mocno o czymś myślała. A Dagur... Dagur, który niewątpliwie bardzo uważnie słuchał, dziwnym wzrokiem patrzył na Benedikta. Coś w historii opowiedzianej przez Benedikta nie pasowało mu.

Ale kiedy Dagur znów się odezwał powiedział tylko:

– Dziesięć lat... Szybko minęły, prawda ludziska? Wzniesiemy toast?

Wzniesli kieliszki za nią, bo za kogo? Za dziewczynę, dla której tu przyjechali, która chodziła do tej samej klasy co Benedikt i Klara przez całą podstawówkę, która przyjaźniła się z Alexandrą, mimo że ta poszła do innej szkoły niż oni. I była

dużą siostrą dla Dagura – „małego Dagura”, jak go żartobliwie nazywali, bo był rok młodszy od nich. Ona już się nie dowie, że tak się od wszystkich odsunął. Benedikt tak ją zapamiętał: ożywiona, trochę kokieteryjna, wielkoduszna, dobrze nastawiona do ludzi, ale uparta, kiedy chciała coś osiągnąć. Nie pozwalała, żeby coś stanęło jej na drodze.

– Mam wrażenie, jakby z nami była – odezwała się Alexandra, lekko bełkocząc pod wpływem whisky. – Nie sądzicie? Jakby w domu był jakiś niewidzialny duch, który sprawia, że wszystko jest jaśniejsze, figlarny duszek, prawda? – Nikt nie odpowiedział, więc szybko dodała: – Przepraszam, robię się trochę sentymentalna. To przez picie. Ostatnio nie jestem do tego przyzwyczajona. Na farmie zawsze mam co robić, opiekuję się dziećmi, dbam o męża, po prostu nie mam czasu na imprezowanie.

– Jasne, Alexandro, czuję to, wyczuwam ją – potwierdziła z uśmiechem Klara. – To na pewno ona.

Ośmielona słowami Klary Alexandra dodała:

– Ciągle się zastanawiam, czy ona nie chce nam czegoś powiedzieć. Czy jest coś, co chciałaby nam przekazać.

– Niby co takiego? – zapytał mimowolnie ostrym głosem Benedikt. – Co miałyby nam powiedzieć?

– Cóż... no wiesz – powiedziała z wahaniem Alexandra.

Benedikt nie odpowiedział, nie wiedział, jak zareagować.

– Wiesz – znów zaczęła Alexandra. – Może chce nam powiedzieć, co wtedy się stało.

Po tych słowach Benedikt poczuł, że atmosfera niemal dotykalnie zgęstniała, jakby duch dziewczyny dosłownie przybył, żeby się z nimi połączyć.

– Nie rozumiem – rzekła Klara.

Benedikt po raz pierwszy odwrócił głowę, żeby dokładnie przyjrzeć się Klarze. Dobrze zniosła upływ czasu. Zawsze śliczna w szkole, wyrosła na piękną kobietę. Benedikt nadal uważał ją za atrakcyjną, ale wiedział, że teraz nic nie może się między nimi zdarzyć. To pewnie dobrze, że znów spotkał się z koleżankami i kolegą, ale jednocześnie cieszył się, że drogi jego i dziewczyn rozeszły się, że bliżej przyjaźni się tylko z Dagurem.

– Chce nam powiedzieć, co się stało? – naciskała Klara. – Co chciałaś przez to powiedzieć? Wszyscy znamy fakty. – Mówiła cicho, ale wyraźnie i na chwilę zapadła grobowa cisza. Potem Dagur wstał tak gwałtownie, że jego szklanka spadła

na podłogę i rozbiła się na kawałki.

– Nie znamy! – krzyknął z taką wściekłością, że Benedikt zaczął się zastanawiać, czy w szklance kumpla nie było aby alkoholu. Taki nagły wybuch nie był do niego podobny.

Benedikt wstał, podszedł i uścisnął przyjaciela.

– Oczywiście, że nie znamy. Nikt ich nie zna. Ale zrozum ją: z punktu widzenia policji sprawa jest zamknięta, chociaż nie musimy się z tym zgadzać. Wszyscy możemy mieć własne zdanie.

Dagur tak mocno odtrącił przyjaciela, że Benedikt mało się nie przewrócił.

– Wszyscy możemy mieć własne zdanie? Benni, co to za bzdury? A ty, Klaro? A ty, Alexandro? Siedzisz tutaj cicho jak myszka. Nie masz zdania? – Wpijał się w nią wzrokiem.

– Nie. To znaczy... Zgadzam się z tobą, Dagurze.

– Mówisz, że wszyscy zgadzają się z oficjalną wersją? Poważnie? Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi, że wspieramy się. A teraz mnie też oszukujecie – przynajmniej ty, Benni, mnie oszukujesz. Ty! Na Boga, byliśmy przyjaciółmi, przynajmniej kiedyś. Dlaczego mnie okłamujesz?

– Okłamuję?! O co ci, do cholery, chodzi?! – krzyknął Benedikt.

Ale Dagur już wbiegał na górę.

ALEXANDRA

Alexandra nie zorientowała się od razu, co ją obudziło. Usiadła, wzięła gwałtowny oddech i dopiero wtedy dotarło do niej, że to środek nocy i że na dworze jest ciemno, jak to zwykle bywa o tej porze roku. Było jej niewygodnie, materac był stary i nierówny. Tutaj nie było wygod, ale większości gości pewnie to nie przeszkadzało, bo przybyli na tę wyspę, żeby właśnie od nich uciec. Alexandra zazwyczaj widziała siebie jako wiejską dziewczynę, ale nie odpowiadało jej to. Coś wisiało w powietrzu, jakieś nieokreślone zło, chciała znaleźć się we własnym domu, w swoim łóżku, w ciepłym, swojskim chaosie rodzinnego życia, z dala od tej wyspy i tych ludzi. Wieczór skończył się źle, Dagur nagle, bez oczywistego powodu, rzucił się na Benedikta. Na tym impreza się skończyła, chociaż i wcześniej nie było w niej niczego zabawnego. Alexandra miała nadzieję, że z nowym dniem pojawi się bardziej pozytywna atmosfera. Miała problem z zaśnięciem, w końcu się jej udało. Ale teraz usłyszała pełne grozy i bólu zawodzenie i natychmiast domyśliła się, że to ten krzyk ją obudził. Ten wywołujący ciarki dźwięk przeniknął ją do szpiku kości. Była pewna, że to krzyk kobiety. Klara?

Zaspana Alexandra usiadła, po wieczornym picu alkohol nadal krążył jej we krwi. Była otumaniona. Zajęło jej chwilę, zanim zorientowała się, że Klara nie leży na materacu obok. Potem dotarło do jej świadomości, że przestraszyła się, bo obudził ją mrozący krew w żyłach krzyk Klary. Nie miała zamiaru sprawdzać, co się stało, ale musiała pomóc przyjaciółce.

Sypialnię na strychu podzielono na dwa pokoje. Łączące je drzwi były zamknięte. Chłopcy zajęli wewnętrzny pokój, ona i Klara spały w zewnętrznym.

I wtedy zobaczyła ją. Klara siedziała w kącie zwinięta niemal w pozycję płodową, plecami do Alexandry.

– Co się, do diabła, dzieje? O co chodzi? – zapytał Dagur, wychodząc ze

swojego pokoju. Wściekle spojrzął na Alexandrę, jakby myślał, że to ona narobiła hałasu. – I gdzie jest Benni?

– Nie ma go z tobą?

– Nie. Kto krzyczał?

Alexandra skinęła głową w stronę Klary.

– Klaro, z tobą w porządku? – Dagur zapytał innym, łagodniejszym głosem.

Dziewczyna odwróciła się ruchem tak powolnym, jakby pochodził z marzenia sennego. Alexandra jeszcze nie przeżyła takiego szoku, jak teraz, na widok jej twarzy.

12

Żona i ja... – zaczął Robert i przerwał. Znów zaczął: – Żona i ja nie mogliśmy mieć dzieci. A ja nie mam dzieci z inną kobietą. Na Islandii nie miałem romansu. Zawsze dochowywałem żonie wierności. Przykro mi, że na próżno jechałaś taki kawał drogi, ale nie jestem twoim ojcem. Chyba o to chciałaś zapytać?

Hulda westchnęła.

– Tak. Miałam... miałam nadzieję, że to ty. – Próbowала nie pokazywać po sobie rozczarowania. To był daremny trud, ale przez chwilę uwierzyła, że ten uprzejmy, przyjacielski człowiek mógł być jej ojcem. I wtedy dotarło do niej, jak bardzo potrzebowała ojca. Miała wrażenie, że przez całe życie czekała na okazję, żeby go poznać, objąć go, sprawić, żeby był z niej dumny...

– Dlaczego sądziłaś, że mógłbym nim być?

– Moja matka... Nie powiedziała o mnie ojcu, że chodzi z dzieckiem, że jest ciężarna... – Hulda musiała przerwać, żeby uregulować oddech.

– Rozumiem – rzucił Robert, wchodząc jej w zdanie. – Jak ma na imię? Jeszcze żyje?

– Anna. Miała na imię Anna. Już nie żyje.

– Wyrazy współczucia – powiedział Robert i zabrzmiało to całkiem szczerze.

– Odkładałam tę podróż, bo nie chciałam wyjeżdżać za jej życia. Trudno to wyjaśnić, ale uważałam, że takie wtrącanie się nie byłoby w porządku. To była jej sprawa, jej decyzja, żeby nawet nie spróbować namierzyć... mojego ojca.

– Przykro mi, że go nie znalazłaś – odezwał się życzliwie. – Przynajmniej jeszcze nie. Ale dlaczego sądziłaś, że to mogę być ja?

– Wiedziała, że ma na imię Robert. Tyle mi powiedziała. I że pochodzi z Georgii.

– Nas, Robertów, jest dwóch – mruknął zamyślony.

– Wiem. Ale nie udało mi się namierzyć tamtego drugiego. Więc miałam nadzieję, że ty jesteś tym właściwym. W każdym razie miło było cię spotkać. – Powoli wstała.

– Z wzajemnością. – Uśmiechnął się.

– Może... może przypadkiem wiesz, co się stało z tamtym?

Pokręcił głową.

– Obawiam się, że nie, chociaż dobrze go pamiętam. Przez długi czas kontaktowaliśmy się za pośrednictwem towarzystwa weteranów, ale przez ostatnie dziesięć lat nie docierały do mnie żadne informacje od niego. Coś ci powiem: jak chcesz, to mogę zadzwonić do naszego wspólnego przyjaciela. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Wstał.

– Pójdę do gabinetu i sprawdzę, czy uda mi się go wydzwonić. Tymczasem poczęstuj się jeszcze plackiem. Sam się nie zje, a ja nie dam rady zjeść całego.

13

DAGUR

Dagur zobaczył, że Alexandra aż cofnęła się, kiedy Klara zwróciła się do niej twarzą. Nie winił jej za to. Twarz Klary zmieniła się w maskę ślepego przerażenia. Była blada – jakby dziewczyna zobaczyła ducha – chociaż Dagur nigdy nie wierzył w duchy. Musiał się jej przyśnić jakiś koszmar i obudziła się z krzykiem... A jednak cała sprawa wyglądała zagadkowo. Nigdy nie widział takiego czystego, nieskażonego strachu na czyjejś twarzy. Jakby z przerażenia straciła zmysły.

– Klaro, z tobą w porządku? – zapytał łagodnym tonem. Powoli do niej podszedł, starając się unikać gwałtownych ruchów. Patrzyła pustym wzrokiem, jakby nie widziała ani jego, ani Alexandry. Kiedy Dagur spróbował spojrzeć jej w oczy, patrzyła jakby przez niego.

– Kochana, co się stało? Słuchaj, chodź tu, usiądź. Alexandra też tu jest. Słyszeliśmy krzyk.

Klara nie zareagowała.

– Czy to ty krzyczałaś? Coś się stało?

Po minucie, dwóch posłuchała go, wstała, rumieńce powoli wróciły jej na pobielające policzki.

Dagur zerknął przez ramię i zobaczył, że Alexandra dyskretnie trzyma się na odległość. Jakby nie chciała zobaczyć tego, co widziała Klara...

– Wszystko w porządku? – zapytał, kiedy ocenił, że Klara miała dosyć czasu, żeby dojść do siebie.

Pokręciła głową.

– Czy to był koszmar?

Znów pokręciła głową.

– Nie.

– Co się stało?

Nie odpowiedziała, Dagur czekał cierpliwie. Widział, że potrzeba jej trochę

więcej czasu, żeby uporać się z szokiem i zacząć mówić.

Wreszcie odezwała się upiornym głosem.

– Widziałam ją. Była tutaj.

Dagurowi zrobiło się niedobrze, przeszył go strach. Było oczywiste, o kim Klara mówi. Chociaż wiedział, że to niemożliwe, podpełzły ku niemu wątpliwości.

– Co za bzdura! – wybuchł, nie mógł się powstrzymać. – Weź się w garść, ale już!

Poczuł rękę na ramieniu, znów zadrżał, nie kontrolował tego. Kiedy odwracał nagłym ruchem głowę, prawie się spodziewał, że zobaczy ją za sobą...

14

Kiedy Robert po paru minutach wrócił, Hulda poznała po jego minie, że nie ma dobrych wiadomości.

– Tak mi przykro, kochana, tak mi przykro.

– Czy on... nie żyje? – zapytała, chociaż już znała odpowiedź. Być może zawsze ją znała. Wyczuwała ją.

Robert kiwnął głową.

– Tak, pięć lat temu. Tak mi przykro.

Przytłoczył ją smutek po śmierci człowieka, którego nawet nie znała. To było ostateczne potwierdzenie, że nigdy nie spotka się z ojcem.

Po cichu przeklinała się, że była taka głupia i nie postarała się go wytropić wiele lat temu.

– Ja... – Robert zawahał się. – Dobrze go pamiętam. Był bardzo porządnym kolegą, wspaniałym facetem, jeśli to jakieś pocieszenie.

Hulda kiwnęła głową, próbowała wyglądać na dzielną, ale wiedziała, że nikogo nie oszuka. Przełknęła łzy. Płacz od dawna nie był w jej stylu. Tyle przeszła, że nie miała zamiaru marnować łez dla kogoś, kogo nawet nie znała.

– Dziękuję – powiedziała po chwili ochrypłym głosem.

– Bezpośredni facet, z tego, co pamiętam. Kiedy razem służyliśmy w wojsku zawsze wiedziałem, że mnie wesprze. – Potem dodał, a Hulda wiedziała, że mówi to, żeby ją pocieszyć. – Jesteś do niego podobna. Wiesz co? Spróbuję znaleźć parę jego zdjęć i prześlę ci je mailem.

– Co, hm, co robił po wyjściu z wojska?

– Został nauczycielem. O ile wiem, był nim przez prawie całe życie. Ale jak mówiłem, od dawna o nim nie słyszałem. Ale to był wspaniały gość – powtórzył.

Jego zapewnienia nie były dla Huldy szczególnym pocieszeniem. Przecież nie będzie źle mówił o zmarłym, szczególnie w takich okolicznościach.

Wynik był taki, że niewiele dowiedziała się o ojcu i pewnie będzie musiała na tym skończyć. Ale ciekawość przeważała.

– Był żonaty?

– Tak, ale o ile wiem, żona umarła przed nim. Umarła wcześniej, jakieś piętnaście lat temu. Nie wiem, czy znowu się ożenił.

– Mieli dzieci?

– Tak, kilkoro.

Huldzie przemknęło przez głowę, żeby je odwiedzić. Jej przyrodnie rodzeństwo... Nie podczas tej podróży, nie tak od razu. W końcu nie przyjechała szukać rodzeństwa, ale z nadzieją, że odnajdzie ojca.

Odsunęła krzesło i wstała.

– Bardzo ci dziękuję, że znalazłeś dla mnie czas i byłeś taki uprzejmy – stwierdziła, próbując się uśmiechnąć. – Masz piękny dom.

– Huldo, to było wspaniałe spotkanie – odpowiedział, również wstając. – Jeśli mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić, wystarczy jedno słowo.

Chwilę pomyślała i sama zdziwiła się swoim pytaniem.

– Może przypadkiem wiesz... albo mógłbyś sprawdzić... gdzie jest pochowany?

– To byłoby... Jasne, że będę mógł znaleźć. Jeśli zechcesz poczekać, wykonam parę telefonów.

– Oczywiście, poczekam. Bardzo dziękuję – odparła zawstydzona, że każe temu staremu człowiekowi tracić tyle czasu dla zupełnie mu obcej osoby.

– To będzie ciekawsze niż wysiadanie na werandzie i rozwiązywanie krzyżówek – oznajmił, znów wychodząc z pokoju.

ALEXANDRA

Uspokój się Dagurze – odezwała się łagodząco Alexandra. Kiedy ostrożnie położyła dłoń na jego ramieniu, podskoczył i odwrócił się. Patrzył na nią, a ona widziała w jego oczach niekłamanie przerażenie. Całe zdarzenie bardzo ją wystraszyło: przed chwilą Klara wyglądała jak zombi. Dziwne, ale Alexandra przyjęła rolę matki, jakby pocieszała dwoje dzieci. Oczywiście, jej starzy przyjaciele byli dorośli, ale pomyślała, że pod pewnym względem nigdy nie dojrzeli. Z pewnej perspektywy była szczęściarą, że odsunęła się od piekła, przez które oni przeszli. Było niezręcznie oczywiste, że Dagur i Klara w istocie nie pozbyli się urazu. Gdyby poddać ich testom, okazałoby się, że są dziećmi. Nawet Dagur, ten godny zaufania, zrównoważony chłopak, nie był w stanie znieść napięcia.

Zapagnęła objąć go, przycisnąć do siebie. Szczerze mówiąc, wiedziała, że nigdy nie przestała trochę się podkochiwać w Dagurze. Pod tym względem nie zmieniła się całkowicie i nie zostawiła przeszłości za sobą. Dojrzała kobieta, żona i matka dwojga, nie powinna tak myśleć, ale znów poczuła się dziewczyną, zakochaną dwudziestolatką.

Dagur odwrócił się, bardzo czule wziął ją za rękę, a ona znów poczuła przyjemny dreszcz przenikający całe ciało.

– Przepraszam, przeżyłem szok. – Zajrzał jej głęboko w oczy, a jej się zdawało, że zobaczyła w jego oczach jakąś iskierkę. Czy to możliwe, że przez wszystkie te lata też skrycie żywił do niej uczucie? Czy jest już za późno, żeby coś z tym zrobić?

Oczywiście, że jest za późno. A jednak...

– Nie ma sprawy. – Czekwała, nie chciała, żeby puścił jej rękę, ale po chwili uwolniła się i odwróciła do Klary.

– Mówisz na serio? – zapytała. – Że niby ją widziałas? To musiał być koszmarny

sen.

– Mówię na serio – odparła poważnym głosem z nutką wyzwania. – Mnie się nie wydaje, że ją widziałam. Wiem, że ją zobaczyłam. Ona tu była!

Dagur pokręcił głową.

– Czego chciała? – zapytała Alexandra, zastanawiając się, czy ta rozmowa da coś na dłuższą metę.

– Nie wiem, czego chciała – wydukała Klara i dodała: – Tylko jakiejś sprawiedliwości... Jak zawsze.

Dagur ostro się wtrącił.

– Sprawiedliwości?

Klara pokiwała głową.

– Chcesz powiedzieć... hm... czy ona chciała powiedzieć... że był inny winny... czy też mówisz...? – plątał się, nie potrafił sklecić zdania.

Klara nie odpowiedziała.

– To był koszmarne sen, to wszystko – powtórzył po chwili Dagur, który widocznie już wyszedł z szoku. – Zrelaksujmy się trochę.

Zaproponował, żeby zejść na dół. We troje usiedli przy starym kuchennym stole. Alexandra siedziała naprzeciwko Klary i próbowała nie patrzeć jej w oczy, bo Klara miała dziwnie puste spojrzenie. Zamiast tego wyglądała przez okno. Podczas białej, letniej nocy sceneria na dworze wyglądała tajemniczo. Kolory były dziwnie intensywne, niebo jasne i błękitne. Morze było usiane wyspami, a w oddali widniał masyw Heimaklettur.

– Może nastawię herbatę? – zaproponował Dagur. – Chcecie? – I innym tonem dodał: – Gdzie, do cholery, podział się Benni?

Alexandra kiwnęła głową.

– Może być herbata. – Po tym jeżącym włosy na głowie wrzasku i opowieści o duchach i tak nie mogłaby znowu zasnąć. – Nie słyszeliście, jak wstawał?

– Nie słyszałem, jak wychodził. Wcześniej spał na górze. Zawsze taki sam, ten cholerny dureń. Znika w środku nocy! Dokąd poszedł, na litość boską? Na dworze nic nie ma.

Alexandra poczuła przelotny żal, że przerwano jej sen. Na farmie przyzwyczała się wstawać o świcie – dzieci były budzikiem, którego nie można było przespać – nie mogła się doczekać tego weekendu, żeby się powylegiwać. Ale nie mogła pójść na górę i zostawić Dagura z Klarą, szczególnie że Benni gdzieś zniknął. Zaczęła się trochę niepokoić. Gdzie on może być?

Siedziała więc cierpliwie i czekała, aż Dagur zaparzy herbatę. Wreszcie przyniósł trzy kubki dobrego, mocnego naparu.

Po kilku łykach Klara ożyła.

– Przepraszam. Nie wiem, co mnie naszło – powiedziała, w końcu przerywając ciszę.

– Nie trzeba przeproszać – odparł Dagur, wracając do swojego uprzejmego stylu. Jak zawsze spokojny i władczy, pomyślała Alexandra. – Wszystko jest w porządku, prawda? – dodał. – Jak za dawnych czasów. Siedzimy i pijemy w środku nocy, chociaż tym razem tylko herbatę.

– Cóż, chyba wrócę do łóżka – oznajmiła Klara po chwili niezręcznego milczenia. – Tak mi przykro, że was obudziłam.

– Poranek już blisko, chyba pójdę i rozejrzę się za Bennim – rzekł Dagur, nagle radosnym głosem, jakby chciał rozproszyć resztki koszmaru. – Prognoza pogody jest pomyślna. Powinien nastać wspaniały dzień. Może w porze obiadu spróbujemy urządzić grilla?

Klara wstała.

– Dobranoc wszystkim.

Zniknęła na górze.

Kiedy Klary już nie było, Alexandra zwróciła się do Dagura.

– Pójdę z tobą.

– Ze mną?

– Poszukać Benniego. W porządku?

– Oczywiście, że w porządku. Tak czy inaczej, powinniśmy zwiedzić wyspę. W pełni wykorzystać czas, który tu spędzimy.

16

DAGUR

Na dworze panował lekki chłód, ale to nie odciągało ich uwagi od piękna krajobrazu. Dagur zaczął iść, nie mając pojęcia, dokąd. Benni powiedział, że potrzeba trzech, czterech godzin, żeby obejść całą wyspę.

Alexandra zapytała, czy może z nim pójść i nagle, jakby ich przeniosło dziesięć lat wstecz. Kiedy byli nastolatkami zawsze snuła się wokół niego, ale on, chociaż była śliczną, łagodną dziewczyną, nie był zainteresowany. Później zniknęła, wyprowadziła się z rodziną, i na tym koniec. Ale czasami zastanawiał się, czy mogliby jednak być z sobą, gdyby nie okoliczności.

– W ogóle wiesz, dokąd idziemy? – zapytała cicho, niemal szeptem.

– Och, może tam, do klifów, gdzie Benni wczoraj nas zaprowadził. Jak myślisz? Powinniśmy tam pójść?

Wybrali drogę po owczych ścieżkach, patrząc pod nogi w gęstą trawę, tak jak robili wczoraj, ale teraz, przy świetle wczesnego poranka, szło im trudniej. Niebo rozpościerało się błękitem, ale w niskich promieniach słońca wiszącego tuż nad horyzontem trawa rzucała długie, niebieskie cienie.

Dagur myślał o Klarze. Powiedziała, że wraca do łóżka, ale wątpił, że przyśnie choćby na chwilę. Co, u diabła, z nią się stało? Ten mrozący krew w żyłach krzyk obudził go nagle i tak wystraszył, że odebrał mu oddech. Przez chwilę zamętu, nadal w objęciach marzeń sennych, myślał, że to krzyk zza grobu, krzyk siostry... Być może krzyk strachu, kiedy umierała. Później, kiedy już całkowicie się rozbudził i zwyciężył zdrowy rozsądek, Dagur zrozumiał, że to nie mogła być ona, a serce przestało mu łomotać.

Miał nadzieję, że ta sprawa z Klarą była jednorazowa i więcej się nie powtórzy. Nowe miejsca mogą człowieka rozkojarzyć i tyle, pomyślał.

Szli z Alexandrą długo i w milczeniu, pewnie dlatego, że byli pełni respektu dla tajemniczego piękna krajobrazu, niebieskich sylwetek wysp wyłaniających się ze

srebrzystego bezmiaru morza. Nie czuć było nawet powiewu wiatru. Cała okolica była jakby pod zaklęciem zapewniającym perfekcyjny spokój.

Paradoksalnie, pośrodku tej oszałamiającej scenerii, panoramicznych widoków na morze, czuł, że skrada się ku niemu klaustrofobia.

Szli przez kępki trawy w stronę klifów. Alexandra parę kroków przed nim.

– Co to jest? – zapytała i nagle stanęła, pokazując coś, czego Dagur nie był w stanie zobaczyć.

Hulda stała przy grobie. Cmentarz, migoczący w upale, w niczym nie przypominał cmentarzy, do których przywykła w domu, z posągami aniołów, egzotycznymi kwiatami i wielkimi drzewami obrośniętymi serpentynami mchu. Była przyzwyczajona do otwartości Islandii, nieco przytłaczały ją ciężkie okapy gałęzi.

Minęło dziesięć lat od śmierci Dimmy, a jednak Hulda nadal regularnie odwiedzała jej grób. Osiem lat minęło od zgonu Jóna. I oto teraz była tutaj, stała nad grobem ojca.

Tutaj leżał Robert, człowiek, którego w pewnym sensie szukała całe życie, a kiedy naprawdę przyszło do konkretów, całkowicie to schrzaniła. Owszem, znalazła go, ale za późno. Pięć lat za późno.

A może to jej matka umarła pięć lat za późno. Oczywiście, nie w porządku było tak na to patrzeć, ale gdyby Huldzie dano wybór, to wolałaby rok, miesiąc, nawet dzień z ojcem niż te pięć lat z matką. To byłaby okazja, żeby dowiedzieć się, jaki był, zobaczyć, jak się uśmiecha, jak mówi, jakie opowiada historie. W zamian też mu coś opowiedzieć. Powiedzieć mu o Dimmie. Przez te wszystkie lata, dziesięciolecia, ojciec był dla niej postacią z marzeń, mężczyzną, w którym zakochała się jej matka, przynajmniej na jedną noc. Człowiekiem, który można powiedzieć, miał swój udział w Huldzie. W jej zaletach i przywarach, w jej talentach i niedomaganiach.

I wreszcie był tutaj, leżał pod tym kamieniem. Przebyła całą drogę, żeby się z nim spotkać, i teraz nie wiedziała, co powiedzieć.

– Cześć tato – wyrzuciła wreszcie z siebie po islandzku. Ani przez chwilę nie myślała, że te słowa zostaną wysłuchane, ale czuła się zmuszona, żeby coś powiedzieć.

Ona i jej ojciec. Robert i Hulda Hermannsdóttir. Albo Hulda Róbertsdóttir. To lepiej brzmi. Faktycznie, jej patronim, Hermannsdóttir, po islandzku brzmiał dwuznacznie i znaczył albo córkę Hermanna, albo córkę nieznanego żołnierza. W tym drugim przypadku był ciągłym przypomnieniem, że nigdy nie miała ojca.

Ciągłym przypomnieniem straty – jeśli można stracić kogoś, kogo nigdy się nie spotkało.

– Cześć tato – znów spróbowała. – To ja, Hulda. Twoja córka. Nawet nie wiedziałeś, że istnieję, ale oto jestem. Parę lat za późno. Przykro mi z tego powodu. Bardzo przykro.

ALEXANDRA

Benedikt leżał nieruchomo, jak trup, na brązowej skalnej wychodni pod nawisem, niebezpiecznie blisko skraju przepaści.

Alexandra zamarła, Dagur stanął obok niej bez ruchu. Spojrzała na niego i oboje ostrożnie poszli w stronę Benniego. Instynkt podpowiadał jej, żeby nie wołać go, bo może się wystraszyć.

Im byli bliżej, tym bardziej Alexandra się niepokoiła. Znow dopadło ją złe przeczucie, że nie powinni w ogóle przyjeżdżać na tę wyspę. Były wszelkie powody, żeby uczcić pamięć przyjaciółki w dziesiątą rocznicę jej śmierci, ale lepiej żeby każde z nich zrobiło to z osobna, po swojemu. Tragiczne wydarzenie nadal było zbyt świeże, zostało zbyt wiele niedokończonych kwestii, chociaż sprawa została formalnie zamknięta. W sumie to niezwykle, że Dagur wykazywał do tej pory taką odporność. Gdyby kogoś miał przygnieść ciężar tych wspomnień, to właśnie jego, ale jakimś cudem nadal dobrze funkcjonował. Jednak Alexandra wyczuła jego niepokój, kiedy Klara zaczęła bredzić o duchach. Jej słowa wydawały się teraz absurdalne, gdy byli na dworze, przy łagodnej porannej pogodzie, a wydarzenia z nocy wydawały się tak odległe.

– Benni. – Dagur odezwał się cicho, ale stanowczo.

Benedikt nie poruszył się.

– Benni – powtórzył Dagur. – Co tutaj robisz?

Benedikt obudził się przestraszony i Alexandra przez sekundę bała się, że przetoczy się i spadnie z klifu.

– Nie śpicie? – zapytał zaskoczony. – Oboje?

Dagur powtórzył pytanie.

– Co tutaj robisz?

– Nie mogłem zasnąć, więc postanowiłem, że przyjdę tutaj, w moje ulubione miejsce na wyspie. Nie raz przychodziłem tutaj w nocy, ale teraz musiałem zasnąć,

nawet o tym nie wiedząc. Myślę, że to przez morskie powietrze. To takie niesamowite uczucie, uciec od wszystkiego. Jakby czas się zatrzymał. – Uśmiechnął się.

– Benni, właśnie zdarzyło się coś dziwnego – powiedział Dagur.

Alexandra trzymała się z tyłu, nie miała ochoty się wtrącać. Dagur lepiej znał Benniego.

– Obudziła nas Klara – mówił dalej Dagur. – Przyśnił się jej taki straszny koszmar, że krzyczała na cały dom. Wróciła do łóżka, ale Alexandra i ja byliśmy za bardzo rozbudzeni, żeby zasnąć.

Benni patrzył znacząco to na Dagura, to na Alexandrę. Gdy na nią spoglądał, domyśliła się, że się nie pomylił: nie była „bardzo rozbudzona”, potrzebna jej była wymówka, żeby pójść na spacer z Dagurem. I nie chciała zostać sama z Klarą po tym, co się stało.

Hulda siedziała w swoim gabinecie. Minęły dwa miesiące od podróży do Ameryki i życie wróciło do nudnej rutyny.

Obudziła się z bólem głowy. Kiedy zadzwonił budzik, ciało błagało ją, żeby jeszcze nie wstawać, żeby jeszcze trochę pospać. Była półprzytomna, gdy wygrzebała się z łóżka, i chociaż złe samopoczucie zmniejszyło się w ciągu dnia, to nie opuściło jej całkowicie. Zbliżała się piąta, Hulda nie mogła się doczekać, kiedy uporządkuje biurko i wyjdzie z pracy. Dodawała sobie godzin jeszcze przed śmiercią Dimmy, a potem prawie zagrzebywała się w pracy. W tym roku mijała dziesiątą rocznicę samobójstwa trzynastoletniej córki. Osiem lat, odkąd serce Jóna przestało bić. Od tamtej pory Hulda była samotna, pracowała cały dzień, a często do późnego wieczora. Cały wolny czas, o ile to było możliwe, spędzała w górach, w dzikim islandzkim interiorze. Robiła, co mogła, żeby zapomnieć.

Odkąd przegrała z Lýdurem walkę o awans, też minęło dziesięć lat. Chyba jednak nie było walki, chyba nigdy nie miała szans, mimo że uważała się za lepszego i bez wątpienia bardziej doświadczonego detektywa. W tamtych czasach w policji po prostu nie było obyczaju, żeby kobieta zostawała starszym stopniem inspektorem. Odkąd nastąpił „wielki przełom”, sukces Lýdura był gwarantowany. Lýdur stopniowo awansował, otrzymywał wszystkie promocje, o które wystąpił, a Hulda musiała walczyć o każdy krok na swojej drodze zawodowej. Lýdur stanął tak wysoko w łańcuchu pokarmowym, że przejął stanowisko po starym Snorrim, czyli został szefem Huldy. Tymczasem ją promowano tylko raz i miała do dyspozycji tylko dwóch ludzi. Chociaż nie osiągnęła jeszcze pięćdziesiątki, przeczuwała, że wyżej nie awansuje.

Najbardziej rozwścieczał ją fakt, że Lýdur był cholernie kompetentnym detektywem. Miał smykałkę do uzyskiwania wyników i wiedział, jak dąć we własną trąbkę. A jednak Hulda miała osobiste zastrzeżenia co do jego metod: był sprytnym i zbyt powierzchownym sztukmistrzem. Kiedy chodziło o osiągnięte wyniki, nie ufała mu.

Przez te lata coraz bardziej specjalizowała się w swojej pracy i teraz zajmowała się prawie wyłącznie brutalnymi przestępstwami. Do tej kategorii zaliczały się niewyjaśnione przypadki śmierci, chociaż były to sprawy względnie rzadkie na Islandii. Nie trzeba było jej mówić, że jest dobra w tym, co robi. Być może dlatego, że potrafiła wyrzucać z głowy wszystko inne i poświęcać się wyłącznie zawodowi. Rzeczywiście, żyła tylko dla pracy. Dom w Álftanes – piękny mimo mrocznego cienia, który się na nim położył – zniknął wraz z Jónem, sprzedany, żeby spłacić jego długi, o których Hulda nawet nie wiedziała. Teraz mieszkała w przyciasnym mieszkanku, w typowym rejkiawickim *bakhús*, budyneczku oddalonym od drogi, na podwórku, za innym domem.

Kolejny raz pracowała na weekendową zmianę. Była sobota i gdyby nie miała służby, wykorzystałaby okazję, żeby wymknąć się z miasta, wejść na jeden z wielu pagórków niedaleko stolicy, utrzymać się w formie. Często chodziła sama, ale od czasu do czasu dołączała do grupy turystów, chociaż niezbyt się starała, żeby utrzymać znajomości, które w ten sposób nawiązywała. Była singielką od ośmiu lat i przyzwyczała się do takiego stanu rzeczy do tego stopnia, że nie potrafiła wyobrazić sobie zbudowania nowego związku.

Zgodziła się wziąć dodatkową zmianę od piątku do niedzieli, bo dodatkowe pieniądze przydadzą się, a wydział kryminalny miał problemy ze znalezieniem personelu na obsadzenie letnich weekendów. Koledzy, głównie mężczyźni, o tej porze roku zajmowali się swoimi rodzinami, szczególnie, gdy była ładna pogoda. Lýður zapytał ją, czy mogłaby „pomóc” w ten weekend, bo brakuje personelu. Uczynna jak zawsze, powiedziała, że tak. Nie było jej przykro, mimo pięknej pogody i bólu głowy, z tego prostego powodu, że w swoim gabinecie, z nosem w stosie dokumentów, mogła na jakiś czas zapomnieć o sobie. Zapomnieć o Dimmie, zapomnieć o Jónie.

Wyglądało na to, że weekend będzie spokojny, co miało plusy i minusy. Z jednej strony znaczyło to, że będzie za mało pracy, żeby odciągnąć ją od ponurych myśli, które łapały ją w zasadzkę w spokojniejszych chwilach, ale z drugiej strony może tak było lepiej, bo nie czuła się za dobrze.

Jak dotąd rok był niezbyt udany. Obawiała się dziesiątej rocznicy samobójstwa Dimmy, a śmierć matki bardziej ją dotknęła, niż mogła się spodziewać. Rzecz niesłychana: wzięła nawet kilkudniowy urlop, żeby opłakiwać swoją całkowitą samotność.

ALEXANDRA

Zapadał wieczór i dla Alexandry wydarzenia z nocy były już odległym wspomnieniem. Wino na pewno miało coś z tym wspólnego. Do obiadu wypili butelkę czerwonego, raz po raz wznosząc ku niej kieliszki, a potem było tak, jakby przynajmniej na jakiś czas odkreślili przeszłość kreską. Jakby postanowili, nie roztrząsając tego tematu, dobrze się bawić do niedzieli, skoncentrować się na tym co tu i teraz, wyrzucić z umysłów wszelkie myśli o przeszłości i dziwacznych, nocnych strachach Klary. Tak, atmosfera zrobiła się zdecydowanie weselsza.

Alexandra siedziała naprzeciwko Klary przy stole w kuchni, właśnie wychyliła kieliszek.

Chłopcy byli na dworze, zajmowali się grillem. „Chłopcy”. Oczywiście, już nie byli nastolatkami, ale myślała, że dla niej na zawsze takimi zostaną. Niektóre rzeczy się nie zmieniają. Obiecali, że upichcą cztery steki, ale nie spieszyli się z tym. Na pewno mieli o czym porozmawiać, tak jak ona z Klarą.

– Wiesz, myślę, że ta wycieczka to był mimo wszystko dobry pomysł – powiedziała Klara.

– Tak, świetnie, że tu przyjechaliśmy i znowu spotkaliśmy się z chłopakami.

– Nie... Właściwie to nie o to mi chodziło – odparła Klara zmatowiałym nagle tonem. – Myślę, że czas powiedzieć to wprost.

– Co ty mówisz? Co powiedzieć wprost?

– Zbyt wielu rzeczy nie dopowiedziano, Alexandro. Zbyt wiele spraw trzymano w tajemnicy przez wszystkie te lata. Sądzę...

Alexandra zdała sobie sprawę, że Klara się upiła. Mówiła bełkotliwie i miała problem z koncentracją. Ale przecież Klara nigdy nie potrafiła pić.

– Myślę, że nadszedł czas, żeby prawda wyszła na jaw – zakończyła Klara.

BENEDIKT

Co u twojej mamy? – zapytał Benedikt. Stał przy grillu i czekał, aż węgiel się rozpali. Na kolację trzeba było trochę poczekać, ale im się nie spieszyło. Mieli dla siebie całą wyspę i nigdzie się nie wybierali. Następnego dnia chcieli rano poleniuchować, potem nadać przez radiostację wiadomość do wuja Benniego, żeby zabrał ich łodzią z powrotem do Heimaey, gdzie złapią prom na stały ląd.

Benedikt wiedział, w jakim stanie jest matka Dagura, chociaż rzadko o tym rozmawiali. Traumatyczne wydarzenia sprzed dziesięciu lat uderzyły w nią mocniej niż w kogokolwiek. Dagur ugiął się, a nie złamał, jego matka natomiast nie dała sobie rady z wszystkimi wstrząsami i wynikającym z nich stresem oraz niepewnością. Już od paru lat była w domu opieki, a Dagur zwierzył się Benniemu, że po prostu poddała się. Wyznał, jak na spowiedzi, że lekarze nie znaleźli żadnego uszczerbku na jej zdrowiu fizycznym: po prostu pokazała życiu plecy i wycofała się do swojej skorupy.

– Mama... – Dagur przerwał, żeby pomyśleć. Siedział na pomoście, oparty o ścianę domku. – Naprawdę niewiele się zmieniła. W dobre dni umysł ma chłonny, ale zazwyczaj odlatuje od rzeczywistości. Nie potrafię zrozumieć, co z nią jest nie tak, ale właśnie tak z nią jest. Trzeba to po prostu zaakceptować. A co u twoich rodziców? Jak się miewają?

– Och, despotyczni i trudno ich zadowolić, jak zawsze. Myślałem, że zrobiłem to, co chcieli, idąc na studia politechniczne, zamiast do akademii sztuk pięknych, ale teraz zrzędzą, że powinienem zająć się bankowością, jak ty. I żebym przestał wygłupiać się z tymi komputerami. – Roześmiał się z irytacją.

– Benni, jestem pewien, że w banku dobrze by ci poszło. Jesteś znacznie ode mnie mądrzejszy. Ale szczerze mówiąc, zazdroszczę ci twojej spółki. To jest przyszłość, prawda? Wszyscy przewidują, że informatyka będzie coraz ważniejsza. Skończysz na robieniu grubych pieniędzy.

Benedikt wzruszył ramionami. To była prawda, ale wcale mu się to nie podobało. Miał wrażenie, że utknął w niewłaściwej pracy i nie miał stamtąd wyjścia, bo nie mógł zawieść swoich współpracowników. Gdyby miał choć minimalną szansę, zrezygnowałby już jutro i poszedł do akademii sztuk pięknych. Ale wiedział, że nigdy nie zdobędzie się na odwagę, żeby to zrobić.

– Hm, myślę, że te już są wysmażone – powiedział i unikając wzroku Dagura, skupił się na stekach skwierczących na grillu.

Po krótkiej przerwie Dagur oznajmił półszepem:

– Przeprowadzam się. Wkrótce.

Benedikt był zaskoczony. Nigdy nie wyobrażał sobie Dagura gdzie indziej, jak w starym, dwupoziomowym domu w Kópavogur. Dagur tam dorastał, to był jego dom rodzinny – chociaż niewiele mu tej rodziny zostało. Praktycznie, Dagur był teraz sam na świecie. Dom musiał być dla niego znacznie za duży i nawiedzały go pewnie złe wspomnienia.

– Tak, myślę, że czas na to. A ty co o tym sądzisz?

Benedikt nie był przyzwyczajony do takiej szczerości ze strony Dagura. Chciał zapytać, jak zareagowała jego matka, ale pomyślał, że lepiej nie wkraczać na to terytorium.

– Cholera, najwyższy czas – powiedział natomiast, wkładając w to całe serce. – Powinieneś znaleźć sobie mniejsze mieszkanie, w pobliżu śródmieścia. Trochę pożyć. Masz zamiar sprzedać i kupić nowe? Czy wynająć?

Dagur zastanawiał się.

– Z początku chciałem znaleźć lokatora do domu, a dla siebie mieszkanie w mieście. Dom należy tylko do mamy i do mnie, więc powinien zrównoważyć...

– Przerwał, przechylił głowę i spojrzał na bezchmurny firmament. – Ale zmieniłem zdanie. Sprzedam. To będzie proste zerwanie z przeszłością, z wszystkimi wspomnieniami związanymi z domem. One są... jest ich po prostu za dużo. – Benedikt przez chwilę bał się, że przyjaciel się załamał, mówił takim dziwnym głosem, jakby zaraz miał stracić mowę.

– Brawo – rzekł pospiesznie, żeby przykryć kłopotliwą chwilę. – W końcu to był ich dom – twojej mamy i twojego taty. Musisz znaleźć dla siebie coś nowego, własną niszę w życiu. Oglądałeś już jakieś mieszkania?

– Jasne. Parę mieszkańek w zachodniej części miasta. To atrakcyjna okolica i rzecz jasna dogodna dla banku. To by znaczyło, że do pracy będę szedł spacerem.

– Uważaj, nie bierz czegoś za małego – ostrzegł Benedikt z błyskiem w oku.

– Za małego?
– Upewnij się, żeby było miejsce dla twojej dziewczyny.
– Nie mam dziewczyny.
– Jeszcze nie. Ale wkrótce będziesz miał, kiedy przestaniesz się obijać po tym ponurym domu na Kópavogur. To absurd, żeby dwudziestodziewięcioletek mieszkał w czymś takim!

Dagur roześmiał się.

– A to pech, że Alexandra jest zajęta – zauważył Benedict szelmowsko.
– Co to ma niby znaczyć?
– Och, daj spokój. Kiedyś zawsze się w tobie kochała. Przecież musiałeś to zauważyć? Obudź się, człowieku.
– Co?... Okej, może. Ale jest już za późno.
– Och, bo ja wiem... Macie jeszcze tę noc. Obiecuję, że nie będę was krępował. Albo możecie wysliznąć się razem na dwór...

Dagur wyprostował się nagłym ruchem.

– Na litość boską... Nie pieprzę mężatek. – Głos mu się trząsł, jakby wytrąciło go to z równowagi. – A może po prostu chcesz się nas pozbyć, żeby z Klarą... wiesz, zacząć tam, gdzie skończyliście, co? Po dziesięciu latach.

Po tych słowach wpadł z powrotem do domu i zostawił Benedikta przy grillu, na pastwę niepokojących wspomnień.

ALEXANDRA

Było po pierwszej nad ranem, kiedy party, jeśli można było je tak nazwać, skończyło się. Siedzieli na dole, w domku. Tym razem rozmawiali o przyszłości. Smutek, który wcześniej na nich opadł, stopniowo ulotnił się, chociaż między Benediktem a Dagurem nadal było trochę napięcia, mimo że starali się to ukryć. Wszyscy próbowali dobrze się bawić, tak jak kiedyś bywało, ale oczywiście nie bardzo to wychodziło, bo brakowało jednej osoby z ich paczki.

Mimo wszystko Alexandra uważała, że na krótko, na jeden wieczór, udało im się uchwycić nastrój z dawnych dni. Aż dotąd ich wzajemne stosunki przykrywał namacalny cień tego, czego sobie nie powiedzieli, spraw, których nie zakończyli.

Oczywiście, alkohol odegrał swoją rolę. Alexandra już parę godzin wcześniej poczuła się przyjemnie oszołomiona. Miło jej było siedzieć razem ze starymi przyjaciółmi, tak daleko od swojego normalnego życia, pić i nie przejmować się całym światem.

– Idę na górę – oświadczył w końcu Dagur. Słysząc było, że jest zmęczony, chociaż był całkowicie trzeźwy. – Fajnie było, kochani.

– Święta prawda – rzekła Klara.

– To jak wam się podoba Elliðaey? – zapytał Benedikt, kładąc się na kanapie. – Jakby inny świat, prawda? Nikogo się nie widzi, nikogo się nie zna. Wszystko może się zdarzyć. Tylko my i przyroda. My i morze. Nie możemy stąd odjechać, nawet gdybyśmy chcieli. W każdym razie odejść natychmiast. Wezwanie łodzi zajmie godziny... Dziś wieczór, w nocy należymy do wyspy. – Przerwał i dodał niezbyt zrozumiale: – To, co się tu stanie, pozostanie tutaj...

Zerknął na Alexandrę, a ona, natychmiast łapiąc, do czego Benedikt robi aluzję, oblała się szkarłatem i odwróciła od niego wzrok. Patrzyła wszędzie, byle nie na Dagura.

– Nikt niczego nie wie – powiedziała w zamyśleniu Klara. – W tym problem.

Dagur zatrzymał się na schodach drabinie, jakby czekał, co Klara powie dalej, ale po tych słowach nastąpiła całkowita cisza. Alexandra aż się wzdrygnęła, bo poczuła, że znów zbiera się nad nimi cień.

Wstała z nadzieją, że już zniknęły jej rumieńce.

– Było przyjemnie, ale też jestem wykończona.

To była prawda. Była zmęczona, ale bardziej niż czegokolwiek pragnęła nocy z Dagurem. Nie śmiała zrobić pierwszego ruchu, ale postanowiła nie zasypiać od razu, tylko położyć się, żeby sprawdzić, co się stanie.

– Jeszcze nie mogę pójść do łóżka – oznajmiła Klara, raczej do siebie niż do innych. – To byłaby strata tak pięknego wieczoru... chciałam powiedzieć nocy. Nadal zupełnie nie chce mi się spać. Nawet nie skończyliśmy pić.

– Posiedzę trochę z tobą – rzekł Benedikt, chociaż po nim najbardziej było widać, że powinien się przespać. – Tylko na parę minut... – Przerwał, żeby ziewnąć. – Potem, Klaro droga, masz wyspę tylko dla siebie.

Alexandra obudziła się, gwałtownie łapiąc oddech. Z początku pomyślała, że ze snu wyrwały ją znowu mrozące krew w żyłach krzyki Klary, potem zdała sobie sprawę, że tym razem musiał to być koszmar senny.

Nie miała pojęcia, która jest godzina ani jak długo spała. Te białe noce były tak dezorientujące. Ale kiedy spojrzała na zegarek, stwierdziła, ku swemu zaskoczeniu, że jest już rano. Wpół do dziewiątej. Usiadła, przeciągnęła się i rozejrzała.

Klary nigdzie nie było widać. Przecież nie mogła nadal być na dole. Nie skończyła pić?

Alexandra wstała, nie mogła już dłużej spać, mimo że w planach miała wylegiwanie się. Bardzo potrzebowała kofeiny.

Kiedy zaczęła schodzić z drabiny, usłyszała, jak ktoś chodzi po wewnętrznym pokoju, w którym spali chłopcy. Na podeście pojawił się Dagur.

– Która godzina?

– Wpół do dziewiątej.

– Cholera, mogłem sobie jeszcze pospać – powiedział zmęczonym głosem.

– Nie wiesz, gdzie jest Klara? – zapytała Alexandra.

– Klara? Nie ma jej u ciebie?

W tym momencie usłyszeli pełne protestu jęknięcie Benniego.

– Przestańcie hałasować, próbuję spać.

– Nie, na górze jej nie ma – odparła Alexandra, nie zwracając uwagi na

Benedikta. Spojrzała w dół, do salonu, i zawołała. – Klaro? – Odpowiedzi nie było.
– Chyba nie ma jej w domu – oceniła Alexandra. – Ale przecież nie mogła spać na dworze, prawda?

W tym momencie pojawił się Benedikt.

– Cholera jasna, teraz mnie też obudziliście. Chyba nie zgubiliśmy Klary?

23

Hulda trochę liczyła na to, że w niedzielny poranek na jej biurko trafi jakieś ciekawe zadanie. Banalne, małe sprawy zdarzające się codziennie zupełnie jej nie odpowiadały. Ale chyba miała szczęście, ledwie zaczęła zmianę, zadzwonił telefon z Westman Islands.

– Inspektor Hulda Hermannsdóttir.

– Halo... Możemy potrzebować wsparcia z wydziału kryminalnego do sprawy śmiertelnego wypadku.

– Nie macie detektywów tam u was?

– Nasz funkcjonariusz dyżurny jest teraz nieosiągalny. Przebywa na chorobowym. Powiedziano mi, że mam spróbować sprowadzić kogoś ze stałego lądu.

– Śmiertelny wypadek? Mówimy o przestępstwie? – zapytała Hulda i pomyślała o Westman Islands, gdzie kilka lat temu była na pieszej wycieczce obejmującej także wejście w jeden dzień na wszystkie szczyty głównej wyspy, Heimaey. Zrezygnowała z ostatniego, bo po wejściu na Heimaklettur, stromą skałę wyrastającą prawie na trzysta metrów nad portem, zupełnie opuściły ją siły. Mimo tej porażki wspomnienia z wycieczki były szczęśliwe – a szczęśliwe wspomnienia zawsze są mile widziane – bo dzień był słoneczny, ciepły i bezwietrzny, a ona znajdowała się w dobrym towarzystwie, w małej grupce pieszych turystów z różnych stron. Jeden z mężczyzn, mniej więcej w wieku Huldy, uczeplił się jej i próbował rozpocząć rozmowę, najwyraźniej chętny do zawarcia bliższej znajomości, ale Hulda nie dała mu szansy. Nie była gotowa na tego rodzaju sprawy.

– Hm... Nie wiem, ale mam złe przeczucia. Jacyś młodzi ludzie na weekendowej wyprawie. Domyślam się, że był z tym związany alkohol. Ma pani kogoś pod ręką, żeby tu dzisiaj przyjechał?

Hulda chwilę o tym myślała. Mogła posłać kogoś z zespołu, nie było powodu, żeby sama jechała. Ale przecież nie miała nic do roboty i dzisiaj czuła się lepiej niż

wczoraj. Może się okazać, że ta wyprawa to strata czasu, ale wszystko byłoby lepsze niż kolejny ogłupiający dzień w biurze.

– Oczywiście – powiedziała. Już podjęła decyzję. – Ja przyjadę.

Po drugiej stronie zaległa cisza. Potem policjant z Westman Islands powiedział z szacunkiem.

– Chce pani przyjechać osobiście? Naprawdę nie ma potrzeby... przy takim stanie sprawy. Wystarczy nam, jeżeli jeden z pani ludzi popłynie tam z nami i rozejrzy się w sytuacji.

Huldzie miło się zrobiło na to pochlebstwo. Chociaż miała dwóch policjantów na swoje rozkazy, to jej tytuł inspektora wyglądał na wspanialszy, niż był w istocie. Tu, w biurze w Reykjavíku, nikt nie zwracałby się do niej z takim szacunkiem.

– Jednak przyjadę osobiście. Chętnie wyrwę się z biura. – Z opóźnieniem przypomniała sobie, że policjant użył słów „popłynie tam z nami”. Zapytała: – Dokąd mielibyśmy płynąć? Nie mogę po prostu wskoczyć do samolotu na Heimaey?

– Przykro mi, ale nie... to znaczy tak, chciałem powiedzieć, że może pani polecieć na Heimaey, ale potem trzeba będzie wziąć łódź na Elliðaey.

Elliðaey? Nazwa przywołała obrazy urwistej, zielonej wyspy z samotnym domem, który bez wątplenia widziała w jakiejś gazecie, telewizyjnym filmie dokumentalnym albo broszurze turystycznej. Sama na pewno tam nie była.

– Tak, to jedna z największych wysp archipelagu, na północny wschód od Heimaey. Stała się sławna w związku z tym domem.

– I musimy popłynąć tam łodzią? Czy to nie jest aby zawracanie głowy? Nie możemy polecieć helikopterem?

– Cóż, nie ma lądowiska. Są za to miejsca, w których można podpłynąć łodzią do brzegu. Wyspa nie jest taka niedostępna, ale pewnie nie każdy tam się dostanie... W każdym razie nie ci, którzy mają lęk wysokości.

Hulda zaczęła podejrzewać, że reakcja dzwoniącego nie wynikała z szacunku do niej, jako starszego stopniem policjanta z Reykjavíku, ale z prostej niechęci zabierania kobiety na wyspę.

– To nie będzie problem – rzuciła zwięźle.

24

Im bardziej droga się dłużyła, tym bardziej Hulda się irytowała. Jeśli na wyspie stało się coś podejrzanego, tym więcej czasu sprawcy będą mieli na zniszczenie dowodów.

Według informacji, które otrzymała, grupa składała się z ludzi pod trzydziestkę, albo trochę powyżej trzydziestki, a jeden z nich, Benedikt, miał jakieś powiązania z wyspą.

Policję – Huldzie towarzyszyło dwóch miejscowych funkcjonariuszy z Westman Islands i technik kryminalistyk – na Elliðaey przeprowił promem mężczyzna o imieniu Sigurdur, który w piątek zawiózł tam grupę przyjaciół. W drodze niewiele mówił, ale było jasne, że informacja zrobiła na nim duże wrażenie. Hulda usłyszała tylko, jak mówił, raczej do siebie niż do innych.

– Cholerne dzieciaki. Ostrzegałem, żeby były ostrożne. Tutaj trzeba uważać.

Irytująco powoli płynęli po łagodnych falach. Mała łódka wydawała się jeszcze mniejsza na tle klifów Heimaey, a potem Bjarnarey. Hulda zastanawiała się nad niespodziewanym obrotem spraw w nudną z rana niedzielę. Coraz mniej prawdopodobne było, że wieczorem wróci do domu. W takie dni często przypominała sobie czasy, kiedy dzwoniła do domu, żeby powiedzieć Dimmie albo Jónowi, że nie wróci na kolację albo na noc, bo musi pracować do późna. Nawet teraz, po tylu latach, dokuczało jej uczucie, że powinna do kogoś zadzwonić.

Przed nimi pojawiła się Elliðaey. Wyglądała tak, jak na zdjęciach, które Hulda oglądała. Samotny, biały punkt lśniący pośród zielonych pastwisk stopniowo stawał się domem. Za nim, trawiaste zbocze wznosiło się jak grzbiet fali. Podpłynęli bliżej, i zobaczyli, że czarne urwiska z białymi plamami ptasich odchodów, nie dają gościom żadnego dostępu od morza.

„Nie dla tych, którzy mają lęk wysokości”, powiedział policjant przez telefon, a Hulda przyznała mu rację, kiedy gramoliła się po głazach na brzegu, a potem mozolnie wspinała po trawiastej ścieżce przy urwisku.

Dla tak doświadczonego wspinacza, jak ona, wejście nie było rzecz jasna

problemem. Dopiero widok ze szczytu odebrał jej na chwilę mowę – wulkaniczne szczyty wysp wystające z ogromnego, płaskiego przestworu morza, lodowiec Eyjafjallajökull unoszący się bielą nad linią ciemnych zboczy lądu stałego. Ale nie było czasu, żeby zostać i podziwiać widoki. Najważniejsza była szybkość. Poszła za kolegami przez wysoką, suchą trawę. Cisza dominowała, ogarniała wszystko. Potem pokazał się budynek, właściwie dwa budynki, większy i mniejszy, stojące w pewnej odległości od siebie. Poszli do tego większego. Okazało się, że jest całkiem okazały. Kiedy Hulda podeszła bliżej, uderzyła ją fala czegoś, co przypominało samotność. O ile była w stanie zrozumieć, dlaczego ludzi kusił pomysł spędzenia weekendu na wyspie, o tyle wątpiła, czy sama dałaby radę to zrobić – dopadłaby ją ta izolacja. Była z tych, którzy lubią spędzać czas na dworze, i uwielbiała góry, ale to miejsce było zbyt odcięte od świata, chociaż w linii prostej niedaleko było stąd do Heimaey.

Starszy wiekiem i stopniem miejscowy policjant zatrzymał się i zwrócił się do niej.

– Huldo, chcesz z nimi rozmawiać? Jeśli chcą coś ukryć, detektyw z reykiawickiego wydziału kryminalnego pewnie bardziej ich spieszy.

Hulda kiwnęła głową, trochę zbita z tropu tym pytaniem. Spodziewała się, że lokalna policja będzie chciała poprowadzić przesłuchanie, a przynajmniej je zacząć.

Domek myśliwski był otoczony płotem. Jak wyjaśnił policjant, płot miał trzymać z dala owce. Dla Huldy to była nowość, że tu są owce, bo nie spotkali ich podczas drogi przez wyspę, ale policjant zapewnił ją, że są.

– I tyle ptaków, że nie da się ich policzyć. Zdaje się, że są główną atrakcją dla gości. Słyszałem, że kiedyś byli tu ornitolodzy i znakowali jaskółki.

Hulda nie odpowiedziała, za bardzo zajęta była koncentrowaniem się przed zapukaniem do drzwi. Jeszcze przez parę sekund chciała posmakować ciszy, unikatowego poczucia odosobnienia, zanim zajmie się posępnym zadaniem ustalania, co tutaj się stało.

Wreszcie cicho zapukała i nie czekając na odpowiedź, otworzyła drzwi.

W środku dwóch młodych ludzi przy kuchennym stole garbiło się nad kubkami z kawą. Żaden z nich nie wstał, żeby przywitać się z policjantką.

– Cześć – przywitała się cicho Hulda. Zakładała, że to, co się wydarzyło to wypadek, a jeśli nie, to samobójstwo. Niechętnie dopuszczała do świadomości, że mogło to być morderstwo, chociaż niczego nie można było wykluczyć. W takiej

sytuacji jej pierwszą reakcją zawsze była uprzejmość wobec zamieszanych w sprawę ludzi.

Po krótkim milczeniu jeden z mężczyzn wstał. Był wysoki i bardzo chudy, ale dobrze zbudowany, nosił krótko, po sportowemu przycięte włosy, co na Hulde działało odpychająco. Sądziła, że taka jest dzisiejsza moda, ale jeśli tak, to niewysoko ją ceniła. Kiedy sama była w ich wieku, mężczyźni nosili długie włosy, często także długie brody, i takich lubiła.

Podeszła z wyciągniętą ręką.

– Cześć, jestem Hulda z wydziału kryminalnego – powiedziała spokojnie, nie dramatyzując. – Zawiadomiono nas, że jedno z waszej grupy zginęło.

Młody człowiek pokiwał milcząco głową, może próbował zebrać się do kupy.

– Cześć – wykrakał wreszcie, ściskając jej dłoń, potem odchrząknął i dodał: – Cześć, jestem Dagur, Dagur Veturlidason.

– Dagurze, mógłbyś w skrócie powiedzieć mi, co się stało?

– Cóż... rzecz w tym... że ona po prostu spadła z urwiska po drugiej stronie wyspy... Nie wiem, jak do tego doszło, czy skoczyła, czy spadła, czy...

– Kiedy to było?

– Chyba tej nocy. To znaczy, chciałem powiedzieć, że wtedy to musiało się zdarzyć. Wczoraj wieczorem żyła, ale potem... musiała spać. Nie można do niej zejść, ale widzieliśmy ciało na dole... To straszne, ona po prostu leży i nie rusza się. Niemożliwe, żeby przeżyła taki upadek. – Dagur wskazał kolegę, który siedział przy stole, jakby myślami był gdzie indziej. – Benni pobiegł do domu, żeby przekazać wiadomość przez radiostację swojemu wujowi na Heimaey, tylko tak można komunikować się stąd ze światem.

Hulda kiwnęła głową. Dagur mówił pospiesznie, jedno słowo padało tuż za drugim. Jego rozpacz była oczywista.

Zwróciła się do młodego człowieka, którego tamten nazwał Benni.

– Ty jesteś Benedikt?

Pokiwał głową i też wstał.

– Tak. – Obaj byli wysocy i przystojni, ale ten miał znacznie dłuższą fryzurę. Oczy patrzące spod sprężystej grzywy były twarde.

– Benedikt, czy możesz potwierdzić słowa swojego przyjaciela? – Hulda zapytała powolnym, miarowym głosem.

Znów kiwnął głową.

– Będziemy chcieli, żebyście pokazali nam drogę – powiedziała Hulda. Jej

koledzy z miejscowej policji nadal trzymali się na odległość. – Mówiono mi, że było was czworo?

– Zgadza się – potwierdził Benedikt, który robił wrażenie bardziej opanowanego niż Dagur, jakby był lepiej przygotowany, żeby dać sobie radę z kryzysem. – Ona jest na górze, tam jest stryżek sypialny. Ona... nie dawała sobie rady i położyła się. – Dodał po cichu: – Załamała się psychicznie.

– Później z nią porozmawiamy. Obawiam się, że nie da się tego uniknąć – zadecydowała Hulda. Zaczynała się niepokoić. Może intuicja podpowiadała jej, że coś jest nie tak, że zdarzyło się coś bardzo złego. Ale może to odległe od świata miejsce wywierało na nią taki wpływ.

– Ona nazywa się?

– Alexandra.

– Alexandra – powtórzyła Hulda. – A zmarła miała na imię Klara. Zgadza się?

Zanim się odezwali, zapanowała cisza, jakby odpowiadając na pytanie, przyjaciele po raz pierwszy dopuścili do siebie myśl, że jedno z nich naprawdę nie żyje.

– Tak – rzucił wreszcie szeptem Benedikt. – Nazywa się... nazywała się Klara. Klara Jónsdóttir.

– Proszę mi pokazać, gdzie ją znaleźliście.

25

To się nazywa Háubæli – powiedział Benedikt, pokazując Huldzie wydrążone przez erozję miejsce na szczycie klifu, z którego prawdopodobnie kobieta spadła. Hulda zadrżała, poczuła, jak kolana robią się jej miękkie na samą myśl o tym. Półka nadawała się dla ptaków, nie dla ludzi, przepaść była tak głęboka, że nie widać było dna. Stała na czworakach na szorstkiej, zwietrzałej skale i wstrzymując oddech, przysunęła się do skraju. Spojrzała i zobaczyła daleko w dole blady kształt ciała dziewczyny na tle ciemnych skał. W głowie się jej zakręciło, wycofała się na bezpieczny nawis i znów wstała. Dwaj miejscowi policjanci zastanawiali się, jak wyciągnąć zwłoki na górę. Woląla zostawić im praktyczną stronę tej sprawy i skupić się na ustaleniu, dlaczego dziewczyna spadła.

– Czy był jakiś powód, dla którego Klara tutaj przyszła? – zapytała.

– Ja... – Benedikt zawahał się, ale wreszcie powiedział: – Już pierwszego dnia pokazałem im to miejsce. To moje ulubione.

– Czy wszyscy troje przyszli tutaj z tobą?

Pokiwał głową.

– Tak, a potem ja tu wróciłem, sam, w nocy... w piątkową noc. Chciałem być przez jakiś czas sam i zasnąłem. Znaleźli mnie, Dagur i Alexandra. To znaczy, znaleźli mnie rano.

– Więc każde z was wiedziałyby, jak znaleźć to miejsce?

– Tak.

Hulda miała żarliwą nadzieję, że żadne z tych dzieci nie okaże się wpłątane w śmierć dziewczyny. Oczywiście, osobiste uczucia nie mogą przesłaniać oceny, ale przynajmniej na pierwszy rzut oka, spodobali się jej ci dwaj młodzi ludzie. Nie mogła się powstrzymać przed myślą, że Dimma ukończyłaby w tym roku dwadzieścia trzy lata, czyli byłaby znacznie od tych dwóch młodsza, ale jednak. W przeciwieństwie do nich w chwili samobójczej śmierci nie należała do żadnej paczki. I dlatego zginęła, bo odizolowała się od przyjaciół i kolegów z klasy. Miała zaledwie trzynaście lat. Dlaczego Hulda, do diabła, nie zrozumiała tego wcześniej

i chociaż widziała mnożące się znaki, nie interweniowała?

Boże, dlaczego wszystko musi kojarzyć się jej z Dimmą? Powinna się z tego otrząsnąć, przegnać te myśli na tył głowy, chociaż przecież daleko nie odejdą. Mściwie wrócą w chwili, gdy jeszcze tego wieczoru dotknie głową poduszki.

Przynajmniej tę sprawę będzie można szybko zakończyć. Wiele wskazywało, że biedna dziewczyna straciła oparcie i spadła – innymi słowy, wypadek. Bez wątplenia trochę winien był alkohol.

– Piliście? – zapytała głośno Hulda, kiwając na Benedikta, żeby towarzyszył jej w drodze powrotnej do domu.

Zawahał się, jakby podejrzewał, że Hulda chce zastawić na niego pułapkę, i po chwili odpowiedział:

– Tak, nie ma sensu zaprzeczać, ale nikt się za bardzo nie upił. Wiemy, jak się bawić i nie zeszmacić się.

– A Klara? Wieczorem była pijana?

– Tak. To znaczy, trochę wypiała... ale nie rozumiem, jak do tego mogło dojść. W końcu o tej porze roku w nocy nie jest ciemno. Nie poszła do łóżka równo z nami, chciała trochę dłużej zostać. Potem... potem ona... domyślam się, że musiała wyjść na spacer, żeby nacieszyć się spokojem i ciszą. To niezwykle uczucie, kiedy jest się na dworze w białą noc. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że musiała podejść za blisko krawędzi, źle ocenić odległość i stracić równowagę, bo wypiała... To jedyne wytłumaczenie. – Ciszej dodał: – To jedyne możliwe wytłumaczenie. – Jakby chciał przekonać sam siebie. Albo Huldę.

Kiedy wrócili do letniego domu, pojawiła się Alexandra, dziewczyna, która spała na górze. Stała w kącie z opuszczoną głową i nawet nie podniosła wzroku, kiedy weszli. Hulda zauważyła, że dziewczyna jest drobna, szczupła i ma kruczoczarne włosy.

– Rozumiem, że chcecie jak najszybciej stąd wyjechać – powiedziała Hulda, kierując te słowa do ich trojga – i zaręczam, że to samo stosuje się do mnie. Doszło do tragicznego wypadku, ale kiedy dzieje się coś takiego, musimy zebrać wszystkie prowadzące do niego tropy, a to wymaga współpracy. Nie przyszłam, żeby kogokolwiek obwiniać – mówiła niezbyt uczciwie. – Jak do tej pory wszystko wskazuje, że wasza przyjaciółka, Klara, pośliznęła się, spadła i zginęła. Straszny wypadek. Ale obawiam się, że w przypadkach gwałtownej śmierci zawsze musi być śledztwo. Mam nadzieję, że rozumiecie?

Przyjrzała się ich twarzom.

Benedikt siedział na tym samym krześle co wcześniej. Dagur wyglądał, jakby przez cały czas w ogóle się nie ruszał. Obaj spojrzeli jej w oczy i bez słowa pokiwali głowami. Alexandra w ogóle nie zareagowała.

– Przede wszystkim, dlaczego tu przyjechaliście? – zapytała Hulda.

Po dłuższej przerwie odpowiedział Benedikt.

– Mój wujek jest członkiem stowarzyszenia myśliwych polujących na ptaki, które jest właścicielem tego letniego domu. Zamówił go dla nas. To miała być tylko wycieczka na weekend. Byliśmy – kiedyś, jako nastolatki – przyjaciółmi. Mieszkaliśmy wtedy w Kópavogur.

– Miejmy nadzieję, że nadal nimi jesteście – odparła Hulda, dokładnie przyglądając się ich reakcjom.

– Co... co chciała pani przez to powiedzieć? – Benedikt był zaskoczony. – Och, rzeczywiście, jasne, no przecież. Nadal jesteśmy przyjaciółmi. Chodzi tylko o to, że ludzie wybierają różne drogi. Od dawna się nie spotykaliśmy, to znaczy my wszyscy, jak tu jesteśmy.

– Więc dlaczego teraz się spotkaliście?

Znów zapadła niezręczna cisza. Benedikt spojrział na Dagura, najwyraźniej czekał, aż on odpowie, potem przeniósł wzrok na Alexandrę, ale ona nawet się nie ruszyła.

W końcu odpowiedział Dagur.

– Cóż... a dlaczego nie?

Hulda podejrzewała, że były jakieś szczególne powody do spotkania po latach, ale być może zbyt wiele się w tym doszukiwała. Ci młodzi ludzie właśnie przeżyli szok. Trudno było od razu spodziewać się po nich spójnych odpowiedzi na jej pytania. Ale będzie musiała przesłuchać każde z nich z osobna, zanim opuszczą wyspę. Jeśli istotnie mają coś do ukrycia, to będzie najlepsza okazja, żeby ich na tym przyłapać.

26

W praktyce przyjmowanie zeznań od każdego z nich z osobna, okazało się trudne, bo letni dom był za mały i nie było tam pomieszczenia, które mogłoby posłużyć jako oddzielny pokój przesłuchań. Jedynym rozwiązaniem było wyjście na dwór, toteż Hulda zaprosiła Benedikta na spacer. Uznała, że najlepiej będzie, jeśli porozmawia z nim pierwszym. Nie tylko lepiej znał wyspę niż pozostała dwójka, ale też lepiej potrafił panować nad uczuciami.

– Benedikt, chciałabym, żebyś pokrótce opisał, co stało się wczoraj wieczorem – zaczęła. Stali przy starszej chacie, na dyskretnej odległości od głównego domu. Kiedy mówiła, tuż nad jej głową przeleciał maskonur, gorączkowo machając skrzydłami. Nie była do tego przyzwyczajona podczas przesłuchiwania podejrzanych. Sceneria tak różniła się od sterylnych pokoi przesłuchań w komisariacie, jak tylko można było sobie wyobrazić. Tam od ścian odbijał się echem tylko strach i smutek, a tutaj, mimo ponurych okoliczności, które przywiodły Hulde na wyspę, otoczenie było świętem życia.

– Nie ma o czym opowiadać. Całkiem zwyczajny wieczór... aż do... oczywiście... aż do dzisiejszego ranka. Urządziliśmy grilla, potem usiedliśmy z piwem i butelką, dwiema butelkami wina. Wiele czasu minęło, odkąd tak spędzaliśmy wieczory.

– Czy Klara zrobiła albo powiedziała coś nadzwyczajnego? Rzuciliście się na siebie? – Pytając, Hulda patrzyła na Benedikta. Potem przeniosła wzrok na trawiaste garby, dziury i lśniący za nimi błękit morza. Była pewna, że pobyt tutaj, z dala od cywilizacji, dawał poczucie wolności, ale strach przed utknięciem w tym miejscu, odcięciem od świata, wywoływał u niej klaustrofobię.

– Czy rzuciliście się? Nie, oczywiście, że nie – odparł Benedikt zdziwionym tonem. – Nie mamy zwyczaju okładania się pięściami, kiedy się spotykamy.

– Nie chodziło mi o fizyczną bójkę. Czy były jakieś spięcia? Pokłóciliście się?

– Nie, znamy się od piętnastu lat i dłużej... Nie było spięć, jesteśmy przyjaciółmi. Zapewniam panią, że wczoraj między nami wieczorem nie zaszło nic

takiego, co mogłoby wytłumaczyć śmierć Klary. To był tylko koszmarny wypadek – zakończył głosem przepełnionym rozpaczą. – Absolutnie koszmarny... Musi pani puścić nas do domów. Chryste, czy pani nie rozumie, co to dla nas znaczy? Myśli pani, że jest nam łatwo?

Hulda nie odpowiedziała. Aż za dobrze wiedziała, że łatwo im nie jest, ale co miała powiedzieć, żeby nie zabrzmiało to pusto i obłudnie? Nie mogła przecież zacząć opowiadania o własnych doświadczeniach z nagłą śmiercią.

– Co? Myśli pani, że to łatwe? – powtórzył Benedikt ze złością, odsłaniając swoją nieznaną, twardszą stronę. Niewiele brakowało, żeby przekroczył niewidzialną granicę tego, co można by uznać za akceptowalne zachowanie obywatela wobec policjanta.

– Wyniesiemy się stąd, kiedy to tylko będzie możliwe – zapewniła go ze spokojem.

– Może robię dobrą minę do złej gry, w końcu jestem przyzwyczajony do dawania sobie rady z różnymi rzeczami, ale... niech pani zrozumie... martwię się o Dagura. On nie jest taki twardy, jak na to wygląda. I o Alexandrę... Musimy odwieźć ją do domu. Nie sądzę, żeby to już do niej dotarło.

– Benedikcie, doskonale zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji – odpowiedziała stanowczo Hulda. – I nigdy nie zapominam o uczuciach ludzi, którzy znaleźli się w takiej sytuacji, ale mam obowiązki także wobec ofiary. Nie zapominajmy, że musimy ustalić, co się stało.

– Co się stało? Przecież, to był wypadek. – Głos trochę mu drżał i Hulda pomyślała, że coś ukrywa, że nie mówi, co naprawdę myśli.

– Czy nie było niczego... w ogóle niczego, co mogłoby wyjaśnić to, co się stało? Benedikt pokręcił głową.

– Więc myślisz, że po prostu wyszła sobie w środku nocy i zdarzył się jej śmiertelny wypadek?

– Kiedy ostatni raz ją widziałem, była mocno podpita. Wszyscy poszliśmy na górę, do łóżek, ale ona chciała trochę dłużej zostać na dole. Nie wydaje mi się, żeby chciała pójść do sypialni... – Przerwał w połowie zdania.

– Dlaczego? – zapytała Hulda, podchwytując niedokończone zdanie. – Próbowала uniknąć któregoś z was?

– Co? Nie. Boże. Nie. Nic z tych rzeczy. Chciałem tylko powiedzieć... – Przerwał na chwilę. – Chciałem tylko powiedzieć, że nie miała ochoty od razu iść spać. Może potrzebowała jeszcze drinka przed snem, żeby lepiej zasnąć. Skąd mam

wiedzieć? Przez ostatnie parę lat rzadko się z nią kontaktowałem. Wiem tylko, że nie było jej łatwo. Miała problemy finansowe, tego rodzaju sprawy.

Hulda doskonale to знаła. Życie za pensję policyjną oznaczało nieustanny konflikt między płacą a życiem, a kredyt za jej małe mieszkanie bezustannie rósł wraz z inflacją.

– Więc co chciałeś powiedzieć, Benedykcie? Że po prostu poddała się? Rzuciła się z urwiska?

– Kto wie? – mówił bardziej pewnym siebie głosem. – Może to właśnie się stało. Ale domyśla się pani, że nie o to mi chodziło. Nie potrafię sobie wyobrazić... że moja przyjaciółka byłaby tak zdesperowana, że... że w środku nocy rzuciłaby się do morza. Rozmyślnie, wiedząc, co czyni, kiedy my spaliśmy w pobliżu... Właściwie nie potrafię sobie wyobrazić nikogo, kto z własnej woli rzuciłby się z urwiska. To przerażająca myśl... straszna.

Hulda nie miała na to odpowiedzi. Zanim cokolwiek przyszło jej do głowy, Benedykt zapytał:

– Czy poinformowano jej rodziców?

Skinęła głową. Nic więcej nie zostało do powiedzenia.

Dagur był najwyraźniej załamany. Hulda zaskoczyła samą siebie, bo odruchowo chciała go uścisnąć i powiedzieć, żeby się nie martwił, że będzie dobrze, chociaż nie mogła tego wiedzieć. Dagur był tylko chłopcem wplątany w hiobowe wydarzenie.

Odprowadziła go na bezpieczną odległość od domu, chociaż w innym kierunku niż Benedykta, bliżej morza. Horyzont był niemal nierealny, nieskończony, jak ze snu. Przez chwilę stała bez ruchu, słuchała dochodzącego z dołu przytłumionego huku fal, trzepotu ptasich skrzydeł i zaczynała rozumieć, że wyspa, powoli, ale nieustannie przeciąga ją na swoją stronę. To była kwestia wejścia w inny rytm niż ten, do którego była przyzwyczajona.

Wreszcie przerwała milczenie.

– Ile masz lat?

– Słucham? – Najwyraźniej przygotował się na inne pytanie. – Dwadzieścia dziewięć... Mam dwadzieścia dziewięć lat.

– Wszyscy jesteście w tym samym wieku?

– Tak, mniej więcej – odpowiedział, a w jego głosie znów słychać było drżenie.

– Inni są o rok starsi albo byli... wie pani, o co mi chodzi.

– Klara, Benedikt i Alexandra?

– Tak.

– Przyjechałeś tutaj ze względu na Benedikta?

– Ze względu na niego? Co chciała pani przez to powiedzieć?

– Bo on to zorganizował? Wyobrażam sobie, że nie jest łatwo zaaranżować wizytę na Elliðaey.

– A, rozumiem, zgadza się... – Przerwał. – Tak, dlatego że załatwił to dla nas.

– Spotkaliście się ze względu na Klarę? – To był strzał w ciemno, ale na tym etapie Hulda nie miała nic do stracenia.

Dagur wyglądał na zaskoczonego.

– Ze względu na Klarę? Nie, o co pani chodzi? Nie. To znaczy, ona miała jakieś problemy z utrzymaniem się w pracy i tak dalej. Ale to nie była nasza sprawa. Wycieczki nie zorganizowano dla niej, jeśli o to pani chodzi. Na pewno nie.

Te słowa zabrzmiały szczerze, Hulda uwierzyła mu.

– Wiesz, co się stało ostatniej nocy?

Pokręcił głową.

– Zaryzykowałbyś zgadywanek?

Dagur zawahał się.

– Nie, wszyscy poszliśmy do łóżek. To znaczy przed Klarą.

– Wiesz, dlaczego nie położyła się spać?

– Nie mam pojęcia.

– Słyszałeś, żeby ktoś chodził po nocy?

– Nie, spałem jak pień. Nic nie słyszałem – powiedział stanowczo.

– Wszyscy spaliście na górze? – Hulda weszła na strych i ustaliła, że są tam dwie wydzielone przestrzenie do spania i więcej niż trzeba miejsca dla czworga. Mogło się tam zmieścić znacznie więcej osób.

– Tak, my chłopcy w pokoju z tyłu, a dziewczyny w tym od frontu, przy górze drabiny.

– Usłyszałbyś, gdyby ktoś schodził?

– Nie – zaprzeczył. – Ja... mocno śpię.

Hulda przez chwilę milczała.

– Co robisz, Dagurze?

– Ja? – Pytanie znów wytrąciło go z równowagi.

– Ty, z czego żyjesz? Pracujesz?

– O tak. Pracuję w banku – dodał, jakby chciał to podkreślić. – W banku

inwestycyjnym.

– W banku inwestycyjnym? Na czym polega twoja praca?

– Na tym i owym... jestem maklerem giełdowym. Handluję ubezpieczeniami.

To zaskoczyło Huldę, która nie wyobrażała sobie Dagura w takiej pracy. Może dlatego, że widziała w nim tylko chłopca, zbyt młodego na tego rodzaju zajęcie. Musiał obracać wielkimi sumami. Tutaj, na tej zapomnianej przez Boga wyspie, robił wrażenie bezbronnego, zagubionego i nie przypominał stereotypowego maklera, takiego, jak go sobie Hulda wyobrażała, aroganckiego młodego człowieka w modnym garniturze, tryskającego pewnością siebie.

Mimowolnie wróciła myślami do zmarłego męża Jóna. Zajmował się inwestycjami, ale Hulda wolała o tym nie wiedzieć zbyt wiele. W tamtych czasach na Islandii nie było banków inwestycyjnych, tylko stare banki państwowe i towarzystwa hipoteczne. Jón, gdyby należał do pokolenia Dagura na pewno byłby maklerem. Nie brakowało mu pewności siebie.

– A twój przyjaciel, Benedikt? Też jest bankowcem?

– Boże, nie. On nawet nie zbliża się do banku. Jest... hm... prowadzi firmę informatyczną.

– Firmę informatyczną? Chodzi ci o przetwarzanie danych? Nie jestem aż taka stara, ale przyznaję, że nigdy w pełni nie rozumiałam, co znaczy ta informatyka.

Dagur uśmiechnął się.

– To cieszy się ogromną popularnością w bankowości. Dzisiaj każdy chce mieć akcje firm informatycznych.

– Ja nie – mruknęła pod nosem Hulda. Nawet nie przyszłoby jej do głowy, żeby grać na giełdzie skromnymi oszczędnościami całego życia. Po chwili dodała: – A jak z Alexandrą?

– Jest farmerką.

Hulda mało nie chlapnęła bez zastanowienia, że to niezwykle zawód jak na młodą kobietę, ale w porę zdała sobie sprawę, że nie byłaby lepsza od mężczyzn, którzy to samo mówili o niej, gdy wstąpiła do policji.

– Gdzie?

– Co?

– Gdzie gospodarzy?

– Na wschodzie – odparł Dagur. – Ma męża i dzieci. Raczej się nie spotykamy.

– A jednak... – zaczęła Hulda i przerwała, żeby sprawdzić reakcję Dagura. – A jednak przyjechaliście tutaj, na skraj świata, żeby spędzić razem cały weekend.

Tylko was czworo.

Odpowiedzi nie było. Dagur zaledwie kiwnął z zakłopotaniem głową i zagapił się na morze.

– Dagurze, muszę powiedzieć, że trochę to dla mnie dziwne – rzekła stanowczo Hulda, starając się nie tracić z oczu faktu, że chłopak właśnie przeżył traumę.

– Cóż... tak, rozumiem, że może pani...

– I nie było żadnej szczególnej okazji? I nie była to jakaś uroczystość.

– Nie, absolutnie nie, nic z tych rzeczy – powiedział szybko.

– Znacie się lepiej niż chcecie przyznać?

– Co? Nie, znamy się dobrze. Już to pani mówiłem.

– Ale nigdy się nie spotykaliście?

– Nie, już nie. Myślę, że lepiej określić nasze stosunki jako bliskie. Stare przyjaźnie trwają długo.

– To prawda – przyznała Hulda, chociaż właściwie nic o tym nie wiedziała. W szkole podstawowej zaprzyjaźniła się z kilkoma uczniami, ale nie stworzyła z nimi szczególnie mocnych więzi. Z perspektywy uznała, że pochodzenie z biednej rodziny negatywnie wpłynęło na jej szanse lepszego poznania innych dzieci. Razem z matką mieszkały u dziadków, stłoczeni we czworo w małym mieszkaniu i ciągle wszystkiego brakowało. Nowe ubrania i ładne zabawki to było coś, co miały inne dzieci. Dopiero później zrozumiała, że na stosunek nauczycieli do niej często wpływały jej sprawy rodzinne. Co gorsza, matka cały dzień pracowała, żeby było co do garnka włożyć, a to znaczyło, że prawie nie było jej w domu. Hulda bardziej związała się z dziadkiem. Kiedy zaczęła szkołę ponadpodstawową, przekonana, że nigdy jej nie polubią, nie starała się za bardzo, żeby zaprzyjaźnić się z koleżankami i kolegami z klasy. Była wycofana, pełna rezerwy, nawiązywała znajomości, ale nie były to prawdziwe, trwałe przyjaźnie. Tak samo działało się w college'u. W tamtych latach mało tam było dziewczyn, więc tworzyły cokolwiek hermetyczne środowisko, a ona zawsze była outsiderką. Po ukończeniu szkoły dziewczyny regularnie się spotykały, a Hulda zapraszała je do siebie na kawę, a czasem na coś do zjedzenia, ale gdy spotkała Jóna, stopniowo straciła z nimi kontakt. Miał mało czasu dla jej starych koleżanek z klasy. Był spokojnym człowiekiem, niezbyt chętnie udzielającym się towarzysko, więc po trochu przestali zapraszać ludzi. Co wieczór i w weekendy byli tylko we troje: Hulda, Jón i Dimma. Z początku Hulda widziała w tym przytulną rodzinną jedność. Dopiero potem stwierdziła, że dzieje się coś złego.

– Kiedy będziemy mogli pojechać do domu? – zapytał Dagur, gwałtownie przywracając Huldę do teraźniejszości.

– Wkrótce – odparła.

– Od razu do domu, czy...?

– Spóźniliśmy się dzisiaj na prom, więc będziemy musieli załatwić wam kwatery na Heimaey. Może będziemy musieli dostać od was bardziej szczegółowe zeznania.

– Dlaczego? Czy to nie jest oczywiste, co się stało?

– Miejmy nadzieję – powiedziała Hulda całkiem na poważnie.

27

Alexandra nie była w stanie rozmawiać z policją, ale mimo współczucia, jakie żywiła wobec niej Hulda, przesłuchanie było nieuniknione. Bardzo ważna była ocena pierwszych reakcji trojga przyjaciół, na podstawie których Hulda mogłaby ocenić, czy sprawa wymaga dalszego śledztwa.

Obie kobiety usiadły w domu. Hulda wysłała Benedikta i Dagura do łodzi. Eskortowali ich miejscowi policjanci.

– Po prostu nie mogę w to uwierzyć – powiedziała dziewczyna po raz trzeci – że ona nie żyje.

– Domyślasz się, jak mogło się to stać? – zapytała Hulda.

– Nie... – odparła Alexandra, ale głos jej zadrżał. – Proszę, muszę wykonać krótki telefon. Muszę zadzwonić do domu.

– Tutaj nie ma telefonów.

– A radiostacja? Mogę spróbować...?

– Za chwilę zejdziemy do łodzi. Będziesz miała mnóstwo czasu na telefon, gdy wrócimy do Heimaey. Tam jest dostęp do aparatu.

– Moglibyśmy popłynąć już, natychmiast? – Alexandra szybko oddychała. – Proszę.

– Widziałaś coś ostatniej nocy?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Słyszałaś coś?

Znów pokręciła głową.

– Jak sądzisz. Co się stało?

– Nie wiem! – Podniosła głos, była na skraju hysterii. Powtórzyła: – Nie wiem! Niech pani posłucha, muszę się dostać do telefonu!

– To nie potrwa długo – stwierdziła spokojnie Hulda. Zastanawiała się, czy miałoby sens, gdyby teraz przerwała przesłuchanie i później podjęła je znowu, gdyby zaszła taka potrzeba. Niech Alexandra i chłopcy wrócą jak najszybciej do domu, żeby dojść do siebie po wstrząsie. Chociaż czuła, że nie mówią jej całej

prawdy, nadal była skłonna uznać, że wątpliwości świadczą na ich korzyść. Może pokłócili się z Klarą i jest im z tego powodu przykro? Ale żeby byli winni zabójstwa albo morderstwa? Nie, w to nie wierzyła.

– Informacje o śmierci jeszcze stąd się nie wydostały – oznajmiła Hulda z niezbyt uzasadnioną pewnością – i będziemy tak sprawę na razie utrzymywać. Nie ma powodu, żeby dzwonić do domu, zanim dotrzemy do Heimaey.

– Ale muszę porozmawiać z moimi chłopczykami, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku i że się nie martwią.

Albo incydent z ostatniej nocy tak źle wpłynął na Alexandrę, albo był to chytry sposób na uniknięcie pytań. Prawie zadziało, bo Hulda już chciała zrezygnować.

W ostatniej chwili postanowiła zmienić taktykę, przestała się cackać.

– Dlaczego wszyscy tu przyjechaliście? Jaki był cel tej wizyty? – Tym razem mówiła tonem policjantki przesłuchującej świadka.

Alexandra drgnęła.

– Co? My... cóż, my... – Osłabła. – Nic. Bez specjalnego powodu.

– Czy ostatniej nocy zdarzyło się coś szczególnego? – zapytała Hulda i ledwie padły te słowa, zdała sobie sprawę, że nie tak należało zadać pytanie.

Alexandra znów pokręciła głową.

– Wiesz, co się stało z waszą przyjaciółką? – spytała Hulda, podnosząc głos, pewna, że inni są teraz poza zasięgiem słuchu. Była tu sama z Alexandrą. Miały wyspę dla siebie.

Ale Alexandra uparcie milczała.

– Alexandro, wiesz, co się stało? – Hulda spojrzała dziewczynie w oczy i wtedy, tak jak policjantka się obawiała, Alexandra załamała się.

Pierś zaczęła jej falować. Dziewczyna błagała, nie mogąc powstrzymać szlochu.

– Mogę iść? Proszę!

Hulda zrezygnowana wstała. To był koniec rozmowy. Na razie.

Hulda leżała w łóżku pensjonatu w miasteczku na Heimaey. Nie spała, czekała, aż sen przyjdzie, ale jej stary wróg, którego na równi pragnęła i bała się, kazał jej czekać. Rozpaczliwie chciała odpocząć, wykończona po całym dniu w drodze, ale sen często tylko dokładał się do napięcia, dręczył ją koszmarami i wspomnieniami, które za wszelką cenę chciałyby zapomnieć. Dlaczego nie mogła śnić o naturalnym pięknie Álftanes, śpiewie ptaków i morzu?

Tak, to był długi dzień, znacznie dłuższy, niż się spodziewała. Planowała spędzenie niedzielnego wieczoru na dworze, może byłby to spacer po mieście, żeby maksymalnie skorzystać, ze słońca o północy i balsamicznej pogody. Ale nie żałowała, bo praca zawsze miała pierwszeństwo. Tylko to trzymało ją na chodzie.

Jak zwykle, podczas bezsennej nocy, jej myśli wpadały w znajomą brudę rozpamiętywania przeszłości albo martwienia się o przyszłość. Tym razem zwyciężyła przyszłość. Wcześniej czy później będzie musiała stanąć twarzą w twarz z faktem, że w tym roku ukończy pięćdziesiątkę. Trudno było przyzwyczaić się do tej myśli. Znacznie łatwiej było schować głowę w piasek, zająć się problemami innych, wziąć nawał spraw, pracować wieczorami i w weekendy. Miała niewiele hobby. Cóż, jeśli być szczerym, tylko jedno: chodzenie po górach. I nadal nie była gotowa, żeby zacząć randkowanie. Nawet nie wiedziałyby, jak to zrobić, a poza tym nie było gwarancji, że spotkałaby księcia z bajki. Podróże do egzotycznych krajów to było marzenie ściętej głowy, jeśli wzięło się pod uwagę stan jej finansów.

Oczywiście, do emerytury zostało jej jeszcze mnóstwo czasu, ale nie musiała się o nią nie martwić, skoro zamajaczył kamień milowy pięćdziesiątego roku życia. Nie miała pojęcia, co zrobi z czasem, kiedy przestanie pracować, no i był problem z pieniędzmi – perspektywa, że utkwi w ciasnym mieszkanku, z niską, stałą emeryturą. Teraz mogła przynajmniej dorobić do pensji nadgodzinami.

Nie było dobrze: sen nie nadchodził. Hulda, przyznając się do porażki, wstała z łóżka, podeszła do okna i wyjrzała w słoneczną noc z lasem białych masztów

wznoszących się na tle charakterystycznych skalistych zboczy i zielonego szczytu Heimaklettur. Nie obchodziło jej to, co widziała, głowę miała zajęta problemem trojga młodych ludzi... albo raczej czworga, zmarłej Klary i jej przyjaciół. Oczywiście, że nie mówili Huldzie całej prawdy, ale to nie musiało znaczyć, że byli winni zabójstwa albo czegoś jeszcze gorszego. Hulda nauczyła się na własnych błędach, że ludzie ukrywają informacje przed policją z różnych powodów, nie zawsze złych, a ona to rozumiała. Trudno było się spodziewać, że ujawnią obcej wszystkie swoje tajemnice, szczególnie takiej obcej, która pojawiła się w wyjątkowo smutnej sytuacji. Ale śledztwo trzeba zakończyć.

Zanim Jón i Dimma umarli, Hulda relaksowała się wieczorami, czytając, znajdując ucieczkę w przytulnym świecie śmieciowych romansideł ze szczęśliwymi zakończeniami, tak odległymi od przygnębiającej, brudnej rzeczywistości jej pracy, jak tylko można sobie wyobrazić. Jakże brakowało jej zasypiania nad książką. Teraz nie miała cierpliwości, żeby czytać dla przyjemności, była zbyt nerwowa. Tylko w górskiej dzicy mogła się rozluźnić jak trzeba. Jej umysł robił się wtedy pusty. Poza tym obsesyjnie wracała myślami do Dimmy i Jóna i winiła się za to, co się stało. Dręczyła ją pamięć miesięcy prowadzących do śmierci Dimmy. Jak mogła nie wiedzieć...?

Zmusiła się, żeby nie myśleć o przeszłości i skupić się na sprawie, którą miała pod ręką. Te biedne dzieciaki. Po ich reakcjach wyczuwała, że wszystkie czują się jakoś odpowiedzialne za śmierć przyjaciółki. Może zabrakło im, kiedy byli Klarze potrzebni, może źle ją potraktowali. A może nie mieli pojęcia, że mogli zrobić coś inaczej, a jednak tak nie zrobili. Zabrakło jakiejś decyzji z przeszłości, która mogła doprowadzić do innego wyniku, decyzji, która nie doprowadziłaby Klary do tragicznego końca. Dokładnie tak jak było z Dimmą: świadomość, że można było uniknąć jej straszego losu.

Czy wyrzuty sumienia tych dzieciaków powinny zainteresować Hulde? Nie bardzo. Chyba że jedno z nich, zupełnie dosłownie, zepchnęło dziewczynę z urwiska.

Hulda wróciła do łóżka i zamknęła oczy. Musiała trochę się przespać. A koszmary. Po prostu je przyjmie.

Hulda dotarła do swojego mieszkania po irytująco powolnej drodze powrotnej. Najpierw promem do portu Thorlákshöfn na południowym wybrzeżu, potem samochodem do Reykjavíku. Nie miała już nic więcej do zrobienia ani na Elliðaey, ani na Heimaey. Gdyby okazało się, że śmierć nie była przypadkowa, sprawa i tak zostałaby przekazana wydziałowi kryminalnemu w Reykjavíku, czyli znów trafiłaby na jej biurko.

Była wykończona po źle przespanej nocy w pensjonacie i pluła sobie teraz w brodę, że wybrała się w podróż osobiście, zamiast delegować któregoś z podwładnych. Zazwyczaj wykorzystywała niedzielne wieczory, żeby naładować baterię na czekający ją tydzień, ale teraz już pełzył ku niej poniedziałek. Oczywiście, powinna się zdrzemnąć, przecież nikt nie zauważy, jeśli zjawi się w pracy godzinę później, ale uchylanie się od obowiązków nie leżało w jej naturze. Więc wskoczyła pod prysznic, zmieniła ubranie i wierną, zieloną skodą pojechała do pracy.

Natychmiast wzięła się do spisania raportu o wypadku na Elliðaey, żeby jak najszybciej mieć za sobą to nudne zadanie. Poinformowała szefa wydziału o wyjeździe na Westman Islands i dostała zgodę na zaksięgowanie wydatków. Zalecił jej wyjazd, jak zwykle był pomocny – przynajmniej powierzchownie. „Oczywiście chętnie pomożemy kolegom z wysp. Będą szczęśliwi, że dostaną ciebie”. Hulda wiedziała, że to pusta pochwała.

Wracała tym samym promem co Benedikt, Dagur i Alexandra, ale na pokładzie zebrali się razem i trzymali z dala od niej, najwyraźniej nie chcąc mieć niczego wspólnego z policjantką. Alexandra większość czasu spędziła, trzymając się relingu, zielona z cierpienia, a chłopcy opiekuńczo stali przy niej. Hulda nie próbowała do nich podejść. Już zadała oczywiste pytania i uzyskała dość materiału, żeby napisać obszerny raport z wnioskiem, że doszło do przypadkowej śmierci.

Teraz, kiedy przygoda w Elliðaey skończyła się, Hulda próbowała wrócić do codziennej rutyny. Tak było zawsze, odkąd zdecydowanie zerwała ze starym życiem, sprzedając dom rodzinny na Álftanes – a właściwie oddając go za długi

bankowi – i kupując sobie mieszkanie. Najpierw mieszkała z matką, potem wynajmowała lokum, ciułając na mały depozyt, bo Jón prawie nic nie zostawił po sobie. Mieszkanie z matką było co najmniej wyzwaniem. Chociaż od dawna wiadomo było, że nie pasowały do siebie charakterem, Hulda zobaczyła w tym okazję, żeby ją poznać.

Matka dawała z siebie wszystko, robiła, co mogła, żeby otulić córkę miłością i uczuciem po śmierci Dimmy i Jóna. Czasami Hulda czuła, że musi być złym człowiekiem, skoro nie potrafi odpowiedzieć tym samym, przyjmując matczyną troskę albo ją odwzajemnić. Pracowała bardzo dużo, więc z matką spędzała wieczory i weekendy, kiedy sama najbardziej pragnęła samotności, a najlepiej, żeby to była samotność w górach, w samym środku dziczy. Matka była jednak przekonana, że tylko rozmową mogą pokonać żalobę, chociaż Hulda wiedziała, że to nie zadziała. Była skazana na życie w smutku.

W końcu wyprowadziła się. Odbyło się to bez dramatyzmu. Pewnego dnia po prostu powiedziała matce, że znalazła sobie mieszkanie i podziękowała jej za gościnność. Reakcja matki była uprzejma i przyjacielska. Nic więcej. Ale przecież nigdy się nie kłóciły, jakby ich uczucia były na to za słabe. Hulda zamieszkała w wynajętym mieszkanku i od tej chwili cały czas wolny miała dla siebie.

Potem zamieszkała wreszcie we własnym mieszkaniu i płaciła raty zamiast czynszu.

W pracy powierzano jej najpoważniejsze sprawy, które pomyślnie rozwiązywała. Jej metody nie zawsze były konwencjonalne, ale uzyskiwała wyniki. I chociaż nie chwalono jej tak, jakby chciała, koledzy wiedzieli, że jest na tyle twarda, żeby prowadzić trudne dochodzenia.

Bardziej z poczucia obowiązku niż z ciekawości postanowiła sprawdzić akta osób zamieszanych w wypadek na Elliðaey. Zmarła Klara ani jej przyjaciółka Alexandra nie miały żadnych kontaktów z policją. Obie zachowały całkowicie czyste kartoteki. Jednak Benedikt, młody człowiek z firmy informatycznej, wdał się w bójkę w Kópavogur, kiedy miał piętnaście lat. Raport był krótki i pobieżny, ale wynikało z niego jasno, że nie pociągnęło to za sobą konsekwencji.

Nazwisko Dagura też się pojawiło.

W 1987 roku, kiedy miał dziewiętnaście lat, został spisany za groźby wobec policjanta, ale nie podano szczegółów i nie prowadzono sprawy dalej. Trochę to było dziwne: z zasady ludziom tak łatwo nie odpuszczano, gdy grozili policjantowi. Niemniej wyjaśnień mogło być wiele. Hulda знаła policjanta, który w tym

uczestniczył, ale nie widziała powodu, żeby zajmować się awanturą sprzed lat, która teraz nie miała żadnego znaczenia. Gdyby podczas śledztwa na Elliðaey wyszło na jaw coś podejrzanego, zawsze mogła się skontaktować z zamieszanym w to funkcjonariuszem. Ale na tym etapie uznała, że to nie jest jej sprawa. Lepiej tego nie ruszać.

Telefon wyrwał Huldę ze spokojnej drzemki. Przysnęła w salonie, ale cholerny aparat stał w przedpokoju, więc musiała zwlec się z wygodnego, starego fotela odziedziczonego po matce.

Miała trochę nadziei, że przestanie dzwonić, zanim zdoła odebrać. W końcu to prawie na pewno jakaś komercja, przecież nie dzwoni się wieczorem, a zbliżała się dziewiąta. Zasnęła przy brytyjskim filmie dokumentalnym o dzikiej przyrodzie, który nadawano po wiadomościach. Nie mogła sobie pozwolić na zaabonowanie Channel 2, więc musiała się zadowolić ofertą telewizji publicznej.

Z jękiem dźwignęła się z fotela, nadal skonana po długim dniu i burzliwym weekendzie, i poszła sztywno do korytarza. Wiedziała, że ostatnio porusza się trochę wolniej. Dłużej dochodziła do siebie po wysiłku, jak górską wędrówka lub zajęcia fizyczne... albo wstanie z fotela, na którym się przysnęło.

– Hulda – powiedziała, starając się, żeby zabrzmiało to rześko.

– Hulda? Cześć. Obudziłem cię?

– Co, nie, oczywiście, że nie. Kto mówi?

– Sæmundur.

– Ach, Sæmundur, cześć. – Sæmundur był mniej więcej w wieku Huldy, może miał parę lat mniej, i pracował w laboratorium Wydziału Patologii Szpitala Uniwersyteckiego. Pracował dzień i noc, więc Hulda powinna się domyślić, że to on dzwoni. Wyobraziła go sobie: przyjacielski, raczej pulchny, łysy, odkąd go znała, czyli co najmniej od dziesięciu lat.

– Przepraszam, że dzwonię, hm, tak późno.

– Nie ma sprawy. – Czasem podejrzewała, że Sæmundur ma na nią chrapkę, chociaż nie zrobił nic w tym kierunku. Był wiecznym kawalerem, dobrodusznym i uprzejmym, ale niestety, nie w typie Huldy. – Dzwonisz w sprawie dziewczyny z Elliðaey? – Niektórzy z kolegów Huldy powiedzieliby zwłok z Elliðaey, ale ona zawsze próbowała nadawać osobisty charakter zmarłym, żeby nie tracić z pola widzenia faktu, że zginął człowiek.

– Tak, zgadza się.

– Już skończyłeś sekcję? Dobra robota.

– Nie, obawiam się, że tak daleko jeszcze nie zaszliśmy, ale nie powinnaś tego pominąć... Cóż, ja nie powinienem. Zauważyłem to od razu i chcę, żebyś wiedziała. Nie mam pojęcia, jak posuwa się śledztwo, ale zakładam, że każdy dowód może być pomocny.

Nie po raz pierwszy mówił troszkę bez sensu.

– Oczywiście – powiedziała zachęcająco. – Co takiego zauważyłeś?

– A, tak, właśnie, przepraszam... ślady na jej gardle.

Hulda poczuła, że serce mocniej jej zabiło.

– Ślady na gardle?

– Tak, wiesz, jakby ktoś próbował udusić zmarłą... przed jej śmiercią. O to chodzi. To wygląda na rzecz zupełnie oczywistą.

– Chcesz powiedzieć...? – Hulda nie miała okazji, żeby dokończyć zdanie.

– Tak, wszystkie ślady wskazują, że użyto przemocy. Czy to pasuje do twoich początkowych wniosków?

Hulda milczała przez chwilę.

– Tak, mniej więcej. – Małe kłamstewko nigdy nie zaszkodzi. – Czy to była przyczyna śmierci?

– Wątpię, jeśli weźmie się pod uwagę, jak poważne są urazy głowy. To był długi upadek. Huldo, oczywiście nie jestem detektywem i na tym etapie to tylko spekulacje, ale moje pierwsze wrażenia są takie, że odbyła się walka, a napastnik chwycił ją za szyję, odciął drogi oddechowe, a potem ona spadła i w wyniku tego zginęła. Nie wiem, jak do tego doszło, ale mogę chyba wyciągnąć wniosek, że... hm, że...

– ... że została zamordowana? – dokończyła Hulda.

– Właśnie.

31

Hulda przeklinała się, że była za mało podejrzliwa na wyspie. W godzinie potrzeby zawiódł ją instynkt, a skutek był taki, że z kolei ona zawiódła biedną dziewczynę. Może powinna inaczej poprowadzić śledztwo i nie pozwolić trojgu przyjaciół od razu wracać do domu bez ostrzejszego przesłuchania. Nie wiedziała, co zrobić. Zbliżała się dziesiąta wieczór, ale mimo że nadal była zmęczona, usiadła za kierownicą skody. Sprawa mogłaby pewnie poczekać do rana, ale po tym, co powiedział jej Sæmundur, poczuła pilną potrzebę działania.

Jeszcze na wyspie spisała dokładne dane młodych ludzi, ale zostawiła je w biurze. Prawie na oślep wyjechała z ciasnego parkingu, przecisnęła się obok wozu sąsiada i już jechała do wydziału kryminalnego. Niebo było bezchmurne, słońce stało względnie wysoko, trudno było się domyślić, że jest tak późno.

Usiadła za biurkiem, przejrzała stronę z adresami i numerami telefonów.

Alexandra, Benedikt i Dagur. Próbowała wyobrazić sobie scenę: czy któreś z nich naprawdę zabiło Klarę? Ktoś najpierw ją przydusił, potem zepchnął z urwiska? Żadne nie pasowało do roli mordercy. W kraju takim jak Islandia, gdzie prawie nie ma morderstw, może z tego wyniknąć duże zamieszanie. Pewnie powinna zadzwonić do szefa, żeby podać mu najnowsze informacje, ale to mogło poczekać do rana. Pytanie brzmiało, czy powinna teraz ponownie przesłuchać przyjaciół Klary. Złożyć im niespodziewaną wizytę.

Hulda nie musiała się długo zastanawiać, kim zająć się na początku, odpowiedź była oczywista. Alexandra planowała, że spędzi wieczór z krewnymi w Kópavogur. Hulda zapamiętała ją jako najbardziej zasmuconą z trojga, a co za tym idzie najłatwiejszą w śledztwie. Na wyspie mało się nie załamała. Oczywiście, wykorzystywanie jej słabości było nie w porządku, ale przecież sprawa zrobiła się znacznie poważniejsza.

Krewni Alexandry w Kópavogur nie pozostawili Huldzie wątpliwości, że zepsuła im wieczór. Zaczęli narzekać, ledwie pojawiła się przed ich drzwiami, wyjaśniła kim jest i powiedziała, że chce rozmawiać z młodą kobietą.

– Ona śpi. To był straszny wstrząs. Nie rozumiem, dlaczego miałyby pani teraz jej przeszkadzać – powiedziała kobieta w średnim wieku, która otworzyła drzwi. Była nieprzejednana. Za nią stał przysadzisty mężczyzna, unikał kontaktu wzrokowego z Huldą. Prawdopodobnie był to mąż. Pokiwał gwałtownie głową, że się zgadza. Kobieta mówiła dalej.

– Będzie pani musiała wrócić rano.

Hulda nie miała zwyczaju wycofywać się w takich okolicznościach.

– To nie zajmie wiele czasu – upierała się niezrażona. – Obawiam się, że będę musiała usiąść z nią i bardziej szczegółowo omówić wydarzenia z weekendu.

– Dlaczego? Dlaczego ona? – zapytała kobieta, nadal tkwiąc w drzwiach. Mąż nadal kiwał głową.

– Jak wam wiadomo, zginęła młoda kobieta i muszę porozmawiać z Alexandrą i dwoma mężczyznami, którzy byli z nią na Elliðaey. W takim śledztwie musimy utrzymać priorytet interesu zmarłej, nawet jeśli miałyby to przysporzyć kłopotów niewinnym. – Świadomie położyła nacisk na słowo „niewinni”. – Wpuście mnie?

Kobieta dała się ubłagać i odsunęła się na bok, mąż zrobił to samo. Kiedy wprowadzili Huldę do salonu, zapytała, czy mogłaby porozmawiać z Alexandrą w bardziej odosobnionym miejscu. Po minach małżeństwa widać było rozczarowanie, że nie będą mogli być obecni podczas przesłuchania, ale w końcu zaprowadzili Huldę do pokoiku, który był skrzyżowaniem studia ze szwalnią. Czekala tam, a minuty upływały.

Wreszcie w drzwiach pojawiała się Alexandra. Sądząc po opuchniętej twarzy, rzeczywiście spała. Huldy nie zdziwiłoby, gdyby dziewczyna przelała wieczorem mnóstwo łez. Najwyraźniej jeszcze nie otrząsnęła się z szoku i rozpacz.

Hulda najpierw upewniła się, że drzwi są zamknięte, kazała Alexandrze usiąść i zaczęła zadawać pytania.

– Alexandro, przykro mi o tym mówić, ale wszystkie dowody wskazują, że twoja przyjaciółka została zamordowana.

Reakcja Alexandry była natychmiastowa. Było widać, że informacja to dla niej szok. Potem dziewczyna załamała się, nagle przepełnił ją smutek, jakby po raz pierwszy dowiedziała się o śmierci Klary. Ale oczywiście można było udawać takie reakcje, a Hulda jeszcze nie poznała dziewczyny na tyle dobrze, żeby wiedzieć, czy jest ona zdolna do tak przekonującej gry.

Hulda cierpliwie czekała.

Wreszcie Alexandra zaczęła mówić.

– To... nie, to niemożliwe. Dlaczego? Dlaczego tak pani myśli? Dlaczego ktoś miałby... zrobić coś takiego? – Pokręciła głową, powiedziała uniesionym histerycznym tonem: – Nie, nie, nie!

– Obawiam się, że dowody na to wskazują.

– Zamordowana? Zabita? Poważnie? Jakie... jakie dowody?

– Alexandro, chcę, żebyś powiedziała, co działo się tamtej nocy. Razem musimy dotrzeć do sedna sprawy.

– To... to... to się nie stało. – Zaczęła płakać. – Nic się nie stało.

– Alexandro, czas przestać tuszować sprawę. Jeśli została zamordowana... – zaczęła Hulda, a słowa na chwilę zawisły w próżni. Powtórzyła: – Jeśli została zamordowana...

Alexandra pokiwała głową.

– ...to są tylko trzy osoby, które mogły to zrobić: ty, Benedikt albo Dagur.

Dziewczyna odwróciła wzrok, grzbietem dłoni otarła oczy.

– Wiem, że to nie byłeś ty. – Hulda gładko skłamała. – Więc który z nich bardziej pasuje do roli mordercy, Benedikt czy Dagur?

Alexandra nie odpowiedziała.

– Masz jakieś pojęcie, co się za tym może kryć? Na przykład stara uraza?

– Nie, pani nie rozumie... – Alexandra zamilkła. – To niemożliwe... Żadne z nas, ani Dagur, ani Benni, nie zabiłyby nikogo. Nie zna ich pani. Po prostu... nie mogę w to uwierzyć.

– Ścisłe rzecz biorąc, ciebie też nie mogę wykluczyć, Alexandro. Jestem pewna, że zrozumiesz.

– O co pani chodzi? Właśnie pani powiedziała... że wie...

– To, co myślę, jest nieistotne. Oczywiście, nie wierzę, żebyś była zdolna zamordować przyjaciółkę, ale nie mogę wyeliminować cię ze śledztwa. Musisz ze mną współpracować.

– Ależ... tak, oczywiście, ja po prostu nie mogę... nie chcę...

– Czego nie chcesz? Być podejrzaną w śledztwie w sprawie morderstwa?

– Boże, nie! Oczywiście, że nie.

Po twarzy młodej kobiety znów zaczęły spływać łzy.

– Musisz się uspokoić i pomóc mi, Alexandro.

– Tak... wiem, wiem – wyjęczała, nie przestając szlochać.

W tym momencie rozległo się gniewne stukanie i drzwi otworzyły się. Weszła kobieta, która na początku wpuściła Hulde, twarz miała pociemniałą z gniewu.

– Starczy tego! Słyszę, jak ta biedna dziewczyna przez cały czas płacze. To jest nie do przyjęcia. Jak pani śmie tak ją traktować? Właśnie straciła przyjaciółkę.

Hulda odpowiedziała ostrym tonem.

– Potrzebuję minuty, żeby skończyć przesłuchanie.

– Nie, to ma się skończyć zaraz albo zadzwonię do szwagra, który jest adwokatem. To jest całkowicie nie do przyjęcia. – Zwróciła się do Alexandry. – Chodź, kochana. Ta pani wychodzi.

Alexandra rzuciła Huldzie spojrzenie, wstała i poszła za ciotką.

Hulda domyśliła się z miny dziewczyny, że coś ukrywa. Była tego pewna.

Tak, to było tutaj: pod dzwonkiem widniało tylko nazwisko Dagura, ale Hulda była trochę zdziwiona, że tak młody człowiek mieszka sam w dwupoziomowym mieszkaniu. Nacisnęła dzwonek, odczekała minutę i zapukała. Najpierw cicho, potem głośniej, ale nie uzyskała odpowiedzi. Wyglądało na to, że Dagura nie ma. Hulda spróbowała po raz ostatni, długo trzymała palec na wciśniętym dzwonku. Żadnej odpowiedzi. Będzie musiała wpaść późniejszym wieczorem albo z samego rana.

Okazało się, że Benedikt mieszkał w znacznie bardziej stosownym dla trzydziestoletniego kawalera miejscu, w małej suterenie w centrum.

Mieszkanie znajdowało się w tradycyjnym drewnianym niebiesko-białym domu, do którego wchodziło się od tyłu, przez ogródek pełen wybujałych chwastów. Hulda nie znalazła nigdzie dzwonka, więc załomotała do drzwi.

Usłyszała w środku ruchy, potem drzwi się uchyliły i w szczelinie pokazał się Benedikt. Był wyraźnie przestraszony, kiedy zobaczył, kto stoi za drzwiami.

– Dobry wieczór, Benedikcie.

– Co, och, dzień dobry... Chwileczkę, czy mieliśmy się jeszcze raz spotkać?

– Mogę wejść?

Wahał się przez chwilę.

– Właściwie, to nie jestem sam, ale... Chyba...

– Dziękuję. – Weszła, nie pytając o zgodę. – Musimy porozmawiać.

Kiedy weszła, zobaczyła Dagura stojącego pośrodku salonu i odniosła wrażenie, że wparowała prosto w środek przepychanki albo kłótni. Atmosfera aż dygotała.

– Dzień dobry – powiedział cicho Dagur, opuszczając wzrok na parkiet.

W pokoju było minimum mebli, tylko stara, skórzana kanapa, telewizor i półki z kasetami. Żadnych książek, obrazów na ścianach, a z sufitu zwisała naga żarówka. Hulda zauważyła, że na stole nie było także żadnych przekąsek ani napojów. Chyba ten szczegół zaalarmował ją: Dagur nie przyszedł z wizytą towarzyską.

– Cześć, Dagurze – odparła. – Właśnie wróciłam z twojego domu w Kópavogur. Podniósł wzrok, miał zaskoczoną minę.

– Szukała mnie pani?

– Tak, muszę porozmawiać z wami oboma. – Po krótkiej chwili ciszy dodała: – Nie spodziewałam się ciebie tutaj, Dagurze.

– Co, och, nie, ja... hm... – Wyglądał na zakłopotanego, a Hulda pomyślała, że to nienaturalne. Nie powinno być problemów z wyjaśnieniem, dlaczego odwiedził przyjaciela, a jednak Dagur nie mógł znaleźć właściwych słów. Tak, tutaj działo się coś więcej, niż było z wierzchu widać.

Gdyby miała wybór, wolałaby rozmawiać z młodymi ludźmi z osobna, ale w tych okolicznościach byłoby to trudne.

– Usiądźcie – odezwała się stanowczo – nie zajmę wam wiele czasu. – Obaj usłuchali i klapnęli obok siebie na kanapie. Hulda przyniosła stołek z kuchenki za salonem i przysiadła twarzą do nich.

Przez jakiś czas dokładnie się im przyglądała, nakręcała napięcie, pozwalając im się pocić. Nietrudno było zobaczyć, że są zdenerwowani.

– Wasza przyjaciółka – zaczęła Hulda. – Wasza przyjaciółka Klara nie spadła z urwiska przypadkiem.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – zapytał ostrym tonem Benedikt.

– Zaatakowano ją – odparła Hulda.

– Zaatakowano? – odezwał się niedowierzającym tonem Dagur.

– Co pani sugeruje? – zapytał Benedikt. – Że ktoś ją zabił?

Hulda pokiwała głową.

– Tak to właśnie wygląda. Nad takim założeniem teraz pracujemy – mówiła dalej, celowo robiąc wrażenie, że nie ona jedna to podejrzewa, że ma za sobą cały wydział kryminalny.

– Pracujecie zgodnie z założeniem... że została zabita? – Benedikt był równie wstrząśnięty co zły. – Na litość boską, nie insynuujecie pani, że któryś z nas – albo Alexandra – mógł ją zabić?

– Czy na wyspie był ktoś jeszcze? – zapytała Hulda rzeczowym tonem.

Tym, który odpowiedział, był Dagur.

– Nie. Nikogo nie było.

– Więc nikogo innego nie możemy brać pod uwagę, prawda?

Benedikt pokręcił głową.

– Czy to możliwe, żeby bez waszej wiedzy ktoś inny przybył na wyspę?

– Prawie niemożliwe. Chociaż nie sędzę, żeby to było zupełnie nie do pomyślenia.

– Usłyszelibyście, na przykład, gdyby w nocy przypłynęła łódź?

– Nie, chyba nie.

– Więc na razie nie ma innej możliwości, musimy skupić się na was trojgu – powiedziała Hulda. – Chyba że wyjdą na jaw dowody poświadczające coś innego.

– To bzdura – rzucił Dagur. – Nie może pani na poważne uważać, że... że zamordowaliśmy naszą przyjaciółkę.

– Żarty sobie pani robi – włączył się Benedikt.

– Chciałabym – odparła Hulda z poważną miną. – Słuchajcie, nadszedł czas, żeby powiedzieć mi prawdę. Co się stało tamtej nocy?

Dagur, zanim odpowiedział, zerknął na Benedikta.

– Na litość boską, co jeszcze mamy pani powiedzieć? Nie wiemy, co się stało. Klara nie wróciła do sypialni o tej samej porze, co my wszyscy. – Przerwał, wziął się w garść i dodał: – W każdym razie, dlaczego pani uważa, że ktoś... ją zabił?

– Nie jestem upoważniona, żeby wam powiedzieć, przynajmniej nie teraz.

Benedikt szybko wstał.

– Nie może się pani spodziewać, że będziemy odpowiadali na pytania dotyczące czegoś, co nie jest... to znaczy, na co nie ma śladu dowodu. Po prostu próbuje pani wpędzić nas w pułapkę. Wrobić nas w morderstwo, a tymczasem nasza przyjaciółka albo pośliznęła się i spadła... albo rzuciła się... z klifu.

– Przecież mamy prawo do adwokata, prawda? – powiedział niespodziewanie Dagur.

Hulda uśmiechnęła się.

– To zależy tylko i wyłącznie od was. Odpocznijmy minutkę. Nikt nie został aresztowany, nikt nie jest podejrzany... przynajmniej oficjalnie. Tylko sobie gawędzimy, ale jak powiedziałam, to zależy tylko od was. Jutro się zobaczy, czy będę musiała wezwać was formalnie na przesłuchanie do komisariatu. Jednym z waszych praw jest przyjście z adwokatem.

Benedikt stał, jakby nie wiedział, co z sobą zrobić. Dagur cicho siedział.

– A tak w ogóle, co tutaj robisz, Dagurze? – zapytała Hulda, wpatrując się w młodego człowieka na kanapie.

– Słucham? – Pytanie zaskoczyło go.

– I nie kłam, że to wizyta towarzyska – dodała ostro.

Dagur tylko siedział, nic nie mówił.

– Uzgadnialiście zeznania? – Przeniosła wzrok na Benedikta.

Gwałtownie pokręcił głową. Nie irytował się i nie złościł na Huldę, że przyszła bez zapowiedzi i zaczęła rzucać oskarżenia, był natomiast autentycznie zaniepokojony, w którą stronę zmierza ta rozmowa.

– Absolutnie nie – zaprzeczył. – W żadnym wypadku.

– Dagurze?

– Co? Boże, nie. Nic z tych rzeczy. Źle to wszystko pani rozumie. Nie musimy uzgadniać zeznań. Z ręką na sercu.

Prawie im uwierzyła. Tak, może mówią prawdę. Ale nadal nie ufała im w pełni.

Wstała.

– W takim razie, co tutaj robisz, Dagurze?

Myślał dłużej, niż było to potrzebne.

– Dopiero co zmarła nasza przyjaciółka – odezwał się wreszcie – prawie pod naszymi nosami. Nie wytrzymałem samotności i nie wiedziałem, z kim porozmawiać, jeśli nie z Bennim. Nie jestem tak blisko z Alexandrą, ale z Bennim zawsze byliśmy dobrymi kumplami. Nigdy nie mieliśmy przed sobą tajemnic...

Hulda odgadła po tonie Dagura, że ta ostatnia uwaga miała szczególne znaczenie, że kryło się w niej głębsze znaczenie, które za wszelką cenę chciała wydobyć na wierzch.

Hulda zabroniła trojgu młodym ludziom opuszczania miasta do odwołania. Ani Benedikt, ani Dagur nie mieli zastrzeżeń, ale Alexandra oświadczyła, że musi wrócić na wschód do rodziny. W końcu udało się ją przekonać, żeby poczekała jeszcze dzień, dwa.

Następnym krokiem Huldy było spotkanie, z samego rana, z Thorvardurem, policjantem, który przed dziesięciu laty spisał zeznania Dagura. Chłopakowi udzielono ostrzeżenia, bo groził funkcjonariuszowi. Thorvardur miał około trzydziestu pięciu lat, był uczciwy, rzeczowy i łatwy w rozmowie.

Hulda poprosiła go o spotkanie i teraz siedziała w jego gabinecie.

– No to co mogę dla ciebie zrobić? – zapytał, szczerze się uśmiechając.

– To pewnie strata czasu – powiedziała – ale znalazłam stary raport z 1987 roku o drobnym incydencie, który zgłosiłeś.

– A, prawda, 1987, hm. Dopiero co wyszedłem wtedy ze szkółki. Do policji wstąpiłem w osiemdziesiątym szóstym.

Wręczyła mu egzemplarz raportu o Dagurze.

– Nawet przez chwilę nie sądziłam, że zapamiętałeś to...

– Cóż, zobaczmy. – Przejrzał raport.

– Aha... poczekaj, tak 1987 rok, chociaż nie jestem całkowicie pewien. – Nadal przeglądał raport. – Popatrzmy. Ile on miał lat? Zaledwie dziewiętnaście. To recydywista, czy ktoś taki?

Hulda pokręciła głową.

– Nie, o ile wiem, zwyczajne, porządne dziecko. W raportach pojawia się tylko raz, to jego jedyny konflikt z prawem.

– Dagur... Dagur Veturlidason...? – W głowie Thordvardura zaświtało. – Ach tak, oczywiście. Dagur Veturlidason, oczywiście. Przepraszam, nie chwyciłem od razu. Huldo, powinnaś podać mi kontekst. – Uśmiechnął się do niej.

– Kontekst?

– Tak, czy nie chodziło o jego ojca? Dlaczego teraz do tego wracasz?

– O jego ojca? Co on zrobił?

– Veturlidi Dagsson, nie pamiętasz go?

Nazwisko brzmiało jakby znajomo, ale Hulda musiała przyznać, że nie potrafi go umiejscowić.

– Zabił swoją córkę, pamiętasz?

Wtedy Hulda przypomniała sobie. Nie miała nic wspólnego z prowadzonym wtedy śledztwem, ale trafiło ono na czołówki gazet, więc trudno było o tym nie przeczytać. Wyjątkowo obrzydliwa sprawa. Na pozór godny szacunku księgowy z Kópavogur został oskarżony o zabicie własnej córki w ich letnim domu, na odciętej od świata wyspie w West Fjords. Hulda nie pamiętała szczegółów, gdyż obserwowała dochodzenie za pośrednictwem wiadomości medialnych i знаła je z plotek, zasłyszanych na korytarzach komisariatu. Mężczyzna popełnił samobójstwo w areszcie, zanim ogłoszono wyrok. W pamięci utkwiło jej, że ta sprawa utwierdziła sukces Lýdura. Były też wskazówki mówiące o tle seksualnym, a to zbliżało się trochę za bardzo do spraw w domu Huldy, chociaż wtedy jeszcze o nich nie wiedziała.

Jeśli się zastanowić, fakt, że księgowy mieszkał w Kópavogur pasował: dom, który był parę razy za duży dla Dagura, musiał być kiedyś domem dla całej rodziny. Ale teraz chłopak mieszkał w nim sam. Pytanie aż się narzucało: co się stało z jego matką?

– Boże – wyszeptała Hulda, bardziej do siebie niż do Thorvardura. – Mówisz, że Dagur to jego syn?

– Nie wiedziałaś?

– Nie... nie dodałam dwóch do dwóch – odparła.

– To po co tym się zajmujesz? To przecież stara historia, fakt że chłopak trochę wtedy narozrabiał.

– Więc pamiętasz?

– Tak, było mi go żal. Ciągle przychodził do komisariatu, pienił się o aresztowanie ojca. Nie wierzył w jego winę. Zazwyczaj chciał widzieć się z Lýdurem, ale czasem zaczynał na nas krzyczeć i wygłaszać tyrady. My... cóż, żalowaliśmy go, rozumiesz. Nic nie robiliśmy. Ale raz, a o tej sprawie teraz rozmawiamy, posunął się za daleko, zaczął grozić, więc byliśmy zmuszeni aresztować go i trochę z nim pogadać, żeby się uspokoił. Nie nadaliśmy biegu sprawie. Dzieciak był w koszmarnej formie. Ale to przecież zrozumiałe.

– Prawda... – Hulda odpowiedziała w roztargnieniu. Miała problem ze

zrozumieniem tego wszystkiego... że to był syn człowieka, który zamordował własną córkę. Cholera. Ale tu nie może być żadnego związku, prawda?

– No, wykrztuś to z siebie, o co chodzi, skąd zainteresowanie tym chłopcem?

– Jest podejrzanym w sprawie o morderstwo. Wiesz, dziewczyna, która spadła i zabiła się podczas weekendu na Elliðaey.

– Żartujesz? Cholera jasna! – Thorvardur rąbnął pięścią w biurko. – Mówisz poważnie?

Hulda kiwnęła głową.

– I myślisz, że może być winny?

– Sama już nie wiem, co myśleć.

– Cóż, to może być cecha rodzinna, prawda?

Hulda uniosła brwi.

– Oj, daj spokój.

– Ależ tak. Tego rodzaju skłonności. Na twoim miejscu na pewno nie wykluczyłbym tego.

– Trudno, żebym aresztowała go za grzechy ojca. Czy to proponujesz?

– Huldo, może Dagur jest nieodrodnym synkiem swojego taty.

34

Prasa już zaczęła węszyć wokół sprawy i kiedy Hulda wróciła za biurko, znalazła kilka postów z pytaniami, co tamtej nocy stało się na wyspie. Postanowiła nie tracić czasu na odpowiedzi i lepiej wykorzystać dzień, zajmując się innymi sprawami. Na szczęście jeszcze nie było przecieku, że policja traktuje śmierć jako potencjalne morderstwo.

W świetle najnowszych informacji musiała pilnie porozmawiać z Dagurem, ale najpierw chciała się zapoznać z wszystkimi szczegółami sprawy Veturlidiego. Najszybciej by to poszło, gdyby poprosiła Lýdura o wprowadzenie jej w zagadnienie. Ta myśl nie sprawiała jej przyjemności, czuła niechęć do tego człowieka, i było to bez wątpienia odwzajemniane uczucie. Ale to on kierował tamtym śledztwem, to była jego wielka sprawa, która popchnęła go w górę. Wtedy uzyskał sławę celebryty, gdyż gorliwie pojawiał się w mediach, żeby omawiać dochodzenie, i odgrywał rolę człowieka, któremu opinia może zaufać. Był w tym dobry, Hulda musiała to przyznać, ale i tak mu nie ufała, chociaż nie potrafiła powiedzieć dlaczego.

Teraz ona sama dostała wreszcie swoją wielką sprawę, czuła to przez skórę. To była dla niej okazja i powinna ją wykorzystać dla siebie, jeśli chciała się przebić przez barierę i uzyskać większy prestiż z większą płacą. Na zdrowy rozum może to była chwila, w której powinna pokonać niechęć do stawania w blasku reflektorów i zwołać konferencję prasową. Nie była z natury aktorem, jak Lýdur, ale potrzebowała sukcesu i gdyby go uzyskała, nie mogła pozwolić, żeby przeszedł niezauważony.

Jak się okazało, kiedy już przygotowała się na rozmowę z nim, przeżyła rozczarowanie, bo Lýdura nie było w mieście. Zaraz po pracy, poprzedniego dnia, wyjechał do letniego domu w Borgarfjörður, w którym nie było telefonu. Podobnie jak Hulda nie miał zwyczaju nosić z sobą komórki, chociaż wszystko wskazywało na to, że wkrótce będzie to obowiązek. Póki co Hulda chciała korzystać z wolności i nie być na każde zawołanie szefów.

Pomyślała, że to bardzo dobra okazja, żeby wybrać się na wycieczkę samochodową przy pięknej pogodzie. Skoda wróciła niedawno z kosztownego przeglądu, a to znaczyło, że szybki dojazd zachodnim wybrzeżem do Borgarfjörður nie będzie problemem. Pomysł był całkiem dobry.

Huldy nigdy nie nużyła droga na północ wzdłuż wybrzeża od Reykjavíku, z niezrównanymi widokami jej ulubionych gór: talerzowata Akrafjall, stojąca samotnie na półwyspie, wielki, spłaszczony kadłub Esji, niemal alpejskie szczyty Skardsheiði. Nie żał jej było nawet czasu, który trzeba było poświęcić, żeby objechać Hvalfjörður, bo wiedziała, że wkrótce takie podróże się skończą. Za parę miesięcy miał zostać otwarty tunel pod ujściem fiordu, co skróciłoby jazdę z godziny do siedmiu minut. Ale żał by jej było panoramy gór i morza, ładnych farm i pól z okrągłymi, białymi belami, znajomych budynków starej stacji wielorybniczej i baraków z blachy falistej, które zostały po wojnie.

Kiedy przejechała wzdłuż Hafnarfjall, zobaczyła Borgarfjörður, okrążony od północy i wschodu przez płaskie, otwarte krajobrazy z odległym tłem tworzonym przez góry. Nad fiordem stało miasteczko Borgarnes z pięknym białym kościołem, ale nie tam dzisiaj jechała. Jak się okazało, letni dom Lýdura stał pośrodku kolonii domków wakacyjnych, na pierwszy rzut oka tak zaprojektowanej, żeby utrudnić życie gościom. Hulda, która miała znośne wyczucie kierunku, stwierdziła, że jeździ w kółko. Wreszcie znalazła właściwą ślepą uliczkę i zauważyła letni dom, częściowo osłonięty od drogi brzożami i krzakami.

Parkując skodę przy wielkiej terenówce Lýdura, znów pomyślała, że w zarobkach musiał być o kilka szczebli wyżej od niej, czego nie uzasadniała ani jego pozycja, ani wiek czy doświadczenie.

Nieśmiałe pukanie do drzwi frontowych pozostało bez odpowiedzi, więc obeszła dom z boku, żeby sprawdzić, czy Lýdura nie ma z tyłu. Miała szczęście. Stał przy gazowym grillu, bez koszuli, w okularach przeciwsłonecznych, wyglądało, że jej widok bardzo go zaskoczył.

– Dobry Boże, Huldo! Co ty tutaj, na Boga, robisz? – zapytał, kiedy początkowe zaskoczenie ustąpiło miejsca rozbawieniu.

– Cześć, przepraszam, że tak tu włączę – powiedziała nieszczerze. W głębi duszy myślała z goryczą, że on ma ładny dom letniskowy, przed którym parkuje elegancki džip, a ona musi się zadowalać dziesięcioletnią skodą i kłatką na króliki za rujnujące raty hipoteczne, a co parę lat przydziałowym tygodniem w domu

wypoczynkowym związku policjantów w Hvalfjörður, niedaleko Reykjavíku... To było nie w porządku jak cholera.

– Po prostu jestem zdumiony, to wszystko. Żona poszła trochę odpocząć. Potem was sobie przedstawię. Spotkałyście się już?

– Nie raz.

– A, w porządku. W każdym razie zakładam, że to musi być coś pilnego. Mam tylko nadzieję, że nie przyjechałaś, żeby mnie zaciągnąć z powrotem do biura. – Roześmiał się.

– To ci nie grozi. Masz parę minut?

– Jasne. Chcesz hamburgera? Mam ich mnóstwo.

Już miała odmówić, kiedy przypomniała sobie, że jest bardzo głodna.

– Hm, tak, chętnie. Byłoby świetnie.

– Jeden hamburger i cola raz! – powiedział i znów zadźwięczał sztuczny śmiech, który Hulda tak często słyszała. Wszystko w tym człowieku było sztuczne, ale to nie powstrzymało jego zawrotnej kariery. Czyżby była zazdrosna?

Wszedł do domu i zaraz wrócił z wielkim, soczystym hamburgerem, który wrzucił na grilla. Rozległo się syczenie, zaczął kapać tłuszcz.

– No to wal śmiało. Co za diabli cię tutaj, Huldo, przynieśli? – Żartobliwy ton ulotnił się, mówił poważnym głosem.

– Ja... hm, właściwie, to chciałam zapytać o starą sprawę. Pamiętasz Veturlidiego Dagssona?

Zauważyła, że, Lýdur mimowolnie drgnął na dźwięk tego nazwiska, chociaż usiłował to ukryć. Cisza, która zapadła, trwała dłużej, niż wynikałoby to z pytania.

– Veturlidi, tak, oczywiście, że go pamiętam – rzekł wreszcie, ale jego głos niczego nie zdradzał. – Wstrząsająca sprawa, absolutnie szokująca – dodał, nie oglądając się za siebie. – Dlaczego zainteresowałaś się tym?

– Podczas weekendu wpadłam na jego syna. Na imię ma Dagur. Czy spotkałeś się z nim wtedy?

– Hm... tak – odparł Lýdur z wyraźną niechęcią. – Zapomniałem, jak ma na imię, ale spotkałem go przynajmniej raz, może więcej razy. Zupełnie zwariował, kiedy aresztowaliśmy jego ojca. Zajechaliśmy po niego o świcie, a chłopiec obudził się, zaczął krzyczeć i urządzać sceny. Nie był wtedy taki mały, musiał mieć co najmniej osiemnaście, dziewiętnaście lat.

– Dziewiętnaście – potwierdziła Hulda.

– Zgadza się. Nie sądzę... żeby chciał stanąć twarzą w twarz z prawdą. – Lýdur

wreszcie się odwrócił i spojrzał Huldzie w oczy. Panował nad mimiką. – To zrozumiałe. Dla rodziny to był koszmarny czas, wstrząsająca sytuacja.

Znów odwrócił się do grilla i od niechcienia zapytał:

– Gdzie wpadłaś na syna?

– Jest zamieszany w sprawę, którą prowadzę.

Lýdur nie mógł wiedzieć, że śledztwo w sprawie incydentu na Elliðaey zostało podniesione do rangi dochodzenia w sprawie o morderstwo. Jeszcze o tym nie usłyszał, odcięty w letnim domu bez komórki.

– A co to za sprawa? – dopytał po chwili. – Śmierć na Westman Islands?

– Tak. Pojawiły się dowody, że dziewczyna została zamordowana.

– Zamordowana? Cholera. Lepiej wróć do miasta.

– Zajmuję się tym – rzuciła ostro, unosząc głos.

– Cholera – zaklął, jakby jej nie słyszał. – Zamienię słówko z żoną, potem migiem do biura. W każdym razie, Huldo, o co chciałaś zapytać?

– Chciałam się tylko dowiedzieć – zaczęła, próbując uspokoić się po wybuchu złości – czy brałaś wtedy pod uwagę Dagura?

– Czy brałem go pod uwagę? O co ci chodzi?

– Czy był podejrzany?

– Co? – Lýdur błyskawicznie odwrócił głowę. – O zamordowanie siostry? Nie, oczywiście, że nie. W ogóle nie. Przecież pamiętasz, że sprawa była oczywista. Sprawcą był Veturlidi, nie ma wątpliwości. – Lýdur zrobił się wymowny, przekonujący. Zajadły.

– Mógłbyś pokrótce podsumować fakty? To było twoje śledztwo, prawda? – zapytała, chociaż znała odpowiedź.

– Daj mi sekundkę – poprosił, zdejmując hamburgery z rusztu. Gestem pokazał Huldzie krzesło na tarasie i usiadł na drugim naprzeciwko niej. Hulda nagle zapomniała o wszystkim, ogarnęła ją czysta przyjemność, rozkoszowała się zapachem świeżo zgrillowanych hamburgerów w ciepłym, nieruchomym letnim powietrzu. Tak powinno wyglądać życie, takie życie kiedyś miała.

Lýdur niemal natychmiast wstał.

– Przyniosę ci colę.

Wszedł do domu i szybko wrócił z napojem. Ledwie usiadł odpowiedział na jej pytanie.

– Jasne, zajmowałem się tym śledztwem od początku do końca. Mogę dodać, że poszło jak w zegarku. Koszmarna zbrodnia – ojciec zabija córkę. Kto tak

skrzywdziłby własne dziecko?

Pytanie przyprawiło Huldę o dreszcze.

– Przypomnij mi, gdzie znaleziono ciało?

– W West Fjords – powiedział, odgryzł kawał hamburgera i zaczął go energicznie przeżuwać. – Pełno tam było krwi, w rodzinnym letnim domu. Na pierwszy rzut oka była tam sama, ale sweter Veturlidiego był oczywistą wskazówką. Trzymała go kurczowo. Nie mógł zaprzeczyć, że to jego sweter, chociaż oczywiście zaprzeczał, że tam z nią był. Ale nie dało się wytłumaczyć, dlaczego dziewczyna miała pojechać tam sama, szczególnie że często wybierała się z ojcem do letniego domu. My wypełniliśmy tylko luki przypuszczeniami. – Znowu ugryzł kawał, zjadając połowę hamburgera za jednym zamachem. Żuł, nic nie mówił. Hulda skorzystała z okazji i sama spróbowała. Musiała przyznać to Lýdurowi: co jak co, ale na grillowaniu się znał.

– Chodzi mi o to – Lýdur przełknął i mówił dalej: – że regularnie razem tam jeździli i nietrudno domyślić się, do czego dochodziło podczas takich wypraw – co on jej robił. Ale ona dorosła i pewnie mu się postawiła w tamten weekend. Przynajmniej tak to sobie wyobrażam. Popchnął ją, ona uderzyła głową w kant stołu i wykrwawiła się na śmierć. Trudno powiedzieć, czy doszło tam do walki. Ale chyba można było ją jeszcze uratować, gdyby nie zostawił jej, żeby straciła tyle krwi. Nie ma się co dziwić, że sprawa wywołała tyle wrzawy. To nie żarty aresztować ojca za taką zbrodnię, przecież wiesz, jak to jest. – Spojrzał na Huldę, ale mimo tego, co mówił, na jego twarzy nie widać było współczucia.

– Wiem.

– No i pił. Znikał na popijawy, które ciągnęły się całymi dniami. Poszedł na odwyk i przynajmniej raz odstawił alkohol, ale najwyraźniej znowu zaczął pić, bo jak się okazało, korzystał z domu letniego, żeby urządzać sobie biby. Znaleźliśmy tam mnóstwo butelek. Według mojej teorii musiał być pijany, kiedy ją zabił. Oczywiście, nie mogliśmy tego dowieść, ale to była amunicja dla oskarżenia.

– W ogóle nie było podstaw do uzasadnionej wątpliwości?

– Żadnych – rzucił stanowczo Lýdur. – Vertulidi był winny jak wszyscy diabli. Sposób, w jaki skończył, przekreślił wszelkie wątpliwości, jakie mogły jeszcze pozostać. Nie trzeba być geniuszem, żeby zrozumieć, co to znaczy, że się powiesił. Został oskarżony, gra się skończyła, ale chciał ją skończyć na własnych warunkach. Koniec kropka. Oczywiście, wolałbym, żeby uznano go za winnego, ale najwyraźniej nie mógł żyć ze świadomością tego, co zrobił. To było dla mnie

zrozumiały.

– Wracając do jego syna, czy jest jakieś prawdopodobieństwo, że też tam był, to znaczy w letnim domu?

– Jego syn? Nastolatek? Nie, na pewno nie. Nie było ani jednego dowodu, który mógłby o tym świadczyć.

– Czy w ogóle brano pod uwagę tę możliwość?

– Nie bardzo, był tylko dzieckiem. Słuchaj, to była łatwizna. Veturlidi był sam w tamten weekend, pił cichcem. Twierdził, że był na mieście, ale nie miał alibi. Jego żona była na wycieczce z przyjaciółmi, a syna też nie było w domu. Błagał, żebyśmy mu uwierzyli... Ale prawda była taka, że oboje byli w letnim domu. Jego córka raczej nie pojechałaby tam sama.

– Jak ona miała na imię?

– Katla. Miała wtedy jakieś dwadzieścia lat. Mówiono o niej tylko dobrze. Była szczęśliwą dziewczyną, energiczną, trochę kokietką.

– Przypomnij, kiedy to było?

Lýdur zamyślił się.

– Hm, koniec lat osiemdziesiątych... osiemdziesiąty siódmy, tak, to było wtedy. Dziesięć lat temu.

– Czy Katla miała chłopaka?

– Najwyraźniej nie. Pytałem ludzi. Rozmawiałem z niektórymi z jej przyjaciół. – Zauważyła, że traci cierpliwość do jej pytań.

– Może przypadkiem pamiętasz, kto to był?

– Co? Nie, zapomniałem.

– Czy w aktach sprawy będą te nazwiska?

– Wątpię. Przeprowadziłem tylko parę nieformalnych rozmów. – Ciężko westchnął.

– Dagur nie wspomniał o tym ani słowem, kiedy z nim rozmawiałam. Powiązania z dwoma morderstwami... to nie może nie wywoływać pytań.

– Och, zejdz z tego, Huldo. To trochę za ostro powiedziane, że jest powiązany z dwoma morderstwami. Zabito jego siostrę. On jest po prostu niewinną ofiarą.

Lýdur nagle wstał.

Aluzja była jasna, więc Hulda poszła w jego ślady.

– Lýdurze, dziękuję za pomoc. – Po chwili namysłu zapytała: – Czy przyznał się? Chodzi mi o Veturlidiego.

– Nie, formalnie nie przyznał się. Ale to było jasne jak słońce. Wierz mi, Huldo,

mylisz się w ocenie. Między tymi sprawami nie ma związku. To jest całkowicie nieprawdopodobne, nie wchodzi w rachubę.

Katla miała dwadzieścia lat, kiedy znaleziono ją martwą w letnim domu.

Hulda spędziła resztę słonecznego dnia zamknięta w gabinecie. Czytała akta starej sprawy. Upór Lýdura, że nie może być związku między śmiercią Katli a incydem na Elliðaey, całkowicie przeczył przekonaniu Huldy. Musiała dowiedzieć się więcej o zamordowaniu Katli, a najprostszym sposobem, żeby to osiągnąć była kolejna rozmowa z Dagurem.

Skrót wydarzeń przedstawiony przez Lýdura przy hamburgerach okazał się całkiem dokładny. Wydarzenia miały miejsce dziesięć lat temu. Ciało Katli znaleziono jesienią 1987 roku w rodzinnym domu letnim, który stał w odległej dolinie Heydalur, niedaleko Mjóifjörður, niezamieszkanego fiordu na południowym wybrzeżu Ísafjarðardjúp. Odkrył je inspektor miejscowej policji z Ísafjörður, Andrés Andrésón. Hulda pomyślała, że może też warto by go znaleźć i wysłuchać jego wersji zdarzeń.

Sądząc ze zdjęć, scena była obrzydliwa. Mnóstwo krwi. Katla doznała rany głowy, kiedy upadła do tyłu i uderzyła w róg stołu, tak jak mówił Lýdur. Jej ciała nie znaleziono przez kilka dni i Hulda aż zadrzała na myśl, jak musiało wyglądać, kiedy na miejscu zbrodni zjawili się pierwsi ludzie.

Według Lýdura Vertulidiego zdradził jego *lopapeysa*. Katla kurczowo go trzymała. Dziwne, ale chociaż na żadnym ze zdjęć nie było tego widać, Andrés w zeznaniach potwierdził ten szczegół i wyjaśnił, że mógł odsunąć sweter, kiedy sprawdzał puls dziewczyny, żeby przekonać się, czy żyje.

Jeśli tak, to jego zachowanie było wysoce niewłaściwe – nie przesuwa się przedmiotów na miejscu zbrodni. Tak, sprawa była coraz jaśniejsza. Hulda będzie musiała zamienić słówko z tym Andrésem.

Na ostatniej stronie grubego pliku papierów znajdował się raport stwierdzający, że aresztant popełnił samobójstwo.

– Jest mi bardzo przykro, że państwu przeszkadzam. – Hulda powiedziała to najłagodniejszym głosem, na jaki było ją stać. Rodzice Klary mieszkali

w Kópavogur, zaledwie parę przecznic od domu Dagura, w domu jednorodzinnym, który wyglądał na wybudowany w latach siedemdziesiątych. – Czy mogłabym zamienić słówko?

Wkrótce po oficjalnym zgłoszeniu śmierci Klary przedstawiciele policji w towarzystwie pastora przyszli powiadomić o tym jej rodziców. Małżonkowie nadal byli w szoku, sądząc po ich wymizerowanym wyglądzie.

– Och... no dobrze, proszę wejść. – Kobieta, prawdopodobnie matka Klary, wyglądała na pięćdziesiątkę ze sporym okładem. Była blada, miała krótkie włosy, nosiła staromodne okulary. – Jestem Agnes. To mój mąż, Vilhjálmur.

– Nie możecie zostawić nas w spokoju? – zapytał po krótkim milczeniu. Mówił z uczuciem, ale ton był przepraszający. – Pani prowadzi dochodzenie w sprawie jej śmierci?

– Tak, zmagam się z tą sprawą – odpowiedziała cicho Hulda. Poszła za małżeństwem do salonu, z miejsca wyczuła atmosferę milczącej rozpacz. Wszystkie światła były wyłączone, zasłony dokładnie zaciągnięte. Hulda poczuła się zakłopotana, że tak obcesowo pakuje się w ich żalobę.

– Czy...? – zapytał chrypliwie Vilhjálmur, odchrząknął i znów zapytał: – Zbliżyliście się do odpowiedzi, jak... spadła?

Taktownie, żeby złagodzić cios, Hulda odpowiedziała:

– Podchodzimy do tego z różnych stron. Możliwe... po prostu możliwe, że odbyła się tam jakaś walka.

Ojciec Klary jęknął.

– Co... Co chciała pani powiedzieć? Walka?

– Jest możliwe, że ją zepchnięto.

– Co? Nie, to nie może być prawda – sprzeciwiła się Agnes. – Nie, ja w to nie wierzę.

– Jak dobrze znała ludzi, z którymi była na wyspie? – spytała Hulda.

– Przyjaźnili się od lat. Kiedy Klara była w szóstej klasie, byli nierozłączni.

– Moglibyście mi powiedzieć, kto należał do tej grupy przyjaciół?

Tym razem ojciec Klary wyprzedził żonę.

– Ci sami ludzie... Dagur i Benni, i Alexandra. I Katla, oczywiście. – Ostatnie imię wymówił ściszym głosem.

– Ach, prawda – przytaknęła Hulda. – Katla. Dziewczyna, która zginęła w West Fjords.

– Chciała pani powiedzieć, została zamordowana – rzekła Agnes. – To było coś

potwornego, przerażającego.

– Moglibyście powiedzieć mi, co się tam stało?

Na to pytanie odpowiedzią było ciężkie milczenie.

Potem matka Klary pokręciła głową.

– Wolałabym nie.

Hulda zawahała się, nie wiedząc, jak mocno może ich przyciskać.

– To nie nasza opowieść – odezwał się wreszcie Vilhjálmur. – Powinna pani porozmawiać z jej... z rodziną Katli.

– Czy Klara i Katla blisko się przyjaźniły?

Kolejne długie milczenie, wreszcie odezwała się matka Klary.

– Były najlepszymi przyjaciółkami.

Hulda czekała, czuła, że padnie więcej słów.

– Wszystko się zmieniło po śmierci Katli. – Kobieta mówiła dalej ściszonego głosem.

– Co chciała pani przez to powiedzieć?

W tym momencie ojciec Klary wstał i lekko położył dłoń na ramieniu żony.

– To nie jest dobry moment – oznajmił. – Chcemy być sami.

Hulda nic nie mogła na to poradzić. Miała nadzieję na coś konkretniejszego, ale naprawdę nie chciała, żeby rodzice Klary dłużej cierpieli.

– Tak mi przykro, że was niepokoiłam – odezwała się, wstając. – Proszę, przyjmijcie moje wyrazy współczucia płynące z całego serca. Postaram się, żeby informowano was o postępach śledztwa.

„Wszystko się zmieniło po śmierci Katli”, powiedziała matka Klary. Teraz Hulda była na sto procent przekonana, że zamordowanie Katli to klucz do rozwiązania sprawy.

Jakie są szanse? Dwie dziewczyny, Katla i Klara, z tej samej paczki przyjaciół zamordowane w odstępnie dziesięciu lat. I to na Islandii, gdzie morderstwo jest rzadkością. Tym razem przyjaciele pierwszej ofiary byli jedynymi ludźmi obecnymi na miejscu zbrodni. Tak, cholera, sprawy trzeba połączyć. Logicznie rzecz ujmując, to nie wystarczy, Hulda musiała dopuścić możliwość, że ten sam zabójca odpowiadał za obie śmierci.

Czy to możliwe? Czy jeden z przyjaciół zamordował obie dziewczyny?

Benedikt? Hulda nie potrafiła go rozpracować. Wiedziała tylko, że nie mówi jej całej prawdy.

Alexandra? Powierzchniowo nieśmiała i nerwowa, ale czy pod spodem nie

mogła być zupełnie inna?

Albo Dagur? Brat Katli. Ten sympatyczny, opanowany młody człowiek, który przetrzymał scenę aresztowania ojca za morderstwo i gwałtownie, wielokrotnie protestował, posuwając się do gróźb wobec funkcjonariusza. Czy to możliwe, że zamordował własną siostrę, a ojciec wziął winę na siebie? A jaką rolę odegrała w tym jego matka? Tak, to kolejna osoba, którą Hulda musi namierzyć.

Nie mogła pozbyć się myśli, że Dagur mógł być winien śmierci Katli. Veturlidi byłby zatem niewinny. Teoria, chociaż szokująca, lepiej trzymała się faktów niż inne wyjaśnienia. Żadne z przyjaciół nie było tak mocno związane z Katlą, jak jej brat. Poza tym miał zapewne dostęp do letniego domu, jak i reszta rodziny. A najważniejsze, że jeśli Veturlidi był niewinny, to mógł popełnić samobójstwo, żeby chronić syna. Ale dlaczego, do diabła, Dagur chciałby zamordować Katłę?

Czas działać, czas wezwać Dagura na formalne przesłuchanie i zostawić go na noc w celi, niech się dręczy. Może to odsłoni jakieś tajemnice z przeszłości.

36

Kiedy Hulda wróciła do wydziału kryminalnego, przywitała ją niepożądana wiadomość, że Lýdur wrócił do miasta i chce się z nią jak najszybciej widzieć. Z ciężkim sercem szła do jego gabinetu, umysł pracował jej na wysokich obrotach, gdy próbowała się domyślić, czego będzie od niej chciał, a najbardziej bała się, że spróbuje wyrwać jej sprawę. Ale przecież to szef Lýdura powierzył jej dochodzenie, i nie słyszało się o detektywie, któremu odebrano sprawę w trakcie śledztwa, chyba że chodziło o złe prowadzenie dochodzenia, albo poważną pomyłkę.

– Cześć – przywitała się raczej chłodno, kiedy weszła do gabinetu Lýdura. Stał, spieczony na raka, bo za mocno się opalił.

– Cześć, Huldo – powiedział i pewnie w odpowiedzi na jej ton, pospieszył z zapewnieniami. – Słuchaj, wróciłem, ale to nie znaczy, że chcę się wepchnąć na twój teren. Nadal kierujesz śledztwem. Jestem tutaj, żeby ci pomóc, gdybyś chciała. W końcu ze swojego dochodzenia sprzed dziesięciu lat znam parę osób w to zamieszanych. Co na to powiesz?

– Świetnie... hm, świetnie – odparła, starając się, żeby zabrzmiało to szczerze.

– Doskonale, doskonale. Wiesz, Huldo, zawsze chciałem z tobą pracować, uczyć się od mistrza, by tak rzec. Właściwie to zdumiewające, że nigdy wcześniej nie pracowaliśmy nad żadną sprawą. – Uśmiechnął się. – A zatem od czego zaczynamy?

– Chcę... chcę wezwać Dagura na formalne przesłuchanie,

– Dobrze, doskonale. Daj mi znać, kiedy przyjdzie, a ja do ciebie dołączę. Zakładam, że będziemy przesłuchiwać go w wydziale?

Kiwnęła głową, chociaż nie była zadowolona z takiego obrotu spraw.

Lýdur najwyraźniej chciał, żeby na niego czekali.

Dagur siedział w pokoju przesłuchań, za stołem naprzeciwko Huldy. Stawił się punktualnie, ale twarz miał pobladłą i nie powiedział ani słowa poza tym, co musiał powiedzieć.

– Przepraszam – rzekła Hulda. – Ale musimy poczekać parę minut, aż mój kolega do nas dołączy.

Dagur kiwnął głową.

Siedzieli w milczeniu, czas im się dłużył.

Wraz z mijającymi minutami Dagur robił się ostentacyjnie coraz bardziej zdenerwowany. Hulda pomyślała, że zwłoka może być rozmyślną taktyką zastosowaną przez Lýdura.

Wreszcie rozległo się lekkie pukanie do drzwi i detektyw wszedł.

– Przepraszam za spóźnienie. Cześć, Dagurze – odezwał się władczo, ale na luzie i wyciągnął dłoń.

Dagur podniósł wzrok i nie podał ręki.

– Co on tutaj robi?

– Zdaje się, że się znacie? – zapytała Hulda.

– Spotkaliśmy się dawno temu, będzie dziesięć lat, prawda? – rzekł Lýdur, cofając dłoń, skoro Dagur najwyraźniej nie chciał jej uścisnąć.

Hulda nie odwracała oczu od Dagura.

Kiwnął głową.

– Och, pamiętam pana. Doskonale pamiętam. To pan aresztował tatę.

– Tak – odparł Lýdur. – Nie było to łatwe dla żadnego z nas.

– Pan wie, że był niewinny – rzucił Dagur z nagłą siłą w głosie.

– Lýdur będzie obecny podczas przesłuchania, Dagurze – włączyła się Hulda głosem kończącym kłótnię. – Bo musimy porozmawiać o tym, co się stało, kiedy zginęła twoja siostra.

Dagur kiwnął głową, nagle opuścił go zapał, jakby już nie miał energii, żeby protestować.

Zanim zaczęli, Hulda przypomniała mu, że ponieważ przesłuchuje się go jako prawdopodobnego podejrzanego, ma prawo do obecności adwokata.

Pokręcił głową.

– Nie zrobiłem niczego złego. – A potem ciszej. – Mój tato też.

– Ty i twoi przyjaciele okłamaliście mnie na wyspie – wypaliła Hulda, zanim Lýdur zdążył zareagować. Postanowiła, że nie da mu szansy na przejęcie przesłuchania.

– Okłamaliśmy panią?

– Nie wspomnieliście, że macie powiązanie z innym morderstwem, sprzed dziesięciu lat.

– Nie pytała pani.

– Czy mieliście coś do ukrycia?

– Nie, wcale nie. Po prostu pomyśleliśmy, że spotkamy się po latach. Niech pani zwróci uwagę, że to dziesięć lat od śmierci Katli. Ale poza tym, wcale nie chodziło o nią. – I dodał raczej nieprzekonująco: – W każdym razie nikt z nas nie miał niczego wspólnego ze śmiercią Katli.

Hulda pozwoliła, żeby po tych słowach zapanowała cisza.

Dagur, jakby przymuszony, dodał:

– Jasne, Katla była moją siostrą i przyjaźniła się z Alexandrą, Klarą i Bennim, ale tylko tyle. Po co wywlekać całą tę historię? To nie ma nic wspólnego z tym, co stało się z Klarą.

– Ale przecież mogłeś o tym wspomnieć, kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy? – zapytała Hulda, chociaż trochę podzielała punkt widzenia Dagura. Rozumiała, dlaczego nie chciał wyciągać przygnębiającego epizodu ze swojej przeszłości.

– Ale my... Ja niczego nie zrobiłem – powtórzył Dagur, ocierając pot z czoła.

– Dlaczego mówisz, że twój ojciec był niewinny?

– Bo był niewinny – odpowiedział silnym głosem. – Wie pani, co oni mówili? Wie pani? Że molestował moją siostrę od lat, potem zabrał ją na wieś i zabił ją! Znałem tatę. Był dobrym człowiekiem. – Dagurowi głos zaczął się załamywać. – Dobry człowiek. Fakt, pił – przestał, ale znowu zaczął, w tajemnicy, ale nigdy nie wyładowywał się na nas. Alkohol nie zmienił go w zwierzę. Sprawił, że stał się bezbronnym, łatwym celem dla policji, która tak spieszyła dochodzenie w tej sprawie. Nie mogli znaleźć nikogo innego, żeby rzucić na niego winę. – Mówiąc to, patrzył wściekle na Lýdura, twarz wykrzywiała mu nienawiść.

Hulda zignorowała ten wybuch i zapytała budzącym zaufanie tonem, jakby gawędziła z przyjacielem.

– Dagur, co się stało w ostatni weekend?

– Nic... nic się nie stało. Zginęła Klara. Ile razy mam pani to powtarzać? To musiał być wypadek.

– Nie uważasz tego za niezwykle zbieg okoliczności? Dwie zaprzyjaźnione ze sobą dziewczyny zostały zamordowane, choćby te zdarzenia dzieliło dziesięć lat? – zapytała Hulda.

– Nie wierzę... – Głos mu zadrżał, ale po chwili znów zyskał na sile. – Nie wierzę, że została zamordowana. Myślcie sobie, co chcecie. Na wyspie było nas tylko czworo. Znam tamtych, znam swoich przyjaciół. Nie są mordercami!

Trzeba było oddać mu sprawiedliwość, jego słowa brzmiały szczerze.

Hulda zrobiła krótką przerwę, potem zapytała:

– Dagurze, jesteś całkowicie pewien, że to nie twój ojciec zamordował Katłę?

– Całkowicie.

– Więc kto to zrobił?

– Niby skąd mam wiedzieć? – Głos mu drżał.

– Może któreś z was, Dagurze?

Gwałtownie pokręcił głową.

– Boże, nie!

– Na przykład Alexandra albo Benedikt?

– Nie... – Ale tym razem nie powiedział tego z całym przekonaniem.

– A może ty, Dagurze?

Ten atak nie mógł go nie zaskoczyć, Dagur drgnął i słabym głosem zaprotestował.

– Nie tknąłem jej palcem...

Hulda przerwała mu.

– Dagurze, powiedzmy, że to uznamy: nie twój ojciec zamordował Katłę, ale był ktoś, kto to zrobił i uszło mu na sucho, a w ubiegłym tygodniu znów zabił. Zabił kogoś, kto był blisko związany z Katlą i także przebywał na wyspie... Muszę ci powiedzieć, że jesteś na początku mojej listy.

Gwałtownie wstał z krzesła.

– Nie może pani mówić tego na serio!

– Obawiam się, że tak. Co o tym sądzisz, Lýdurze? – Hulda odwróciła się i spojrzała na niego.

Spojrzał jej prosto w oczy, minę miał nieprzeniknioną, nic nie powiedział.

– Jacy byli inni główni podejrzani o zabicie Katli, nie licząc Veturlidiego? – podpowiedziała mu Hulda.

– Veturlidi był winien – oświadczył stanowczo Lýdur. – Nie ma sensu szukanie innych. Sprawa przeciwko niemu była niepodważalna.

Hulda znów spojrzała na Dagura.

– Siadaj. Musimy omówić to jak należy.

– Nie ma... nie ma czego omawiać – powiedział Dagur, ale posłuchał i usiadł.

– Dagurze, muszę powiedzieć, że twoje milczenie na temat poprzedniego morderstwa wygląda bardzo podejrzanie. Wszyscy znaliście Katłę, mieliście z nią takie lub inne związki, prawda?

Niechętnie kiwnął głową.

– Musiałeś wiedzieć, że policja uzna to za ważną informację.

– Mówienie o tym sprawiało mi ból, musi to pani zrozumieć. I... i mówiąc szczerze, zakładałem, że o tym wiecie albo wkrótce się dowiecie. Ale związku nie ma, nie może być.

– Wydajesz się bardzo pewien, że twój ojciec był niewinny – powiedziała Hulda, świdrując go wzrokiem. – Czy próbowałeś doprowadzić do ponownego otwarcia sprawy, czy...?

– Czy co? Czy sam przeprowadziłem śledztwo? Wtedy byłem chłopcem. Całą energię, która we mnie była, poświęciłem na wspieranie taty, na wiarę w niego. I jestem z tego dumny. Oczywiście... oczywiście chcę wiedzieć kto... – Przerwał, Hulda zobaczyła, że jest bliski łez. Zakaszał. – Oczywiście, chcę wiedzieć, kto zabił moją siostrę, ale nie sądzę, żebym kiedykolwiek się tego dowiedział. Śmierć... śmierć Katli zburzyła całe nasze życie. Tatę aresztowano, a mama...

Hulda czekała, ale Dagur milczał.

– Co chciałeś powiedzieć o matce? Czy nadal żyje?

– Tak.

– Nie mieszka z tobą?

– Nie, jest w domu spokojnej starości. Po śmierci Katli i taty jakby z wszystkiego zrezygnowała. Wycofała się w siebie. Przestała wychodzić z domu, przestała rozmawiać z ludźmi. Straciła zainteresowanie życiem. Lekarze nie znaleźli żadnej choroby, ale to niczego nie zmienia. Trudno to wyjaśnić...

Hulda skinęła głową.

– Rozumiem. – Po śmierci Dimmy sama stanęła na skraju otchłani, ale postanowiła, po trudnych wewnętrznych zmaganiach, walczyć dalej. Zemścić się, o ile to było możliwe, a potem robić, co się da, żeby żyć swoim życiem. Ale jej dni często bywały puste, w próbach znalezienia sobie zajęcia słychać było dudniące, męczące echo. Ale z uporem trzymała się życia. Nie miała zamiaru się poddawać, bo co dobrego wynikłoby z tego dla kogokolwiek?

– Może wiesz, dlaczego twoja matka tak zareagowała? – zapytała Hulda.

– Co? Nie, albo... właściwie często zastanawiałem się, czy to nie lekarstwa.

– Lekarstwa?

– Tak, dawali jej mnóstwo różnych pigułek po... śmierci Katli i taty... Tak, jak można było się spodziewać, sięgnęła dna. Sam musiałem wszystkim się zajmować – naszymi finansami, domem, wszystkim. Ona po prostu utonęła w depresji,

a lekarze zaczęli pompować w nią mnóstwo pigułek. Próbowali jakoś ją z tego wyrwać. Czasem zastanawiałem się, czy te pigułki nie rujną jej organizmu. Ale może po prostu nigdy nie wydobrzała po urazie psychicznym.

– Czy mogło się tak zdarzyć... – zaczęła Hulda, dyplomatycznie próbując dobrać słowa. – Czy mogło się tak zdarzyć, że wycofała się do innego świata – jeśli tak można to nazwać – bo nie była w stanie przyjąć faktu, że twój ojciec zamordował twoją siostrę?

– Nie! – warknął Dagur. – Bo nie zamordował.

– Przecież nie mówię, że był winny, ale że twoja matka mogła sądzić, że był. Czy to możliwe?

– Nie – zaprzeczył Dagur, ale tym razem już nie tak rozgniewanym głosem. – Ona... ona wierzyła w tatę. Tak jak ja wierzę.

– Czy kiedykolwiek rozmawialiście o tym. Chodzi mi o to, czy był winny?

Dagur pokręcił głową.

– Nie. Byliśmy pewni, że był niewinny. – Zamilkł na chwilę, potem dodał: – Myślę, że to nie jest niemożliwe... nie jest niemożliwe, że miała wątpliwości. Przez niego! – Dźgnął palcem w stronę Lýdura. – On... oni zrobili, co tylko mogli, żeby przedstawić tatę jak najgorzej. Po prostu uznali, że jest winny. A mama była zdruzgotana i zaczęła mieć wątpliwości. Domyślałem się. Nie wiedziała, komu ma wierzyć. – Po policzkach Dagura zaczęły spływać łzy. Zawstydzony starł je rękawem.

– A twoi przyjaciele? – zapytała Hulda po chwili przerwy, kiedy nikt się nie odzywał. – Jaki wpływ miała na nich śmierć Katli? Na Alexandrę, Benedikta i Klarę?

Zanim Dagur zdążył odpowiedzieć, włączył się Lýdur.

– Myślę, Huldo, że teraz przerwiemy – powiedział i tym razem był to bez wątpienia rozkaz. – Moglibyśmy zamienić słówko za drzwiami?

Wstał i Hulda nie miała wyboru, musiała wyjść za nim. Zostawiła Dagura w pokoju przesłuchań.

– Huldo, nie o to chodzi – oznajmił Lýdur stanowczym, ale dość przyjaznym tonem.

– Nie rozumiem.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci dziewczyny na wyspie, a nie sprawę o morderstwo sprzed dziesięciu lat, którą już wtedy rozwiązano. Nie mogę potulnie siedzieć, kiedy podważasz moje ustalenia. A wydaje mi się, że właśnie do tego

zmierzasz, prowadząc w ten sposób przesłuchanie.

Hulda stłumiła chęć wyrażenia sprzeciwu, bo wiedziała, że nie warto. Zaliczył punkt. Poza tym nie miała dobrego powodu, żeby zrażać Lýdura do siebie, a on najwyraźniej brał jej pytania bardzo osobiście.

– Okej – powiedziała po chwili. – Zakończymy to na razie – dodała, przez cały czas myśląc, że chodzi jej tylko o to, żeby mieć ostatnie słowo. – Ale nie puścimy go od razu.

Lýdur nie odezwał się.

– Możemy go zatrzymać na dwadzieścia cztery godziny. Wykorzystajmy to z korzyścią dla nas.

– Naprawdę myślisz, że to jest uzasadnione? – zapytał Lýdur. Nadal mówił spokojnym, racjonalnym tonem.

– Chcę jeszcze raz przesłuchać jego przyjaciół, zanim będzie miał okazję porozmawiać z nimi. I – no dobrze – trochę go nacisnąć. W końcu jest głównym łącznikiem między dwiema sprawami. Musimy wydobyć z niego to, co wie. Mam przecucie, że nie mówi nam całej prawdy.

Lýdur wzruszył ramieniem.

– Doskonale, Huldo, zrób to po swojemu.

Odszedł bez słowa.

Kiedy Hulda znów weszła do pokoju przesłuchań, zobaczyła lęk w oczach Dagura.

– Przepraszam, że musiałeś czekać – odezwała się przyjacielskim tonem. Wcale nie była pewna, czy mają właściwego człowieka. Dagur nie miał łatwego życia i w normalnych okolicznościach pozwoliłaby mu pójść i dalej prowadziła by dochodzenie. Ale chociaż było jej go żal, chciała trzymać się planu, który przedstawiła Lýdurowi. A to dlatego, że już nie mogła się cofnąć. Pewnie nie potrzeba było nawet całej doby, wystarczyłoby parę godzin, chyba że z rozmów z Alexandrą i Benediktem wyszłyby nowe szczegóły, które dałyby podstawy, żeby wnieść do sądu o przedłużenie aresztu.

Powiedziała Dagurovi tak spokojnie, jak tylko mogła, że jest aresztowany, pod zarzutem spowodowania śmierci Klary i że stanowczo zaleca mu wzięcie adwokata.

– Ale ja nic nie zrobiłem! – zaprzeczył rozpaczliwie.

– Mam nadzieję, że szybko uda nam się to wyjaśnić i nie zostaniesz u nas za długo – odparła Hulda. Kiedy to mówiła, wszystko w niej krzyczało, że zatrzymali

niewinnego. Być może tak było też z ojcem Dagura.

37

Zgodnie z życzeniem Huldy Alexandra przyszła do komisariatu. Tym razem Hulda przyjęła ją sama, w pokoju przesłuchań. Lýdur poszedł do domu, trochę się odgrając, że wróci. Wątpiła w to. Pogoda była zbyt ładna, żeby tkwić w czterech ścianach.

– Bardzo dziękuję za przyjście – powiedziała ciepło.

Alexandra ledwie skinęła głową i nerwowo poprawiła się w krześle. Wyraźnie było widać, że się niepokoi.

– Musimy jeszcze raz porozmawiać o tym, co zdarzyło się w ostatni weekend.

Dziewczyna znów skinęła głową.

– Dlaczego we czwórkę pojechaliście na wyspę? – zapytała Hulda już ostrzejszym tonem.

– My... my... po prostu chcieliśmy się spotkać po latach, wie pani... spotkanie po latach... – wyjąkała Alexandra.

– Więc to nie miało nic wspólnego z waszą przyjaciółką Katlą?

– Co?... Ach, tak... umarła przed dziesięciu laty.

– I to był powód ponownego spotkania?

– Tak... Chyba tak.

– Chyba?

– To była wymówka, żeby się spotkać, bo my... my nie widzieliśmy się tak dawno... Pomysł był dobry nawet... i bez Katli.

– Dlaczego wcześniej o niej nie wspomniałaś?

Milczenie.

– Dlaczego, Alexandro?

– Bo...

Hulda czekała cierpliwie.

– Bo wydawało mi się, że chłopcy nie chcą, żeby o tym mówić.

– O?

– Bo ja wiem? Ja tylko... Ja tylko tak pomyślałam, kiedy byliśmy na wyspie, bo

żaden z nich nie wspomniał o Katli, kiedy z panią rozmawiał. – Wyglądała na zdenerwowaną i dalej się tłumaczyła. – Pani... na pewno zrozumie, co? Była siostrą Dagura. To było dla niego niewiarygodnie trudne... i jego ojciec... wie pani o jego ojcu...

– Wiem – przerwała jej Hulda. – Czy rozmawialiście między sobą o winie lub niewinności ojca Dagura?

– Nie, nie bardzo. Nie rozmawialiśmy o tym. To taki trudny temat. Ale wiem na pewno, że Dagur nie wierzył w jego winę, i rozumiem dlaczego. To był przecież jego tato. I Veturlidi był takim czarującym człowiekiem. Dobrze pamiętam tę rodzinę – tacy mili ludzie, Veturlidi i Vera – wspaniali ludzie. Oczywiście, okazało się, że Veturlidi był... że pił... ale nigdy, przenigdy nie byłabym w stanie wyobrazić sobie, że kogoś zamordował, nie mówiąc już o tym, że własną córkę.

– Czy rodzice Dagura byli w dobrych stosunkach? Ze sobą i ze swoimi dziećmi?

– Tak, w naprawdę dobrych. Każdy chciałby mieć taką rodzinę, zawsze wyglądali na takich szczęśliwych... Cała ta sprawa jest totalnie niewiarygodna.

– A teraz znów doszło do morderstwa – rzuciła Hulda, przyglądając się jej uważnie.

Alexandra zamrugła, unikając wzroku Huldy.

– Kolejne morderstwo, ta sama grupa przyjaciół... Nie pomyślałaś, że jednak jest powód, żeby o niej napomknąć?

– Oczywiście, oczywiście, że pomyślałam... Chyba nie myśli pani, że chciałam coś ukryć. – Głos Alexandry drżał. – Ale nie wierzę, po prostu nie wierzę, że ktoś... zepchnął Klarę.

– Alexandro, obawiam się, że musimy to zaakceptować. Pytanie, kto to zrobił?

Hulda mogła mocniej nacisnąć Alexandrę, ale ulitowała się nad nią. Pomyślała, że łagodne obchodzenie się z dziewczyną może teraz mieć sens. Poczekamy, zobaczymy, co się stanie. Jeśli okaże się konieczne, trochę przykręci się śruby.

Ponieważ Lýdur ulotnił się, Hulda postanowiła wpaść do Benedikta po drodze do domu, zamiast wzywać go do komisariatu. Nie sądziła, że dowie się od niego czegoś nowego, ale warto było potrzymać go w napięciu.

Okazało się, że go nie ma. Hulda dzwoniła i stukała do drzwi, ale nikt nie otwierał. Było już po dziewiątej wieczór, więc postanowiła, że na razie zostawi sprawę i zaskoczy go z samego rana. Istniało ryzyko, że Alexandra skontaktuje się z nim i powie, o co pytano ją podczas przesłuchania, ale Hulda miała nadzieję, że nie dojdzie do tego. Odniosła wrażenie, że ci dwoje nie byli szczególnie sobie bliscy.

Kiedy dotarła do domu, ogarnęło ją zniechęcenie, tym większe że zapomniała zjeść kolacji, a w lodówce dosłownie niczego nie było. Burczało jej w brzuchu i przez chwilę myślała o zamówieniu pizzy na wynos, czego jeszcze nie robiła, ale nie chciała nikomu zawracać głowy o tak późnej porze. W końcu zadowolila się jogurtem, który przekroczył o dwa dni datę przydatności do spożycia.

Po szczupłym posiłku nie miała nic do roboty i wpadła na pomysł, żeby zadzwonić do informacji telefonicznej i poprosić o numer Andrésa Andrészona, inspektora policji z Ísafjörður, który przed dziesięciu laty znalazł ciało Katli. Jeszcze nie miała z nim kontaktu i nawet nie wiedziała, czy żyje, ale jego rola w sprawie Veturlidiego zainteresowała ją. Trzeba łapać okazję i trochę pogrzebać, żeby dowiedzieć się, czy był jakiś związek między dwoma zgonami. Andrés mógł być właśnie tym człowiekiem, który rzuci światło na sprawę.

Telefon długo dzwonił, zanim ktoś go odebrał.

– Tak – powiedział mężczyzna. Odchrząknął i powtórzył. – Tak, halo? – Głęboki, ochryply głos.

– Andrés Andrészon?

– Tak, przy telefonie – odpowiedział szorstko.

– Nazywam się Hulda Hermannsdóttir, dzwonię z wydziału kryminalnego w Reykjavíku – przedstawiła się i postanowiła, że nie będzie przeproszać za telefon o tak późnej porze.

– Co... wydział kryminalny, mówisz? He? Coś się stało?

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Pomyślałam, że mogłabym zamienić z tobą słowo na temat starej sprawy. Rozmawiam z właściwą osobą, prawda? Ty jesteś inspektorem policji z Ísafjörður?

– Tak... to znaczy, byłem inspektorem. Teraz jestem na emeryturze.

– Rozumiem. Cóż, jestem pewna, że pamiętasz tę sprawę. To było dziesięć lat temu. Na twoim terenie, w letnim domu znaleziono martwą młodą dziewczynę.

Po drugiej stronie zapadła cisza i Hulda myślała przez chwilę, że tamten odłożył słuchawkę.

– Jesteś tam jeszcze?

– Tak.

– Pamiętasz tę sprawę?

– Pamiętam ją – odparł powoli, ciężkim głosem.

– Chciałam tylko zapytać...

Przerwał, zanim dokończyła.

– Dlaczego? – Potem ostrzej: – Dlaczego to wywelekasz?

– Bo to jest związane ze śmiertelnym wypadkiem, który zdarzył się w ostatni weekend.

– Aha? Jaki to wypadek?

– Dziewczyna spadła z wysokości i zabiła się na Elliðaey.

– Jak... Co to za związek?

– Tak się składa, że zmarła była przyjaciółką Katli, tej, która...

– Tak, do cholery, pamiętam, jak miała na imię.

– No to świetnie – powiedziała Hulda, nadal uprzejmym tonem. – Znały się. Była na wyspie z trojgiem przyjaciół, wszyscy w ten czy w inny sposób powiązani z Katlą.

– Mówisz na poważnie? – zapytał roztrzęsionym już głosem.

– Tak i aresztowaliśmy jedno z nich. Nazywa się Dagur Veturlidason.

– Veturlidason? Syn...

– Tak, syn Veturlidiego.

– Ale jakie tu jest powiązanie? Chyba nie sądzisz...? – Zamilkł.

– Oczywiście – powiedziała – najprawdopodobniej nie zrobiła tego ta sama osoba.

Andrés nie zareagował.

– Bo, jak na pewno wiesz – mówiła dalej – Veturlidi popełnił samobójstwo wkrótce po zabiciu swojej córki.

– Do cholery, nie musisz mi tego mówić. Ale... Słuchaj, nie chcę o tym rozmawiać. Poczytaj sobie o tym w aktach.

Odłożył słuchawkę.

Jego grubiaństwo trochę zaskoczyło Huldę. Dlaczego zareagował w ten sposób? Pomyślała, że jeszcze raz zadzwoni, ale nie wydawało się to za mądre. Nie tak od razu. Może powinna poczekać, aż on ochłonie, i spróbować później.

A może po prostu nadepnęła mu na odcisk, bo zadzwoniła tak późno wieczorem.

Nie wiedziała dlaczego, ale intuicja znów jej podpowiadała, że trzymają w celi niewłaściwego człowieka. Zaczęła myśleć o Dagurze, o tym, jak musi się czuć. Zastanawiała się, czy może popełniła błąd, nastawiając się na aresztowanie go i zamknięcie na dołku tylko dlatego, żeby popisać się przed Lýdurem... Do diabła.

Co prawda nic nie mogło jej powstrzymać przed wypuszczeniem chłopaka, ale byłaby to oczywista oznaka słabości. Nie, niech będzie, jak jest. I nadal czekała ją kolejna rozmowa z Benediktem.

Przed pójściem spać Hulda wyjęła kopertę, którą przysłał jej Robert. Trzymała ją w bezpiecznym miejscu, w komodzie, w salonie. Od wizyty w Ameryce minęły dwa miesiące. Kiedy dowiedziała się, że jej ojciec nie żyje, poprosiła jego imiennika o drobną przysługę: żeby przysłał jej zdjęcie ojca, stare albo nowe, to nie miało znaczenia. Robert odpowiedział, że o ile pamięta nie ma żadnych zdjęć, ale obiecał, że zrobi wszystko, żeby jakieś znaleźć. Trochę ponad miesiąc później ze Stanów dotarła do niej koperta. Nie wyglądała okazale, ale jej zawartość okazała się dla Huldy bezcenna. Zdjęcie nie było oryginałem, ale dobrą kopią starej fotografii przedstawiającej mężczyznę w mundurze. Oto był on, we własnej osobie: ojciec Huldy. Młody człowiek, zaledwie trzydziestolatek, wyjątkowo przystojny, o gęstych, falistych ciemnych włosach. Uśmiechał się bardziej oczami niż ustami i spoglądał w bok, a nie w oczy córki. Co wieczór Hulda wyjmowała zdjęcie, żeby na nie popatrzeć, a łzy mrowiły się jej pod powiekami. I myślała, jak mogłoby wyglądać jej życie, gdyby знаła ojca od narodzin. Może przeprowadziłaby się do Ameryki, nie spotkałaby Jóna, nie urodziła Dimmy, nie doświadczyła smutku, który teraz określał jej życie...

Obudziło ją głośnie dzwonięcie.

Szybko zareagowała, bo nie spała zbyt głęboko, wyskoczyła z łóżka i pobiegła do telefonu.

– Hulda, musisz tu przyjechać. – To był Lýdur.

Zaniepokoiła się. Jakoś tak się złożyło, że pierwsze pytanie, które pojawiło się jej w głowie brzmiało: czy coś się stało Dagurovi?

Ale zapytała tylko.

– O co chodzi?

– O Dagura. Zupełnie zwariował. Musieliśmy wezwać lekarza. Kraty źle działają mu na głowę. Udało się nam trochę go uspokoić, ale nalega na rozmowę z tobą. Nie chce mówić ze mną... to musisz być ty. Nadal nie jest zbyt... hm... szczęśliwy z tego powodu, że kiedyś aresztowałem jego ojca.

– Okej, zaraz tam będę. – Odłożyła słuchawkę i zaczęła szybko się ubierać.

Chcę rozmawiać tylko z panią. Niech on stąd wyjdzie – powiedział wyzywającym głosem.

Hulda nie miała zamiaru pozwolić, żeby zatrzymany dyktował warunki.

– Lýdur zostaje Dagurze. Bez dyskusji. Chciałeś ze mną rozmawiać. Co masz do powiedzenia? – Siedzieli w pokoju przesłuchań.

Dagur przez chwilę uparcie milczał, wreszcie wybuchnął.

– Ja... nie mogę tego zrobić... Nie dam sobie rady w areszcie! Ja po prostu... ciągle myślę o moim tacie, o tym czasie, kiedy aresztowano go na moich oczach. Skończył w takiej celi jak ta i nie wytrzymał tego. Jakoś udało mu się zdobyć ten cholerny pasek i powiesił się. Nie mogę tu oddychać... czuję, że się duszę.

– Współczuję ci Dagurze, wiem, że to nie jest łatwe. Ale o ile zrozumiałam, to chcesz nam powiedzieć coś nowego.

Znów milczenie.

– Tak.

Hulda czekała.

– Nie chciałem o tym mówić... ale muszę wydostać się z tej celi. Nie wytrzymam tutaj! – Mówił głosem graniczącym z histerią.

Wszyscy milczeli.

– Chodzi o Benniego – zaczął wreszcie Dagur. – Oczywiście, nawet przez chwilę nie chciałbym narobić mu problemów. Jesteśmy... byliśmy przyjaciółmi... – Przerwał. – Nie wiem, czy pani o tym wspomniał, ale on był z Klarą w ten wieczór, kiedy zginęła. Nie chciała pójść do łóżka, więc zaproponował, że zostanie z nią trochę dłużej. Nie wiem, co robili ani jak długo z nią był...

– Interesujące – powiedziała Hulda. – Słyszę to po raz pierwszy.

– Oczywiście, to nie musi znaczyć, że on... że on...

– Oczywiście, że nie – zgodziła się Hulda.

– Ale jest coś innego. Chcę pani powiedzieć o czymś znacznie ważniejszym. Kiedy pani zaszła do Benniego i znalazła tam mnie, wpadła pani w sam środek

awantury o...

– O co? – zapytał ostrym głosem Lýdur.

– Z nią rozmawiam, nie z panem – odparł Dagur i ostentacyjnie odwrócił się w stronę Huldy. – Kiedy byliśmy na wyspie, Benni zaczął mówić o mojej siostrze i powtórzył starą historię, którą Katla lubiła opowiadać. O jednym z naszych przodków spalonym na stosie i powracającym jako duch. Katla podobno go wyczuwała. Sam nie raz to słyszałem. Ale nie pamiętam, żeby mówiła o tym Benniemu. Rozumie pani, ona zawsze to opowiadała, kiedy byliśmy w West Fjords, w letnim domu. Moja siostra lubiła z wszystkiego robić dramat. Cała rzecz była wymyślona, to oczywiste. Owszem, spalono go na stosie, ale letni dom nie był nawiedzony. Katla uwielbiała opowiadać gościom, że jest, i dla efektu przesadzała. I nagle Benni mówi, że słyszał tę historię. Ale o ile wiem, Benni nigdy nie był w letnim domu. Więc naskoczyłem na niego, żeby dowiedzieć się, kiedy mu to opowiadała, a ten drań zaczął się wykręcać. I wtedy zrozumiałem...

Przerwał na krótko i znów zaczął mówić.

– Wtedy zrozumiałem, że był tam z nią, kiedy zginęła. Rzuciłem się na niego, gdy przyszedłem na spotkanie. Właśnie o to się kłóciliśmy. On nie zaprzeczał, ale i nie potwierdzał tego. Najwyraźniej nie potrafił kłamać w żywe oczy. A pan... – Przerwał i wściekle spojrzał na Lýdura. – Pan aresztował nie tego człowieka. Przez cały czas to mówiłem. Bo jeśli Benni tam był z Katlą, mojego taty nie mogło tam być. A to znaczy, że możliwe... – Zawahał się. – Nie znoszę myśli o tym, ale to możliwe, że Benni zabił moją siostrę. – Zakrył twarz rękami, oddychał szybko i nierówno. Kiedy znów podniósł wzrok, nie był w stanie powstrzymać łez.

40

Policjanci z wydziału kryminalnego pojechali do mieszkania Benedikta, żeby przywieźć go na przesłuchanie. Potem Hulda miała zdecydować, czy wypuści Dagura. Tymczasem z litości zatrzymano go poza celą. Siedział w pokoju narad pilnowany przez młodego policjanta.

Lýdur, który wyglądał, jakby przybyło mu energii życiowej, nie zamierzał wychodzić. Razem z Huldą siedzieli naprzeciwko Benedikta w pokoju, w którym przesłuchiwali Dagura. Ta sama sytuacja, inny człowiek. Kto wie, czy nie położyli teraz ręki na właściwej osobie? Na człowieku winnym być może więcej niż jednego morderstwa.

– Czego ode mnie chcecie? – Benedikt zapytał po raz trzeci. Hulda jeszcze nie odpowiedziała. Czekwała na właściwy moment, żeby zacząć rozmowę. Ale teraz podniosła wzrok znad stosu papierów leżących przed nią, wyjaśniła Benediktowi sytuację i przeczytała mu jego prawa. Podobnie jak Dagur, Benedikt odmówił proponowanego mu adwokata i powiedział, że jest niewinny, a cała sprawa, to „jakieś cholernie głupie nieporozumienie”.

– A tak przy okazji, gdzie byłeś dziś wieczorem? – zapytała Hulda. – Wpadłam do ciebie z wizytą, ale nie było cię w mieszkaniu.

– Wyszedłem na piwo. Czy to zakazane?

– Benedikcie, o ile wiem, w sobotni wieczór, kiedy inni poszli spać, ty zostałeś z Klarą na dole. – Uważnie obserwowała jego reakcję.

Nie widać było po nim, że dał się wziąć z zaskoczenia.

– Tak, na krótko. Na jeszcze jednego drinka. Nie chciałem zostawiać jej samej.

– Nie mówiłeś nam o tym.

– Nie sądziłem, że to ważne.

– Jesteś ostatnim, kto widział ją żywą.

– Co, na poważnie myślicie, że to ja ją zabiłem? Nie zabiłem jej! – Mówiąc to, uniósł głos.

– O czym rozmawialiście?

– O Boże, nie pamiętam. Jakieś pijane brednie. Oboje byliśmy trochę nawaleni. Po kolejnej szklaneczce poszedłem na górę, do łóżka. Może to był kwadrans, może pół godziny, mniej więcej tyle. Nie spieszyłem się za bardzo, bo chciałem dać szansę Alexandrze i Dagurowi na... no wie pani, żeby mieli trochę luzu.

– Czy coś między nimi zaszło?

– Nie, ale kiedy byli młodszy coś między nimi iskrzyło. Zawsze szalała na jego punkcie. Myślę, że się w nim kochała. Ale nie sądzę, żeby do czegoś doszło. W końcu jest mężatką, nie pozwoliłaby sobie na to. A Dagur zawsze był taki uprzejmy i nieśmiały.

– Już spali, kiedy wróciłeś do łóżka?

– Tak. W oddzielnych łóżkach. Było cicho.

– A Klara? Zostawiłeś ją samą na dole?

– Tak. Chciała wyjść na spacer, żeby przewietrzyć głowę i nacieszyć się pięknem przyrody. Nie mogłem jej powstrzymać.

– I co dalej? – zapytała Hulda.

– Dalej? Zasnąłem, byłem wykończony. Jak pani wielokrotnie mówiłem, nie wiem, co się działo.

Hulda upiła łyk wody i udawała, że kartkuje dokumenty, które przed nią leżały. To była chwila, żeby zacząć przesłuchanie na wyższych obrotach.

– Chcę porozmawiać z tobą o Katli.

Tym razem Benedikt wyraźnie się zdenerwował.

– O Katli? – Przerwał. I znów: – O Katli?

– Tak. Zakładam, że ją pamiętasz.

– Oczywiście, że ją pamiętam. Po prostu nie rozumiem, dlaczego porusza pani tę sprawę. Minęło dziesięć lat, odkąd... odkąd... umarła. – Było jasne, że to dla niego trudny temat.

– Dziwi mnie bardzo, że żadne z was nie wpadło na myśl, żeby o niej wspomnieć

– Hulda odezwała się rzeczowym tonem. – Bardzo przyspieszyłoby sprawę, gdybym wiedziała, że wszyscy mieliście powiązania z wcześniejszym morderstwem.

– Ależ nie mieliśmy nic wspólnego z tym morderstwem. Dlaczego, do diabła, tak pani myśli?

– Och, wydawało mi się, że byliście przyjaciółmi – ty, Dagur, Alexandra, Klara i Katla?

– Tak, oczywiście, ale co to ma do rzeczy?

– A ty i Katla, czy nie byliście...?

Benedikt szybko odwrócił wzrok, a kiedy znów spojrzął na Hulcę, domyśliła się z jego miny, że trafiła w sedno, a raczej, że Dagur to zrobił.

Ale Benedikt nie odpowiedział.

– Spotykaliście się z Katlą?

– Nie – odpowiedział nieprzekonywająco. – Nie wiem, skąd wziął się ten pomysł albo dlaczego... dlaczego miałbym odpowiadać na takie pytanie. To sprawa osobista.

– Czy kiedy umarła byliście razem w letnim domu?

Benedikt opuścił wzrok i nagle, bez ostrzeżenia, zasłonił twarz dłońmi. Nie powiedział ani słowa, cisza trwała długo. Hulcie się nie spieszyło.

W końcu Benedikt opuścił dłonie, podniósł wzrok i pokiwał głową.

41

Hulda miała trochę współczucia dla Dagura, a przynajmniej rozumiała człowieka, który załamał się pod ciężarem przesłuchania. Teraz, kiedy Benedikt znalazł się w takiej samej sytuacji, patrzyła na jego udrękę z chłodnym dystansem. Może dlatego, że Dagura łatwiej było polubić niż Benedikta. Może było jej żal Dagura ze względu na tragedie, które przecierpiał. Stracił siostrę w strasznych okolicznościach, potem ojca w podobny sposób, a teraz praktycznie tracił matkę. Był sam na świecie, tak jak Hulda.

– Myślę... myślę, że chcę adwokata, o którym wcześniej pani mówiła – wydusił z siebie w końcu Benedikt.

Hulda wstała.

– Oczywiście.

– Ale nie zrozumcie tego źle: ja jej nie zabiłem.

Hulda spojrzała na Lýdura, ale on siedział z niezmaconym spokojem.

– Mam teraz sprowadzić dla ciebie adwokata czy wolisz dalej z nami rozmawiać? – zapytała.

– Z adwokatem porozmawiam później. Po prostu nie chcę, żebyście pomyśleli, że ją... zabiłem.

– Kogo?

– Katłę oczywiście.

– A Klarę?

– Klarę? Nie, jej też nie zabiłem! – Teraz krzyczał. – Przysięgam, nikogo nie zabiłem.

– Ale byłeś w letnim domu z Katlą? – zapytała ostro Hulda, nie dając mu czasu do namysłu.

– Tak... tak, słuchajcie... – Znów zasłonił twarz rękami. Kiedy je zdjął, po policzkach płynęły mu łzy.

– Dlaczego, do diabła, nie powiedziałeś nam tego wcześniej? – włączył się Lýdur, bijąc ręką o stół. – Okłamujesz nas chłopcze?

– Okłamuję...? Nie, ja... zrozumcie, kochaliśmy się, ja i Katla. To był nasz pierwszy weekend za miastem, dopiero co się zesłiśmy, jeszcze nikt nie wiedział. To była... to była nasza tajemnica. Ale...

Przerwał, przez chwilę nie był w stanie mówić, potem z drzeniem wciągnął powietrze i dokończył:

– Poszedłem na spacer. To było rano, następnego dnia po przyjeździe. Szedłem doliną, szedłem długo, nie spieszyłem się, bo Katla wylegiwała się, a ja chciałem dać jej mnóstwo czasu, żeby się wyspała. Nie wiem, jak długo nie było mnie w chacie, pewnie jakieś trzy godziny, bo w drodze powrotnej zatrzymałem się przy wannie z gorącą wodą. Nie, nie wannie, chodzi mi o naturalny staw, gorące źródło...

Hulda kiwnęła głową, zachęcając go, żeby mówił dalej.

– I... – Wziął gwałtownie oddech, łzy spływały mu po twarzy. – Boże, jaka to ulga, móc wreszcie komuś powiedzieć, po tylu latach. Dagur odkrył to w ostatni weekend... Rozgryzł to... Ale... rzecz w tym, że kiedy wróciłem do letniego domu, ona tam leżała, nie żyła... – Głos mu się załamał. Powtórzył. – Nie żyła...

– Czy pokłóciliście się. Pobiliście się?

Pytanie Huldy jakby oszołomiło Benedikta.

– Bójka? Boże, nie. Nie, nic jej nie zrobiłem. Palcem bym jej nie tknął. Nigdy. Musicie zrozumieć. Musicie mi uwierzyć.

– Dziesięć lat temu nie ujawniłeś się – wciął się Lýdur, groźnie marszcząc brwi. – Skąd mamy wiedzieć, że teraz mówisz prawdę?

– Oczywiście, że mówię prawdę. Dlaczego miałbym kłamać?

Tym razem Hulda odezwała się przed Lýdurem.

– Czy widziałeś kogoś w okolicy?

– Nie. Byliśmy sami. Ale najwyraźniej musiał tam być ktoś jeszcze. To było jesienią, więc noce były ciemne, a letni dom był dobrze ukryty. Niekoniecznie można było zobaczyć, że ktoś nadjeżdża. Stamtąd, gdzie byłem, wyżej, w dolinie nie widziałem żadnego samochodu. Było za daleko. Ale ktoś tam był... ktoś przyjechał do letniego domu i zabił Katłę. Od tamtej pory myślałem o tym w każdy... Chryste, w każdy dzień mojego życia. Mimo wszystko pomyślałem, że musiał to zrobić Veturlidi, bo policja była taka pewna, że ma właściwego człowieka. Musiałem wierzyć, rozumiecie? Musiałem...

Załamał się, płakał, szlochał rozdzierająco, ale upierał się.

– Bo jeśli nie zrobił tego Veturlidi, to znaczy, że popełnił samobójstwo przeze

mnie... przez to, czego nie powiedziałem, bo bałem się, że zostanę oskarżony. Nie śmiałem... Byłem taki młody, po prostu głupi chłopak... Wszystko narastało lawinowo. Zrozumcie, myślałem, że wypuszczą Veturlidiego, bo wiedziałem, że nie było go tam z Katlą, chyba że pojawił się niespodziewanie... Wiedziałem, że policja popełniła błąd, ale mijały dni i tygodnie, a mi było coraz trudniej się ujawnić. Nie miałem... nie miałem odwagi. I do tej pory czuję się odpowiedzialny za śmierć Veturlidiego. Widzę go po nocach, w snach, widzę Dagura, biednego Dagura... I widziałem wczoraj nienawiść w jego oczach. Wiedział, że kłamałem, a to znaczy, że byłem częściowo odpowiedzialny za samobójstwo jego taty. A przez śmierć taty jego mama straciła chęć do życia... Stracił ich oboje. Wszystko przeze mnie.

Po tych słowach zamknął się i więcej już nic nie powiedział.

Hulda próbowała nakłonić go do mówienia, ale nie udało się jej. W końcu powiedziała mu, że zabiorą go do celi i skontaktują z adwokatem: po tych zeznaniach nie mogą już go wypuścić. No i Lýdur miał rację: chłopak raz skłamał, co go powstrzyma przed kolejnymi kłamstwami?

Może złapali zabójcę Klary?

I nie tylko Klary, Katli też. Jeśli tak, pomyślała niezyczliwie Hulda, to największy triumf śledczy Lýdura nagle zmieni się w sromotną porażkę.

W tych okolicznościach można było zrobić tylko jedno, wypuścić Dagura i skierować reflektor na Benedikta. Musieli ustalić ponad wszelką wątpliwość, czy Benedikt mówił prawdę o wydarzeniach, które skończyły się śmiercią Katli.

Myśl, że Veturlidi mógł zostać niesłusznie oskarżony i że to doprowadziło bezpośrednio do jego samobójstwa, była głęboko niepokojąca. Byłoby niedopowiedzeniem, gdyby stwierdzić, że rewelacje Benedikta zestresowały Lýdura. Od przesłuchania był skrajnie roztrzęsiony, nie dawał Huldzie spokoju potrzebnego do skupienia się na śledztwie.

Z samego rana planowano wezwać Alexandrę na kolejne przesłuchanie. Na tym etapie śledztwa nie warto było wracać do domu, żeby położyć się do łóżka, więc Hulda urządziła sobie kilkugodzinny odpoczynek na kanapie w swoim gabinecie, zresztą nie po raz pierwszy. Było to jak zwykle niewygodne przeżycie, bo kanapa była za krótka, żeby się na niej wyciągnąć.

Huldzie udało się jednak przekimać parę godzin. Rano obudził ją telefon. Okazało się, że to policyjna telefonistka.

– Huldo, mam na linii człowieka, który chce z tobą porozmawiać. Podawał twoje nazwisko. To Andrés Andrésson. Przełączyć go?

– Andrés? O tak, proszę – powiedziała, starła sen z powiek i przeciągnęła się. – Halo, tu Hulda Hermannsdóttir.

– A, cześć Huldo. – Tym razem mówił znacznie mniej szorstkim tonem. – Przepraszam, że cię fatyguję. I... przepraszam, że tak się wczoraj z tobą obszedłem, ale twoje pytania całkowicie mnie dezorientowały. Zrozum, minęły lata, odkąd rozmawiałem o tej sprawie.

– Nie trzeba przepraszać – stwierdziła, czekając, aż powie dlaczego dzwoni.

– Myślałem, czy nie moglibyśmy się spotkać.

– Spotkać? Dlaczego?

– Hm, są pewne fakty, na które chciałbym zwrócić twoją uwagę. Jeśli to możliwe twarzą w twarz. – Mówił to nerwowym tonem.

– Przyjeżdżasz w najbliższym czasie do miasta?

– Nie. I w tym rzecz. Myślałem, że może ty byś tutaj przyjechała. Całą... całą noc nie spałem. Naprawdę myślę, że czas już się przyznać. Powiedzieć komuś o tym. Może byś tu przyleciała?

– To może być trudne – oznajmiła, ale zanim odłożyła słuchawkę, obiecała, że o tym pomyśli.

Ostatnia rzecz, na którą miałyby teraz ochotę, to rzucić wszystko i pojechać kawał drogi do West Fjords, ale coś jej mówiło, że Andrés może wiedzieć o czymś ważnym. Dobór słów, ton, fakt, że poprosił ją o przyjazd, zamiast mówić o tym przez telefon...

Cholera, pomyślała, wybrała jego numer i oddzwoniła.

– Halo, tu znowu Hulda. Jednak przyjadę. Kiedy jest najbliższy samolot?

– Lot jest o dziewiątej. Jeszcze zdążysz.

Westchnęła.

– No dobrze. Spróbuję.

Hulda nie była przyzwyczajona do latania. Kiedy wybierała się w góry, zawsze jechała swoją starą skodą albo autobusem. Lata minęły, odkąd ostatni raz leciała do Ísafjörður, a wtedy warunki były koszmarnie, sam środek zamieci, ale teraz pogoda była dobra i lot przebiegał gładko. Widok na West Fjords był wspaniały, wielkie góry o płaskich szczytach spadały prosto do głębokich fiordów, a na północy widoczny był niezamieszkaną półwysep Hornstrandir nadal biały od śniegu. Skalista ziemia pod samolotem skończyła się, jakby wycięta nożem, a na końcu zielonej doliny Hulda zobaczyła niebieski fiord i stare miasto Ísafjörður przyklepione do wąskiej mierzei i nowsze osiedla, geometryczny wzór ulic i domów, położony trochę dalej, przy ujściu fiordu. Samolot zaczął wytracać wysokość, siadał pod na pozór niewyobrażalnym kątem. Hulda wstrzymała oddech i przygotowała się, wpijając się w podłokietniki, kiedy zaczęli spadać prosto na zbocze góry. Widziała tylko skalną ścianę pokarbowaną żlebami, pokrytą piargami i jezorami zieleni. Miała serce w gardle, bezsilnie próbowała hamować stopami, aż w ostatniej, na pozór chwili, samolot zrobił jeszcze jeden zwrot. Zobaczyła drogę biegnącą jak wstążka wzdłuż fiordu i pas startowy na wąskim pasku lądu między górą a morzem. Wyglądał na zatrważająco krótki. Zamknęła oczy, wszystkie mięśnie miała napięte, ale wylądowali z zaledwie jednym podskokiem i podkołowali do małego terminalu, który wydawał się jeszcze mniejszy na tle

olśniewającej scenerii.

Andrés okazał się niskim, korpulentnym mężczyzną w okularach. Był prawie całkowicie łysy, nie licząc grzywki siwych włosów. Nie zawiózł jej do miasta, ale zaproponował, że zabierze ją tam, gdzie zginęła Katla. Hulda zgodziła się, bo z początku nie wiedziała, jak daleko jest tam z Ísafjörður. Z początku próbowała wycisnąć z niego, o co chodzi, ale nabrał wody w usta i mówił tylko, że wszystko wyjaśni, kiedy dotrą do letniego domu.

W zwyczajnych okolicznościach Huldzie podobałaby się ta podróż, mimo wyboistych, zwirowanych dróg. Jechali to bliżej, to dalej z rzadka zamieszkanymi fiordów, wzdłuż południowego wybrzeża Djúp, prostych form górskich i niskich, zielonych wysp Æðey i Viðey, które stanowiły malownicze tło. Wiedziała z mediów, że ostatnie dwie farmy na północnym brzegu Djúp zostały niedawno opuszczone i cały północny półwysep West Fjords, od Hornstrandir do Snæfjallaströnd jest niezamieszkaany. Zawsze chciała przyjechać tu na pieszą wędrówkę. Teraz próbowała zaplanować wycieczkę na następne lato, ale nic z tego nie wychodziło. Była w stanie myśleć tylko o tym, co powie jej Andrés, i o powrocie do komendy, żeby podjąć dochodzenie w miejscu, w którym je przerwała.

Czas się dłużył, słońce wzeszło, zebrały się niskie, szare chmury, a krajobraz robił się coraz bardziej ponury. Jechali już godzinę, wreszcie zniecierpliwiona Hulda zapytała Andrésa, ile jeszcze im zostało, a on odparł, że dolina będzie za ponad pół godziny. Okazał się nie tylko małomówny, ale puszczał też kasetę z operą.

– *Turandot* Pucciniego – odparł zwięźle, kiedy Hulda zapytała, co to jest.

Lýdur był zaskoczony i bardzo mu się nie podobało, kiedy Hulda powiedziała mu, że wybiera się na krótką przejażdżkę do West Fjords, żeby porozmawiać z Andrésem. Próbował się dowiedzieć, czego chce Andrés, ale powiedziała, zgodnie z prawdą, że nie wie. Potem Lýdur robił, co było w jego mocy, żeby odwieść ją od wyjazdu, twierdząc, że to strata czasu i że powinna całą energię poświęcić śledztwu w sprawie śmierci Klary. Nie po raz pierwszy Hulda sprzeciwiła mu się i uparła się przy swoim. Spokojnie powiedziała mu, że już zarezerwowała bilet i nie ma zamiaru wycofać się z tego, co obiecała Andrésowi. Lýdur wreszcie ustąpił. Zmienił taktykę i złowieszczo oświadczył, że „zajmie się jej sprawami” pod jej nieobecność i przesłucha Alexandrę, a może po raz kolejny przesłucha Benedikta. Teraz Hulda, wieziona na pustkowie, mogła myśleć tylko

o jednym, o co chodziło Lýdurowi. Nie wiedziała, co będzie gorsze: to, że spartaczy jej dochodzenie, czy to, że rozwiąże sprawę pod jej nieobecność.

Kiedy Andrés i Hulda wreszcie dotarli do doliny i pojechali wyboistą drogą w stronę letniego domu, natychmiast zauważyła, że Benedikt przedstawił bardzo wierny opis okolicy. Domu nie było widać z parkingu, więc zapewne nie można było zauważyć kogoś, kto podchodziłby od strony drogi.

– Pięknie tu jest – zauważyła, kiedy wysiedli z samochodu.

– Było pięknie – powiedział ponurym tonem Andrés. – Teraz, kiedy tu przyjeżdżam, widzę tylko martwą dziewczynę. Pamiętam ją, jakby to było wczoraj.

– Czy teraz ktoś korzysta z letniego domu?

– Nie sędzę. O ile wiem, nadal należy do rodziny, ale nie słyszałem, żeby po tym, co się tutaj stało, przyjeżdżali tu jacyś goście. Ale możliwe, że ludzie korzystają z chatki. Leży w tak ustronnym miejscu, że miejscowi raczej by nie zauważyli.

– Jeden z przyjaciół Katli wspomniał, że niedaleko jest gorąca sadzawka. To prawda?

– Tak, ale to kawałek drogi. Stąd nie widać.

– Czy można zobaczyć z sadzawki, jak ktoś jedzie drogą do domu?

Andrés pokręcił głową.

– Nie, stamtąd nie widać. Dlaczego pytasz?

– Tylko próbuję zmierzyć się z geografią.

Podeszli do chaty zbudowanej w kształcie litery A i zatrzymali się przed nią. Wyglądała na zaniedbaną. Andrés najwyraźniej nie miał ochoty podchodzić bliżej.

– Możesz... – Zakaszłał i znów zaczął. – Możesz popatrzeć przez okno, jeśli masz ochotę. Ja raczej tego nie zrobię.

Hulda przetarła brudną szybę w oknie przy drzwiach i zajrzała do środka. Próbowała wyobrazić sobie scenę, którą widziała na zdjęciach zrobionych przed dziesięcioma laty. Nie wyczuwała duchów, które najwyraźniej nawiedzały Andrésa, ale widok miejsca, w którym popełniono morderstwo, sprawiał, że wydarzenie stało się dla niej bardziej realne.

Przez lekkie, letnie ubranie poczuła chłód wiatru. Nad doliną zawisła deszczowa chmura. Kontrast z falą upału, którą zostawiła w Reykjavíku, nie mógł być bardziej wyrazisty i przypominał jej, że tutaj, na odległym północnym zachodzie, arktyczne kry często dryfują blisko brzegu, dysząc zimnym oddechem w stronę lądu. Zadrzała.

– Jest coś, o czym chcę ci powiedzieć – powiedział w końcu cichym tonem Andrés. – Myślę, że to dobre miejsce, żeby to zrobić, z szacunku dla tych, którzy umarli.

– Dla tych, którzy umarli?

– Dla Katli i jej ojca. Zrozum. Czuję się po części odpowiedzialny za to, co się z nim stało.

– Jak to możliwe? – zapytała zdumiona Hulda.

– To długa historia – odparł. – Cóż, może nie aż tak długa. Nie sądziłem, że komukolwiek ją opowiem. Chciałem zabrać ją do grobu, ale kiedy zadzwoniłaś i powiedziałaś, że prowadzisz śledztwo w sprawie, która może być powiązana z zamordowaniem Katli, zrozumiałem, że nie mam odwrotu. Muszę naprawić to zło, które się wydarzyło. I zrozum, myślę, że bez względu na to, co się stanie, tej nocy będę spał lepiej, niż sypiałem prawie przez dziesięć lat.

– Andrés, powiedz mi, co się stało.

Stali twarzą w twarz w zimnym letnim wietrze, pod złowrogą chmurą.

– To wszystko wina Lýdura. Zakładam, że wiesz, kto to jest?

– Tak.

– Poprosił mnie, żebym skłamał.

– Poprosił cię, żebyś skłamał? – Hulda nie wierzyła własnym uszom. Zawsze wiedziała, że Lýður jest bezlitośnie ambitny, ale jeśli taka była prawda, znaczyłoby to, że przekroczył linię, której policjantowi przekraczać nie wolno.

– Tak. Najpierw uprzejmie, potem posunął się zbyt daleko. Nie miałem zamiaru ustąpić, wiedziałem, że tak nie wolno. Chciał, żebym zeznał przed sądem, że ta dziewczyna, Katla, trzymała *lopapeysa* ojca, kiedy znalazłem jej ciało. Prawda, sweter leżał na podłodze, ale jestem zupełnie pewien, że nie dotykała go, kiedy ją znalazłem. Lýður był ambitnym młodym człowiekiem i sądzę, że chciał uzyskać skazanie za wszelką cenę. Był całkowicie przekonany o winie Veturlidiego. A ja mu zaufałem, uwierzyłem w to, co powiedział. Przekonał mnie, że samobójstwo tylko potwierdza winę tego człowieka, że to, co robię, niczego nie zmienia. Ale oczywiście zmieniało, możliwe, że było decydującym czynnikiem. Już wtedy chciałem to zmienić. Trochę później skontaktowałem się z Lýdurem, już przygotowałem się na wyjazd do Reykjavíku, żeby powiedzieć prawdę, ale zanim mogłem to zrobić, ten nieszczęśnik odebrał sobie życie. Więc trzymałem gębę na kłódkę. A potem ty zadzwoniłaś, tyle lat po faktach, i wyciągnęłaś całą sprawę. Teraz już nie mogę milczeć.

– Na litość boską, dlaczego skłamałeś? Aż... aż trudno mi w to uwierzyć, Andrés. Dlaczego ustąpiłeś przed Lýdurem w takiej sprawie?

– Z bardzo egoistycznych powodów. Nie oczekuję od ciebie zrozumienia, ale może spróbujesz postawić się w mojej sytuacji... – Przerwał na chwilę. – Rzec w tym, że wtedy byłem bardzo zadłużony u lichwiarza. Pamiętasz ich? Przystawiali człowiekowi nóż do gardła. Cóż, mój lichwiarz został aresztowany i zaczął kablować, ile to mi pożyczył, gliniarzowi z West Fjords. Lýdur jakoś to zwąchał i zagroził, że to upubliczni. Nie byłem w stanie sobie z tym poradzić. Myślałem o reputacji mojej rodziny, o żonie, o dzieciach. Chyba to rozumiesz?

Zamknął oczy, znów je otworzył, patrzył w niebo, żeby uniknąć wzroku Huldy.

– Zdradziłem tę dziewczynę. Zdradziłem jej ojca. Zdradziłem wszystkich, jeśli już o tym mowa.

– Do pewnego stopnia mogę zrozumieć, dlaczego zrobiłeś tak, jak zrobiłeś – odezwała się ostrożnie Hulda. – Sama miałam kiedyś rodzinę, więc bez trudu mogę postawić się na twoim miejscu.

– Ale Lýdur nie poprzestał na tym – wyjaśniał Andrés pospiesznie. – Dał do zrozumienia, że postara się, żeby moje nazwisko zostało usunięte z akt sprawy i żeby moje długi też zniknęły. Nie wiem, jak to załatwił, ale potem już nie słyszałem o tym cholernym lichwiarzu. Oczywiście wiem, że to, co zrobiłem, jest nie do wybaczenia...

– Andrés, czy zeznałbyś to na piśmie i podpisał? Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to nie możesz sam dźwigać brzemienia winy.

– Tak, zeznam to na piśmie. Mogę cię podwieźć z powrotem do Reykjavíku, jeśli zechcesz. To zajmie wiele godzin, ale i tak będzie szybciej, niż gdybyś miała wracać do Ísafjörður i czekać na następny lot. Chcę pojechać z tobą i złożyć zeznanie. Czas na to.

– A co z...? – Hulda zawahała się, ale uznała, że musi zapytać. – Co z twoją rodziną? Jak ona zareaguje?

Andrés spojrzał jej w oczy, wzrok miał ponury.

– Żona opuściła mnie kilka lat temu. Nie sądzę, żeby przez ostatnie dziesięć lat miała wiele radości z życia ze mną. Te wydarzenia... ta sprawa, widzisz, to zmieniło wszystko.

– A twoje dzieci?

– Dzieciaki... Cóż, teraz są dziesięć lat starsze. Są dorosłe. Mam nadzieję, że rozumieją. Oczywiście gorzej jest z wnukami. Ale muszę to zrobić, żeby jakoś

pogodzić się z sobą samym.

Hulda nagle odniosła wrażenie, że Andrés, stojąc przed nią, postarzał się o dwadzieścia lat. Przez chwilę myślała o własnej przyszłości, przeskakiwała o dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat. Czy nadal będzie samotna? Dręczona przez poczucie winy i smutek? Czy skończy tak, jak ten złamany biedaczyna? Czy kiedykolwiek wyzna komuś swoje grzechy?

43

Hulda i Andrés wrócili do Reykjavíku przed wieczorem. Po wyznaniu prawdy przy letnim domu Andrés znów zapadł w ponure milczenie, które uczyniło z powolnej jazdy na południe test na wytrzymałość. Kiedy już byli na miejscu, Hulda na wszelki wypadek unikała biur wydziału kryminalnego, żeby nie wpaść przypadkiem na Lýdura. Zadzwoiła natomiast do jego zwierzchnika i poprosiła go o obecność podczas spisywania zeznań Andrésa. Andrés powtórzył całą historię, nie pomijając niczego ważnego.

Potem Hulda obiecała, że nie będzie o tym rozmawiać z Lýdurem, gdyż sprawę należało przepuścić przez „oficjalne kanały”. Nie miała zamiaru dotrzymać obietnicy.

Ledwie wróciła do biura, zapukała do drzwi Lýdura. Wiedziała, że musi zachować ostrożność i nie mówić za dużo. Ale nie mogła się doczekać widoku jego miny, kiedy usłyszy nowinę. Oskarżenie było tak poważne, że oczywistością było natychmiastowe zawieszenie albo dymisja, a nawet oskarżenie natury kryminalnej. Zwolniłoby się miejsce dla Huldy. Stanowisko, na które od tak dawna miała oko, nareszcie było osiągalne. Poczła ukłucie sumienia, że jest taka bezwzględna, ale tylko ukłucie.

Jeśli uda się jej znaleźć także mordercę Klary, jej pozycja stanie się jeszcze mocniejsza.

– Lýdur, miałbyś chwilę? Szybkie słówko.

Wyglądał na poirytowanego.

– Tak, ale streszczaj się. Od rana jestem zabiegany, bo urwałaś się do Ísafjörður. Rozmawiałem z Alexandrą, ale nic z tego. Według mnie zamknęliśmy właściwego człowieka. O ile wiem, Benedikt był ostatnią osobą, która widziała Klarę za jej życia. Kłamał też w starej sprawie i...

– Lýdur – przerwała mu Hulda, siadając na krześle naprzeciwko niego. Zamknęła za sobą drzwi. – Ta rozmowa musi pozostać między nami. Chciałam tylko cię ostrzec... – Przerwała, przeciągając chwilę.

– Ostrzec mnie? O czym ty, do diabła, mówisz?

– Chodzi o Andrésa. Wysunął przeciwko tobie bardzo poważne oskarżenia.

Lýdur pobladł.

– Poważne... poważne oskarżenia? – wyjąkał, wstał nagle zza biurka i zaczął chodzić w tę i z powrotem po gabinecie. – O czym ty mówisz? – rzucił pod jej adresem.

Hulda rozkoszowała się uczuciem potwierdzenia. Jej przekonanie na temat tego człowieka było całkowicie słuszne: jego akta personalne były zbyt piękne, żeby miały być prawdziwe. Myślała o wszystkich tych latach, kiedy patrzyła, jak bez trudu zajmował stanowiska, które jej się należały. Nie byłaby człowiekiem, gdyby nie miała satysfakcji, patrząc, jak Lýdur się wije.

– Chodzi o śledztwo w sprawie śmierci Katli.

– Co? Śledztwo, śledztwo... – Jakby z jakichś niejasnych powodów mu ulżyło, ale przecież tak nie mogło być. Być może tak bezwiednie reaguje człowiek na skraj wytrzymałości psychicznej.

– On twierdzi, że ty... jak mam to ująć... wywarłeś na niego presję, żeby złożył fałszywe zeznania.

Lýdur ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

– Żeby zwiększyć szanse na skazanie. Czy to się zgadza, Lýdurze?

– Oczywiście, że nie – wypalił, ale głos go zdradził. Zaczął krzyczeć. – Ten głupi, stary sukinsyn powie cokolwiek. Wpadł wtedy w głęboką dziurę, jakiś lichwiarz miał go na widelcu. Czy to wszystko?

– Wszystko?

– Wszystko, co powiedział?

A nie wystarczy? – pomyślała Hulda.

– Tak, to wszystko – rzuciła chłodno i bez słowa wyszła z gabinetu Lýdura.

Lýdur został zawieszony aż do chwili zakończenia śledztwa w sprawie oskarżeń ze strony Andrésa. Tymczasem Huldzie przydzielono więcej ludzi do sprawy Klary i poproszono, żeby zajęła się prostowaniem błędów w śledztwie sprzed dziesięciu lat, dotyczącym zabójstwa Katli.

Nacisk był duży i chociaż adrenalina krążyła w jej żyłach, to czuła, że zmęczenie bierze nad nią górę. Kiedyś szukałaby schronienia w domu, z Jónem i Dimmą, uciekając do nich przed trudami śledztwa, żeby doładować baterie, choćby miało to oznaczać tylko szybką kolację w gronie rodzinnym. Ale teraz nie znajdowała pocieszenia w pustym, smutnym mieszkanku. Próbowwała raczej zwalczyć zmęczenie, zmuszając się do jeszcze cięższej pracy.

Benedikt zostanie na razie w areszcie. Przyznał, że był z Katlą w letnim domu. Był też na wyspie i jako ostatnia znana śledczym osoba widział Klarę za jej życia. Pytanie brzmiało: czy Klara odkryła prawdę o jego związku z Katlą? Czy musiał ją uciszyć? Na razie była to najbardziej prawdopodobna teoria i wynikało z niej nie tylko to, że za zbrodnię sprzed lat aresztowano niewłaściwego człowieka, ale też, że śmierć Veturlidiego wynikała z policyjnego błędu albo raczej z pomyłki sądowej.

Hulda wyjęła książkę telefoniczną, żeby zadzwonić do rodziców Klary i powiedzieć im o aresztowaniu Benedikta. W ostatniej chwili zmieniła zdanie i postanowiła pójść do nich i porozmawiać osobiście. Z wcześniejszej wizyty raczej nic nie wynikło, może teraz wydobędzie z nich coś więcej.

Drzwi otworzyła Agnes, matka Klary, i zaprosiła Huldę do salonu. Męża nie było, co detektyw przyjęła z ulgą, bo uznała, że łatwiej będzie jej poradzić sobie z samą matką. Małżonkowie razem byli niezbyt skłonni do pomocy.

– Przepraszam, że znowu niepokoję – zaczęła Hulda, kiedy usiadła. – Chcę tylko przedstawić pani sprawozdanie z postępów śledztwa.

– Nie trzeba przeproszać. Zrobimy wszystko, żeby pomóc. Męża nie ma... Musiał gdzieś wyskoczyć. Mam nadzieję, że pani to nie przeszkadza, ale gdyby

pani wolała porozmawiać z nami obojgiem, dam znać, kiedy wróci do domu.

– Nie, nie, jest w porządku.

– Zrobię kawę. To było takie nieuprzejme z naszej strony, że poprzednim razem nie zaproponowaliśmy kawy – powiedziała kobieta i zniknęła w kuchni, zanim Hulda zdążyła odmówić.

Kawa była słaba, ale Hulda i tak się napiła.

– Nie będę siedziała u pani dłużej niż to konieczne – powiedziała.

Tym razem matka Klary wyglądała na bardziej odprężoną.

– Nie mam niczego innego do roboty. Tak jak powiedziałam, chcę pomóc.

Jej rozpacz nadal było widać po wynędzniałej twarzy i podkrążonych oczach, ale tym razem była przynajmniej schludnie ubrana, uczesała się i zrobiła sobie makijaż, próbując ukryć zewnętrzne znaki żałoby. Może spodziewała się, że odwiedzą ją przyjaciele i krewni, żeby złożyć kondolencje.

– Nadal próbujemy uzyskać jasny obraz tego, co się stało – wyjaśniła Hulda. – Długo rozmawialiśmy z Dagurem, przyjacielem Klary.

– Tak, to brat Katli.

Hulda pokiwała głową.

– Zawsze był takim miłym chłopcem... Nie wierzę, żeby zrobił coś złego. – Po chwili milczenia matka Klary zapytała: – Nie sądzi pani, że on...?

– Nie, wypuściliśmy go po... hm, po przesłuchaniu. Teraz zamknęliśmy Benedikta.

– Benedikta? Naprawdę? On jest bardzo zamknięty w sobie. Nigdy nie byłam nim zachwycona.

– Tak?

– Właściwie nigdy nie wiedziałam, co o nim sądzić, kiedy spotykał się z Klarą.

– Spotykał się z Klarą? Jak to? Chodzili ze sobą?

– Nie wiedziała pani?

Hulda usłyszała o tym po raz pierwszy. Za każdym razem, kiedy myślała, że już wie, jak łączą się fragmenty układanki, dochodził nowy kawałek.

– Kiedy to było?

– Dawno. Dziesięć lat temu.

– Dziesięć lat? Dokładnie dziesięć lat?

Agnes pomyślała.

– Tak, na krótko przed śmiercią ich przyjaciółki Katli, o której rozmawialiśmy poprzednio. Tej, którą zamordował jej ojciec.

– Krótko przed śmiercią Katli? Tak się składa, że zajmuję się jej sprawą w powiązaniu ze śmiercią pani córki.

– Och? Dlaczego? – Agnes pochyliła się do przodu, na jej pociągłej twarzy pojawił się wyraz głębokiego zaciekawienia.

– Cóż... – Hulda szybko myślała. – Widzi pani, nie możemy wykluczyć powiązania. Dwa tajemnicze zgony w tej samej grupie przyjaciół.

– Uważam, że to bardzo mało prawdopodobne. W każdym razie myślałam, że sprawa jest rozwiązana, gdy ojciec Katli popełnił samobójstwo.

Hulda wymijająco pokiwała głową.

– Oczywiście ufam policji, wiecie, co robicie. I chciałabym powtórzyć, że razem z mężem zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby pomóc. Nie wyobraża pani sobie, jakie to dla nas ważne. – Agnes dławiała się, nagle zaczęła mówić wysokim, spiętym głosem. – Musimy wiedzieć, co się stało.

– Zrobię, co w mojej mocy. Obiecuję – zapewniła Hulda i zamilkła, dając kobiecie czas na ochłonięcie. Potem zadała kolejne pytanie. – Czy pani córka i Benedikt chodzili ze sobą, kiedy zginęła Katla?

– Nie, właściwie zerwali parę dni wcześniej. Bardzo dobrze to pamiętam ze względu na morderstwo – ono jest jak punkt odniesienia do wszystkiego, co się wtedy stało. Nie chodzi mi o to, że dwie rzeczy są ze sobą powiązane.

– Właśnie. – Hulda zwlekała z zadaniem kolejnego pytania, zastanawiając się, w którą stronę poprowadzić przesłuchanie. Wypiła kolejny łyk wodnistej kawy i zrobiła wydech w ponurą ciszę panującą w domu, jakby po raz pierwszy zobaczyła pokój, w którym siedziała. Na ścianach wisały stare pejzaże, znajome motywy artysty, którego Hulda rozpoznawała, ale nie potrafiła od razu wymienić z nazwiska. Meble były przyzwoicie wykonane – sztywne, jak nazywała to Hulda – z tego rodzaju, który razem z Jónem kupiliby w swoim czasie do domu w Álftanes. Potem przypomniała sobie, co matka Klary powiedziała podczas poprzedniego spotkania, i zapytała:

– Dziewczyny były bardzo zaprzyjaźnione, prawda?

– Tak, bardzo – potwierdziła Agnes.

Najwyraźniej nie miała zielonego pojęcia, że Katla zginęła podczas romantycznego weekendu na wsi z Benediktem, chłopakiem jej najlepszej przyjaciółki, czy raczej jej byłym chłopakiem. Ile dni minęło między zerwaniem Klary i Benedikta a zejściem się chłopaka z Katlą? Czy Klara odkryła, co się dzieje? A jeśli tak, kiedy...?

– Poprzednim razem wspomniała pani, że śmierć Katli wszystko zmieniała – powiedziała Hulda i zawiesiła głos. Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Czekala na reakcję Agnes.

– Tak... – odpowiedziała Agnes z oczywistą niechęcią.

– To musiał być straszny wstrząs dla Klary, w taki sposób stracić najlepszą przyjaciółkę – podpowiadała Hulda.

– I był – odparła z wahaniem Agnes.

– Nie tylko to, ale...

– Ma pani rację, to było coś więcej.

Hulda czekała.

– Były jak siostry. Można by powiedzieć prawie bliźniaczki. Wszystko robiły razem, jak papużki nierozłączki, chociaż były swoimi przeciwnościami: Klara była czuła i przyjacielska, ale nie tak powszechnie lubiana jak Katla. Katla potrafiła owijać sobie ludzi wokół palca. Bywała też chłodna; nigdy się nie wiedziało, jaki ma stosunek do człowieka. Ale wie pani, były nierozłączne. Klara i Katla, Katla i Klara... – Agnes śpiewnie wyrecytowała ich imiona, jakby była w transie, i zamilkła.

– Co się stało?

– To wszystko było bardzo dziwne i niepokojące... Wiem, że mąż wolałby, żebym o tym nie mówiła, ale ufam pani.

Hulda poważnie pokiwała głową.

– Mogę pani zaufać, prawda?

– Oczywiście.

– Jeśli ona... jeśli nasza córka została... zamordowana... – Agnes mówiła cicho, z nerwowym drżeniem w głosie – ...musi się pani dowiedzieć, kto to zrobił. Więc będę wobec pani uczciwa.

Hulda czekała.

– Klara bardzo przejęła się śmiercią Katli, tak bardzo, że aż wyglądało to na jakąś patologię. Jej życie przewróciło się do góry nogami, była zdruzgotana, przeżyła całkowite załamanie. Ale najgorsze, że zaczęła wszędzie widzieć Katlę. Nie mogła zasnąć, budziła się zrana potem, twierdziła, że Katla przyszła i odezwała się do niej. Krzyczała przez sen. I pogarszało się jej...

– W jaki sposób?

– Właściwie, to zaczęła... być Katlą. Wiem, że trudno to wyjaśnić, ale czasem rozmawiała z nami, jakby Katla tu była, jakby ciągle była z nami. Nigdy nie

zapomnę pierwszego razu, kiedy to się stało. – Agnes przerwała i z drzeniem nabrała powietrza. Najwyraźniej trudno było jej opowiadać tę historię. – Często opiekowała się dzieckiem rodziny, która mieszka w pobliżu. Właściwie, to byli sąsiedzi Katli, bardzo miłe małżeństwo z córeczką. Mieszkali w bloku obok Katli. O ile wiem, nadal tam mieszkają. W każdym razie jak zwykle opiekowała się ich dzieckiem niedługo po śmierci Katli i kiedy wieczorem wróciła do domu, zachowywała się, jakby nic się nie stało. Ale następnego dnia rano zadzwonił ojciec dziewczynki i powiedział, że córka była przestraszona bo... bo Klara przez cały wieczór „udawała, że jest Katlą”. O ile pamiętam, dziewczynka miała sześć czy siedem lat. Byłam przerażona. Próbowałam porozmawiać z Klarą, ale nie chciała o tym mówić, po prostu jeszcze bardziej wycofała się do swojej skorupy.

Agnes zamilkła na chwilę, zaczęła mówić dopiero po przerwie.

– Oczywiście to nie był żart. To było chore. Pytaliśmy o radę lekarzy, ale oni zwalali to tylko na ciężkie przeżycie i mówili, że dziewczyna da sobie z tym radę.

– I dała sobie radę?

– To przyjęło inną formę, przestało być tak zauważalne, ale Klara miała Katlę w głowie aż do śmierci. Zaczęła mieć problemy ze snem, nie potrafiła utrzymać się w pracy i nadal mieszkała z nami. Na zewnątrz robiła wrażenie zupełnie normalnej. Musiało się z nią trochę pobyć, żeby zrozumieć, że coś jest nie tak. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby dała sobie radę bez pomocy. – Oczy Agnes wypełniły się łzami, przerwała, żeby odchrząknąć. Potem mówiła dalej: – Zawsze się nią opiekowaliśmy, trzymaliśmy ją u siebie, w domu... Nie traciłam nadziei, że pewnego dnia ona z tego wyjdzie.

– Jak pani myśli, dlaczego tak bardzo to ją dotknęło? – zapytała Hulda, uważnie obserwując reakcję Agnes.

– Po prostu nie mam pojęcia – powiedziała kobieta zupełnie szczerze. – Były sobie bliskie, jak siostry, i to jest jedyne wyjaśnienie, które widzę. – W jej wzroku, gdy spojrzała na Hulde, była naiwna niewinność, ale też głęboka rozpacz.

– Tak mi przykro, że to słyszę – stwierdziła Hulda. – Nie miałam pojęcia, że tak cierpiała. Wie pani, co myślała o udziale w spotkaniu po latach na Elliðaey?

– Była podekscytowana... Miała swoje dobre dni. Właściwie, to większość jej dni przebiegała dobrze. Trudne były noce. I stres – nie dawała sobie rady z jakimkolwiek rodzajem nacisku. To dlatego większość pracodawców rezygnowała z niej wcześniej czy później aż w końcu przestała szukać pracy.

– Czy ostatnio w ogóle rozmawiała z panią o śmierci Katli? Na przykład

w kontekście wyjazdu?

Zaległo milczenie. Potem Agnes powiedziała:

– Cóż, skoro o tym pani wspomniała... Stwierdziła, że byłoby miło znów spotkać się ze starą paczką i powspominać. Uregulować... Jak ona to powiedziała? Coś o starych tajemnicach. Tak, mówiła, że wszyscy powinni coś wyjaśnić. Że cicho siedzieli i za długo nie mówili prawdy, czy jakoś tak. Nie wiedziałam, o co jej chodzi. Szczerze mówiąc, nie zawsze ją rozumiałam, często gubiła się we własnym świecie, jeśli rozumie pani, o co mi chodzi.

– Ale była w stanie pojechać tam? – zapytała Hulda. – A pani nie miała nic przeciwko temu? Czy była w stanie pojechać sama, jeśli weźmie się pod uwagę jej stan?

– Nie była sama – odpowiedziała Agnes trochę ostrzejszym tonem. – Była z przyjaciółmi. Z najlepszymi przyjaciółmi. To wszystko dobre dzieciaki. Nie ich wina, że Veturlidi był mordercą. – Wstała nagle. – W każdym razie myślę, że wystarczy tego. Za dużo powiedziałam. Chyba pani rozumie, że nie wiemy, co się zdarzyło na Elliðaey. Musi pani zrozumieć...

Hulda też wstała, ale nie spieszyła się z odpowiedzią. Starannie dobierała słowa.

– Nikt, nawet przez chwilę, nie sugerował, że coś o tym wiecie. Chodzi nam tylko o to, żeby dotrzeć do sedna sprawy i złapać osobę, która... zepchnęła ją, o ile nasze podejrzenia okażą się słuszne.

Rozproszyła obawy Agnes.

– Dziękuję. Ale obawiam się, że powinna pani już iść. Muszę odpocząć. I nie chcę... – zająknęła się. – Nie chcę, żeby mąż panią zobaczył. Nie lubi, kiedy o tym mówię. Nie chce, żeby to wyszło poza dom. Nie chce, żeby ludzie wiedzieli, co się stało z Klarą, jak się zmieniła. Chyba się wstydzi. Nie, nie powinnam tego mówić. Proszę, niech pani nie zrozumie mnie źle – oczywiście, nie wstydził się jej... to było trudne, to było dla niego trudne, dla nas obojga.

– Dziękuję pani za szczerść – powiedziała Hulda. – Obiecuję, że odpowiednio potraktuję to, co powiedziała mi pani w zaufaniu.

– Dziękuję za wizytę. Dojdzie pani sama do drzwi?

45

Fragmenty wreszcie ułożyły się w logiczną całość. Hulda czuła to przez skórę: zbliżała się do prawdy, wreszcie na jaw wychodziły stare tajemnice. Była pewna, że sprawa bliska jest rozwiązania, może dojdzie do tego jeszcze wieczorem. Byłby to jej największy sukces: dwa morderstwa rozwiązane za jednym zamachem. Rozrywały się więzy milczenia, musiała tylko jeszcze trochę głębiej pogrzebać.

Benedikt był z Katlą, swoją dziewczyną, w letnim domu, kiedy ona zginęła.

A krótko przedtem Benedikt chodził z Klarą.

Teraz obie dziewczyny nie żyją. Zamordowane.

Według Lýdura z wypytywania Alexandry nie wynikło nic interesującego, ale Hulda nie bardzo wierzyła w jego umiejętności w prowadzeniu przesłuchań, szczególnie że nie wiedział o najnowszych postęпах śledztwa. Było jasne, że sama będzie musiała spotkać się z Alexandrą. Tym razem to będzie przesłuchanie bez taryfy ulgowej. Ostatnim razem Alexandra nie powiedziała Huldzie o najważniejszych faktach. To było pewne.

Ciotka dziewczyny podeszła do drzwi. Miała na sobie koszulę nocną i nie próbowała ukryć gniewu, kiedy zobaczyła, kto przyszedł.

– Wie pani, która jest godzina? – wysyczała wściekle, nawet nie witając się z Huldą.

– Muszę porozmawiać z Alexandrą.

– Dzisiaj już przesłuchiwał ją jeden z pani kolegów. Ostrzegam, zadzwonię po prawnika. Mój szwagier jest adwokatem i ma tutaj kancelarię. Dzwonię do niego, nie żartuję, dzwonię już, teraz. Może z nim pani porozmawiać, zamiast dręczyć moją siostrzenicę. To jest nie do przyjęcia.

– Alexandra jest dorosła – odpowiedziała Hulda chłodnym, władcym tonem. – Zakładam, że nadal jest u pani, a ja muszę z nią porozmawiać. Czy zechce pani ją przyprowadzić? Jeśli nie, będę musiała ją aresztować i formalnie przesłuchać w komisariacie. Pani szwagier będzie mile widziany, jeśli Alexandra tego zechce.

To zdeprymowało ciotkę.

– Ona śpi. Może pani przyjść jutro?

– Muszę porozmawiać z nią dzisiaj – nalegała Hulda.

– Och, cóż, w takim razie... lepiej ją przyprowadzę – odparła z niechęcią ciotka. Weszła do mieszkania i po krótkiej zwłóce w drzwiach pojawiła się Alexandra, tłumiąca ziewanie. Widać było, że dopiero co ją obudzono. Stała bosa, w T-shircie i spodniach od piżamy.

– Witam znowu.

– Cześć, Alexandro. Mam nadzieję, że lepiej się czujesz. Muszę porozmawiać z tobą na boku. Z tobą w porządku?

– Co, teraz?

– Tak, teraz.

– Och, okej, niech pani wejdzie.

Zaprowadziła Huldę do tego samego pokoju, co poprzednio. Hulda zamknęła drzwi, była pewna, że tym razem nikt im nie przeszkodzi.

– Aresztowaliśmy Benedikta, jak zapewne Lýður już ci powiedział – zaczęła bez wstępów.

– Tak, ale nie rozumiem dlaczego. Jestem kompletnie zdezorientowana. Benni nie skrzywdziłby muchy.

– Podejrzewamy, że zamordował Klarę. Oboje pili na dole, kiedy ty i Dagur poszliście na górę, do łóżek. Zgadza się?

– Tak dokładnie powiedziałam Lýdurowi. Zgadza się... – przerwała, ale Hulda odniosła wrażenie, że dziewczyna chciała jeszcze coś powiedzieć. Coś więcej, przyznać się do czegoś... Może nawet coś wyznać? Ale cisza ciągnęła się i zrobiło się oczywiste, że Hulda będzie musiała ją szturchnąć.

– Podejrzewamy też, że zamordował Katłę.

– Co? – Alexandra była kompletnie zaskoczona. – Katłę? Chodzi pani o letni dom? Nie... to niemożliwe. To zrobił tato Dagura. Wtedy to udowodniono.

– Niekoniecznie. Wiedziałaś, że ona i Benedikt zblżyli się do siebie?

– Benni i Klara? Oczywiście, ale to było wiele lat temu.

– Chodziło mi o Benedikta i Katłę.

– Nie, coś się pani pomieszało. Dawno temu Benni był z Klarą. Zerwali po... po morderstwie.

– Nie, właściwie to ich związek rozpadł się wcześniej. Benedikt był w letnim domu z Katlą – wyjaśniła Hulda beznamiętnym tonem, przyglądając się uważnie Alexandrze.

– W letnim domu? Kiedy... kiedy ona zginęła? Nie, musiała to pani wymyślić! Nie wierzę. – Po Alexandrze było widać, że mówi prawdę, jej zaskoczenie było prawdziwe.

– To dlatego uważamy, że zabił obie dziewczyny, Alexandro. Zarówno Klarę, jak i Katłę.

– Nie, nie, myli się pani, musi się pani mylić. Czy powiedział, że to zrobił?

– Nie, oczywiście zaprzecza.

– Veturlidi, ojciec Dagura, to on... zabił Katłę. Nawet popełnił z tego powodu samobójstwo.

– Więc kto zabił Klarę? – zapytała Hulda, wpatrując się w Alexandrze w oczy. W tej chwili była pewna, że dziewczyna zna odpowiedź.

Ale Alexandra, ku jej wściekłości, zamilkła.

– Alexandro, co stało się na Elliðaey? – zapytała Hulda. – Dlaczego mi nie mówisz?

Zapadła długa cisza, potem Alexandra zaczęła mówić, jakby do siebie, nie do Huldy.

– Odniosłam wrażenie, że z Klarą jest coś nie tak.

– Ach? – zdziwiła się Hulda, chociaż ta odpowiedź nie zaskoczyła jej po tym, czego dowiedziała się od matki Klary.

– Na wyspie zachowywała się dziwnie. W środku nocy obudziła się z krzykiem, twierdząc, że widzi Katłę. Była tak strasznie przekonująca, że aż się przeraziłam. Naprawdę wierzyła, że tam była Katla, że zobaczyła jej ducha. Powiedziała nam, że Katla chce sprawiedliwości. Jakby... jakby zamordował ją ktoś inny niż Veturlidi. Nie, to nie tak. Ona tak nie myślała, zachowywała się, jakby o tym wiedziała. Rozumie pani, o co mi chodzi? To było takie dziwne. Myślę, że do tamtego czasu wszyscy zakładaliśmy, że winę ponosił Veturlidi, choćby to nie wiem jak strasznie brzmiało. Wszyscy, oczywiście poza Dagurem. On przez cały czas utrzymywał, że jego tato był niewinny. Ale tamtego wieczoru odniosłam wrażenie, że Klara wiedziała na pewno, że to nie był Veturlidi.

– A ty co myślisz?

– Ja już niczego nie jestem pewna... Ale nie wierzę, żeby to zrobił Benni. On po prostu nie jest zdolny do czegoś takiego. To dobry chłopak.

– Ale ty zawsze wolałaś Dagura, prawda? Powiedziano mi, że się w nim kochałaś.

Alexandra kiwnęła głową.

– Choć nic nie zrobiłam w tej sprawie. Ale... tak. W nim coś jest. Między nami zawsze były jakieś szczególne więzi.

Hulda nie musiała kontynuować tej rozmowy. Teraz cała sprawa była dla niej jasna. Wiedziała, kto zabił Katlę. Mogła to zrobić tylko jedna osoba: wszystkie dowody wskazywały na nią. To samo dotyczyło wypadku na wyspie. Wiedziała, kto napadł na Klarę i zepchnął ją z urwiska. Mogła sobie nawet wyobrazić „nienawiść w jego oczach”, którą opisał Benedikt.

– Alexandro, czy jest coś jeszcze, co chciałabyś mi powiedzieć?

– Tak. Myślę że jest coś jeszcze. W tych okolicznościach nie mam wyboru, muszę to powiedzieć. Benedikt nie był ostatnią osobą, która widziała Klarę żywą.

– Kto to zatem był? – zapytała Hulda z czysto formalnych względów. Już знаła odpowiedź.

46

Hulda była sama, chociaż powinna kogoś z sobą zabrać, jako świadka ewentualnego przyznania się do winy, ale też jako wsparcie, gdyby doszło do użycia przemocy. Ale intuicja podpowiadała jej, że przemocy nie będzie. Nie bała się, chociaż miała się spotkać z mordercą. Wiedziała, że nie grozi jej niebezpieczeństwo.

Niedawno tu była, wtedy naciskała guzik i kołatała w drzwi, nie uzyskując odpowiedzi. Tym razem podszedł do drzwi niemal w chwili, gdy nacisnęła guzik dzwonnka.

– Dzień dobry, prawie się pani spodziewałem.

Dagur był ubrany, chociaż już minęła północ.

– Mogę wejść?

– Proszę. – Kiedy weszła, dodał: – Tu, o świcie, aresztowali tatę. Detektyw – pani kolega Lýdur – stał w korytarzu, kiedy wyciągali go jeszcze w piżamie. Ja stałem tam, u szczytu schodów... – Odwrócił się i spojrzał za siebie, wskazując półpiętro. – Tam stałem, jeszcze prawie dziecko, krzychałem, płakałem, błagałem, żeby zostawili tatę. To był początek końca. Wtedy moja rodzina zaczęła się rozpadać. Wcześniej mieliśmy szansę przebicia się przez to, przejścia przez żałobę. Ale wtedy zabrali tatę. I on umarł. A mama? Ona nie dała sobie rady. Teraz zostałem tylko ja jeden... Sam w tym wielkim, pustym domu. Przyjechała pani aresztować mnie, prawda?

– Tak Dagurze, zgadza się.

– Przynajmniej nie jestem w piżamie. I nie mam zamiaru opierać się ani robić sceny. Tym razem na schodach nie stoi dziecko i nie krzyczy. Na swój sposób to dziecko także umarło tamtego dnia. Więc tym razem sąsiedzi dowiedzą się o tym dopiero z gazet. Nie przyjechała pani nawet oznakowanym wozem. To pani zielony samochód?

Kiwnęła głową.

– Glina w zielonej skodzie. To naprawdę coś.

– Może wejdziemy do środka i porozmawiamy?

– Nie ma potrzeby. Mam zamiar sprzedać dom. Naprawdę nie chcę do niego wracać. Mogłbym po prostu pojechać teraz z panią?

Właśnie w tej chwili dotarło do niej, że bardzo chciałaby go puścić, dać mu drugą szansę. Współczuła mu, rozumiała go aż za dobrze. Wiedziała, że niektóre zbrodnie są tak nikczemne, że zemsta daje się usprawiedliwić. Rozumiała, dlaczego rzucił się na Klarę i zepchnął ją z klifu. Na pewno zrobił to ogarnięty ślełą furią. Ale oczywiście nie było mowy o puszczeniu go, zwłaszcza że Alexandra potwierdziła, że Klara wyszła na spotkanie z nim i oboje zeszli do salonu. Alexandra nie mogła zasnąć, bo miała nadzieję, że Dagur, jak to ujęła, „wlezie do jej łóżka”. Ale on od razu poszedł spać, a ona leżała rozbudzona. Niemniej więz między nimi była tak mocna, przynajmniej z jej strony, że z początku nie chciała mówić o tym, co widziała.

– Zamordowałaś Klarę?

– Ja... ja nie chciałem. Naprawdę nie chciałem. Po prostu całkowicie się zagubiłem. W nocy przyszła, żeby się ze mną spotkać. Spałem, ale ona chciała ze mną pomówić, twierdziła, że to coś ważnego. Coś, co mi powie, jak wyjdziemy. Więc poszliśmy na spacer aż do skalnej półki – to był jej pomysł. Od tamtej chwili zastanawiam się, czy aby nie chciała skoczyć.

Zamilkł. Patrzył w przestrzeń, przypominał sobie.

– Co chciała ci powiedzieć? – nalegała Hulda.

– Och, że zabiła moją siostrę, to oczywiste. Sądziłem, że już do tego pani doszła. Hulda kiwnęła głową.

– Najwyraźniej Katla i Benni zaczęli się spotykać, nie mówiąc o tym nikomu. Benni rzucił Klarę, powiedziała mi, że wynikła z tego duża scena. Wiedziała, dlaczego tak się stało, rozgryzła to. Wiedziała, że to Katla go ukradła – tak mi to przedstawiła. Zaczęła ich śledzić i pojechała za nimi, kiedy opuścili miasto. Po jakimś czasie domyśliła się, że jadą do letniego domu, bo była tam parę razy z Katlą i Alexandrą. Klara twierdziła, że to był przypadek. Że chciała tylko trochę potrząsnąć moją siostrą i nastraszyć ją. Czekala całą noc, spała w samochodzie, chciała przyłapać Katłę, gdy będzie sama. Moja siostra zawsze dostawała to, co chciała, rozumie pani? Oczywiście bardzo ją kochałem, była moją starszą siostrą, uroczą dziewczyną, ale umiała manipulować ludźmi. A kiedy chciała, potrafiła zostawiać ich na lodzie. Chciała Benniego i dostała go. Uczucia Klary nie miały znaczenia. To była cała Katla; miała niewiarygodnie silny charakter. Można

powiedzieć, że przez ostatnie dziesięć lat wszyscy żyliśmy w jej cieniu, w ten czy inny sposób.

– Co się stało w letnim domu?

– Pewnie było mnóstwo krzyków, wrzasków, grózb. Skończyło się na ciosach. Klara uderzyła Katlę i pchnęła ją, a moja siostra uderzyła głową w róg stołu i... po prostu wykrwawiła się na śmierć. To musiało się dziać bardzo szybko. Klara po prostu nie wiedziała, jak sobie dać radę z tym, co zrobiła. Oczywiście nie było telefonu, nie można było wezwać pogotowia. A Klara zaklinała się wobec mnie, że i tak nie dałoby się uratować Katli, nawet gdyby przyjechało pogotowie. Nie wiem, co by było. Musi pani zrozumieć, że byłem całkowicie zdezorientowany. Ta cholerna dziwka zniszczyła mi życie, rozbiła rodzinę. Ją trzeba winić za śmierć mojej siostry i taty, i za stan, w jaki wpadła mama. A teraz na nią spadnie wina za to, że idę do więzienia. Cóż za ironia.

– Dagurze, lepiej już chodźmy.

Kiwnął głową i po namyśle dodał:

– No i ten drań Benni. On też jest winien. Uratowałby mojego tatę, gdyby miał odwagę, ujawnił się i zaryzykował, że trochę brudu przylgnie do jego reputacji. Pieprzony, nieskalany Benni. Wszystko musi być doskonale dla niego i jego rodziców. Oczywiście, nie pomyślał, że zostanie wmieszany w śledztwo dotyczące morderstwa... Wie pani, byliśmy na skraju bójki, kiedy wtedy wparowała pani do nas. Jasne, że wszystkiemu zaprzeczył, ale po rozmowie z Klarą wiedziałem, że był z Katlą w letnim domu... chociaż nie mogłem mu powiedzieć, skąd wiem.

– Czas iść.

Dagur zamknął za sobą drzwi domu swojego dzieciństwa. Być może po raz ostatni.

Wsiadł do skody, nie stawiając najmniejszego oporu. Hulda widziała coś okrutnego w fakcie, że musiała aresztować tego młodego człowieka za morderstwo, ale jakaś część jej sumienia krzyczała: „Tak, tak, tak!” i mówiła, że to jest właśnie to: wielki sukces, na który czekała.

EPILOG

1

ROBERT

Savannah, Stany Zjednoczone, 1997

Żona wyszła na spotkanie z przyjaciółkami, a Robert siedział samotnie o zmierzchu, z butelką zimnego piwa przy boku. Żonie, jako ścisłej abstynentce, nie podobało się, że pije, ale raz na jakiś czas patrzyła na to przez palce. W końcu ostatnie badania lekarskie dowiodły, że jest w całkiem dobrej formie, więc nie powinna za bardzo się go czepiać. W jego przekonaniu nie było niczego lepszego niż zimne piwo na werandzie po dusznym, letnim dniu.

Robert wracał myślami do czasów spędzonych na Islandii. Wstrząsnęła nim wczorajsza wizyta. Przez całe lata nie zawracał sobie głowy tą zimną, ponurą wyspą, a jego wspomnienia ze służby, którą tam odbywał, były w najlepszym wypadku mgliste. Ścisłej rzecz ujmując, przypominał sobie tamte dni jak przez mgłę, jak coś nierealnego, jakby dotyczyło to kogoś innego.

I Anna. Jasne, że ją pamiętał, chociaż byli ze sobą krótko. Nie miał w zwyczaju zdradzać ukochanej żony, w sumie z Anną był ten jeden raz. Miała to coś, co zmiękczyło jego stanowczość, sprawiło, że uległ pokusie. Później zniknęła. Przez jakiś czas tęsknił za nią, chociaż w głębi duszy wiedział, że takie rozwiązanie jest najlepsze. Ale z powodów, znanych tylko jemu, zachował jej małe zdjęcie, takie

jak do paszportu, które dała mu po pierwszej spędzonej razem nocy. Wiedział doskonale, gdzie jest ta fotka. Teraz, wieczorem, wyjął ją i położył na stole obok piwa, w słabym świetle werandy.

Jak się można było spodziewać, zdjęcie pożółkło i zbladło przez te lata, ale Robertowi wystarczyło tylko na nie spojrzeć, żeby przenieść się myślą o pół wieku, do Reykjavíku z 1947 roku, małego miasteczka, które zaczynało przekształcać się w wielką metropolię. Jako Amerykanin czuł się przedstawicielem nowego wieku. Nie wszyscy mieszkańcy byli równie gościnni wobec żołnierzy, ale zapamiętał dziewczyny, bo były tak zachwycające. Anny zaś nigdy nie zapomniał. Aż niewiarygodne, że tak dobrze ją zapamiętał, jeśli wziąć pod uwagę, jak krótko się znali. Oczywiście, ich związek nie miał przyszłości i sumienie gryzło go od samego początku, ale we wspomnieniu tamtego krótkiego romansu był jakiś słodki żal. Kochał wtedy swoją żonę, tak jak teraz, ale poczucie winy zbladło z upływem czasu i aż do tej pory tamten romans był jak odległe wspomnienie przeżycia równie urzekającego, co niespodziewanego. Oczywiście nigdy o tym nie powie żonie. Zabierze tę tajemnicę do grobu. W żadnym razie nie przyzna, że ma islandzką córkę.

Coś podejrzewał, odkąd Hulda skontaktowała się z nim, żeby uprzedzić o wizycie, chociaż nic więcej z początku nie powiedziała. Może w jakiś zagadkowy sposób zawsze wiedział, że z tego przelotnego romansu zrodził się owoc? Ale Anna nie kontaktowała się z nim, co zapewne znaczyło, że nie planowała jego udziału w opiece nad dzieckiem. Więc w jego decyzji było też coś z poszanowania jej woli.

To był jeden z powodów, dla których okłamał Huldę.

Ale przede wszystkim chciał chronić własny interes, zachować małżeństwo doskonałe, którym cieszył się przez ponad pół wieku. Nie miał ochoty narażać go na szwank, żeby zostać ojcem kobiety w średnim wieku. Teraz już ojciec nie był jej potrzebny, a jemu nie była potrzebna córka. Już nie. Nie kłamał, kiedy powiedział, że nie mogą mieć dzieci, chociaż w sumie problem leżał po stronie żony, nie po jego stronie, czego dowodem było istnienie Huldy. Przez jeden ulotny wieczór siedział przy stole z własną córką. Więcej to się nie zdarzy.

Po jej wyjściu nie doświadczył szczególnego smutku. Trudno naprawdę tęsknić za kimś obcym. Nawet jej matki nie zdołał dobrze poznać. Jego związek z Huldą miał czysto biologiczne podłoże. A jednak, dyskretnie, ale dokładnie się jej przyjrzał, kiedy tutaj siedziała, zastanawiając się, czy powinien poświęcić

wszystko, żeby lepiej poznać swoją córkę. Nie poczuł takiej potrzeby, więzi były za słabe. Podjął decyzję za ich oboje, niesprawiedliwą decyzję, że tajemnica zostanie zachowana na zawsze. Wiedział, że ta kobieta nigdy już do niego nie wróci.

Jednak kiedy spojrział na stare zdjęcie, poczuł lekkie ukłucie, bo pomyślał o Huldzie, która nigdy się nie dowie, że spotkała ojca.

Zrobił przecież coś dla niej, wysłał jej kopię swojego starego zdjęcia w mundurze, zrobionego podczas wojny. Bardzo się zmienił przez te wszystkie lata, blask młodości dawno już odszedł – razem z włosami – więc pomyślał, że wysłanie zdjęcia będzie bezpieczne. W liście napisał, zgodnie z prawdą, że to zdjęcie jej ojca. Mało prawdopodobne, żeby kiedyś odkryła prawdę.

2

LÝDUR

Reykjavík, 1997

Lýdur nawet przez chwilę nie wątpił w winę Veturlidiego – aż do teraz. Kiedy śledztwo było w swoim najważniejszym okresie, działał bezwzględnie, przekonany, że Veturlidi jest winnym, jak wszyscy diabli, gwałcicielem i mordercą dziecka.

Lýdur całkowicie ufał swoim zdolnościom. Wszystkie dowody wskazywały na to, że Veturlidi zamordował córkę. Chociaż nie chciał się przyznać, Lýdurowi bez trudu przyszło uzupełnienie luk. Wyszedł z założenia, że prawie na pewno była to sprawa wykorzystywania seksualnego, chronicznych gwałtów, które osiągnęły szczyt w tamten weekend w letnim domu. W końcu to był letni dom Veturlidiego, jego azyl. Nikt inny nie pojawił się, żeby powiedzieć, że był tam z Katlą, a ona przecież nie pojechałaby sama taki kawał drogi do West Fjords, bez samochodu, żeby zamknąć się w cholernej budzie na zadupiu. Nie, w jego przekonaniu, cała sprawa była oślepiająco jasna.

Teoria Lýdura była następująca: ojciec i córka pojechali tam razem i on znów zaczął ją wykorzystywać. Ale tym razem ona sprzeciwiła mu się i stawiała opór. Z oporu wynikła walka, która skończyła się jej śmiercią. Zabójstwo czy morderstwo, to nieważne, inni o tym zadecydują.

Ale teraz dowiedział się, że jego teoria była całkowicie nietrafna: Katłę zabiła jej przyjaciółka, Klara, która nigdy nie była w kręgu podejrzeń.

Lýdur jasno wyobrażał sobie wtedy, jak doszło do zbrodni. Potrzebował tylko przyznania się do winy albo jakiegoś bardziej konkretnego dowodu. Obecność swetra była darem, ale samo to nie wystarczyłoby do skazania. Gorzej, sweter leżał na podłodze niedaleko zwłok. Byłby znacznie bardziej obciążający, gdyby można było powiedzieć, że dziewczyna trzymała go w rękach, może chcąc rozmyślnie

pokazać palcem winę ojca. Niespodziewanie łatwo przyszło namówić lokalnego glinę, Andrésa, do kłamstwa. W istocie zbyt łatwo, bo oczywiście Andrés miał wątpliwości, ale czegoż można było się spodziewać po takim nieudaczniku? Wkrótce potem, kiedy jeszcze trwało śledztwo, skontaktował się z Lýdurem, żeby powiedzieć, że żałuje tego, co zrobił. Już nie był pewien winy Veturlidiego, tym bardziej że podejrzany nie przyznawał się. Potem, jakby tego było mało, Andrés zaczął mówić, że musi się oczyścić, że to jest jedyny sposób, żeby podejrzany miał szansę obrony. Stary dureń liczył się z tym, że to będzie dla niego osobista katastrofa, że na pewno straci pracę, a historia jego długów i kontaktów z lichwiarzem trafi na nagłówki gazet. Ale na tym nie koniec. Posunął się do tego, żeby powiedzieć, że Lýdur też nie będzie mógł trzymać się z boku tej sprawy, kiedy Andrés zacznie wyjaśniać, dlaczego dał się przekonać do kłamstwa i kto wywarł na niego nacisk. Oczywiście Lýdur próbował go od tego odwieść, ale mu się nie udało. Jakby mówił do ściany. Andrés oświadczył, że za dwa dni przyjeżdża do Reykjavíku, żeby spotkać się z władzami policyjnymi i zrehabilitować się za swój błąd. To postawiło Lýdura w diabelnie trudnej sytuacji.

Zostały mu dwa dni, może mniej, żeby uratować skórę. Jedynym sposobem było wymuszenie przyznania się z Veturlidiego, ale łatwiej było to powiedzieć niż zrobić. Ten głupi drań był załamany, wyglądało na to, że stracił chęć życia i chęć walki. Mówił, że spodziewa się więzienia dla siebie i publicznego potępienia dla swojej rodziny. Ale wbrew wszystkiemu nie można było wmówić mu morderstwa. Odmawiał „przyznania się do zbrodni, której nie popełnił”, jak to ujmował. Był po prostu uparty jak osioł.

Lýdurowi zajęło zaledwie jedną noc, żeby znaleźć rozwiązanie.

Obudził się, kiedy było jeszcze ciemno, i wpadła mu do głowy genialna myśl. Ukradkiem wstał z łóżka i wyszedł z domu, nie budząc żony i dzieci. Byli przyzwyczajeni, że wstaje o różnych porach, bo miał dyżury, więc nawet gdyby się obudzili, nie zdziwiłaby ich jego nieobecność.

Poszedł do więzienia, gdzie trzymano aresztantów. Wpuszczono go od razu jako stałego gościa. Nie musiał nawet mówić, kogo chce odwiedzić. Potem już łatwo poszło z wejściem do celi Veturlidiego i przemyceniem mu paska.

Być może Lýdur nie przemyślał tego do końca, ale był pewien winy Veturlidiego. Jego przenikliwość nigdy go jeszcze nie zawiodła. Zinterpretował depresję i milczenie Veturlidiego jako kolejne potwierdzenie swoich podejrzeń. W każdym razie nie było innej wiarygodnej teorii. Naprawdę. Wtedy.

Pasek był sprawdzianem.

Kwestią życia lub śmierci.

Gdyby Veturlidi oblał sprawdzian, jego czyn byłby równoznaczny z przyznaniem się do winy. Byłoby to najprostszym rozwiązaniem każdego z aspektów tej sprawy. Zabójca przyznaje się do winy, chociaż nie wprost, a śledztwo kończy się pomyślnie. Co ważniejsze, ten stary dupek z Ísafjörður nie ma powodu, żeby wszystko popsuć i zagrozić karierze Lýdura tylko dlatego, że chce ukoić swoje sumienie. Zobaczyłby natychmiast, że motywby Lýdura były rozsądne i niczego się nie osiągnie, mącąc w sprawie.

Lýdur nie był zaskoczony, kiedy następnego dnia rano dowiedział się, że Veturlidi powiesił się w celi. To był dla niego dowód, że się nie mylił.

Nie czuł się ani trochę odpowiedzialny za śmierć tego człowieka, ani wtedy, ani później. Oczywiście, w całkowitej tajemnicy trzymał fakt, że pomógł mu, by tak rzec, w rozstaniu się z życiem. Równie oczywiste jest, że odbyło się śledztwo, jak aresztant zdobył pasek, ale trwało krótko i nie przyniosło efektów.

Jednak teraz Andrés znów się pojawił i opowiedział historię, którą chciał już opowiedzieć przed dziesięcioma laty. Lýdur stanął wobec groźby utraty pracy, już teraz był zawieszony. Oczywiście, był to straszny wstrząs. Ale kiedy przyszła do niego Hulda, przez chwilę bał się, że wie o pasku, który przemycił do Veturlidiego, że wydała się jego rola w samobójstwie tego człowieka. To byłoby zdecydowanie gorsze.

W obecnej sytuacji ten szczegół jednak nigdy nie wyjdzie na jaw.

Lýdur faktycznie przyłożył ręki do śmierci Veturlidiego. Zdawał sobie z tego sprawę. Nikt inny nie musiał tego wiedzieć.

3

HULDA

Reykjavík, 1997

Hulda stała nad grobem matki.

Był schludny i dobrze utrzymany, ale Hulda wiedziała, że będzie musiała częściej tutaj przychodzić, kiedy zacznie się jesień. Matka nie miała nikogo innego.

Chociaż ich stosunki bywały napięte, Hulda musiała przyznać, że tęskni za nią. Była sama na tym świecie, czuła się taka samotna.

Wszyscy wokół niej nie żyli: Jón i Dimma, matka, nawet ojciec z Ameryki.

Nadal była względnie młoda – w każdym razie jeszcze nie stara – nadal była zdrowa i ambitna. Było jeszcze tyle do osiągnięcia. Kolejne piętnaście lat w policji: wystarczająco dużo czasu, żeby wyróżnić się przed pójściem na emeryturę. Potem będzie miała sześćdziesiąt pięć lat, nadal będzie młoda. Chociaż teraz nie czuła się gotowa do rozpoczynania związku, może emerytura będzie właściwym czasem, żeby znaleźć sobie dobrego człowieka i zacząć nowe życie. Szansą, żeby wyrwać się z ponurego mieszkanka i przeprowadzić się gdzieś bliżej natury. Tak, tyle jest rzeczy, których aż nie można się doczekać. Po prostu musi stanąć twarzą w twarz z przyszłością w pozytywnym nastroju, oczekiwać jej z radością.

Ale myśl o śmierci przeraziła ją.

Pewnego dnia złożą ją do zimnego grobu. Oczywiście, kiedy nadejdzie ten czas, zdąży już przepawić się na drugą stronę, ale myśl o byciu zakopaną w ziemi była dla niej nie do zniesienia.

Nagle poczuła, że się dusi, odwróciła się od grobu matki i głęboko zaczerpnęła powietrza.

Podziękowania

Szczególne podziękowania należą się moim przewodnikom, Sigurðurowi Kristjánowi Sigurðssonowi z Westman Islands i Sarze Dögg Ásgeirsdóttir za oprowadzenie i dostarczenie informacji o Elliðaey.

Chciałbym również podziękować prokurator Huldzie Maríi Stefánsdóttir za pomoc przy procedurach policyjnych.

Wreszcie z wdzięcznością dziękuję moim rodzicom, Jónasowi Ragnarssonowi i Katrín Guðjónsdóttir za przeczytanie rękopisu.

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Prolog

Część 1 1987

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

Część 2 DZIESIĘĆ LAT PÓŹNIEJ, 1997 ROK

1

2

3

4

5

6

7

8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42

43

44

45

46

EPILOG

1

2

3

Podziękowania